

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



4

(121) 2025

Antoni Wilgusiewicz o wielkim Lwowie ♦ Karol Chlipalski
o Emilu Korytce ♦ Wspomnienia Stefana Berdaka ♦
Rozmowa z Olgą Mielnikiewicz ♦ Wiersze Mariusza
Olbromskiego ♦ Świąteczne przepisy Jadwigi Sabadasz

To tylko pożegnanie...

Szanowni Państwo!

Przekazujemy Wam czwarty numer kwartalnika *Cracovia Leopolis* w roku naszego jubileuszu 30-lecia istnienia. Udało się dotrzeć – wydaje się w całkiem przyzwoitej kondycji – do tej niezwykle rocznicy! Chciałbym w tym miejscu podziękować Ministerstwu Kultury i Dziedzictwa Narodowego i Instytutowi Książki, ale i wszystkim stałym Czytelnikom, Darczyńcom, a nade wszystko naszym Autorom za niezwykle teksty, redaktorom pisma i naszej Radzie Redakcyjnej, która przez ostatnie lata merytorycznie wspierała nasze pismo. Ukłon składam też w kierunku Wydawcy – Zarządu Oddziału Krakowskiego TMLiKP-W. Bez Was nasz kwartalnik nie miałby racji bytu. Dla mnie ten moment jest też niezwykle ważny. Wydaje mi się, że spełniłem swą misję, doprowadzając pismo do jubileuszowego roku 2025. Tym czwartym numerem żegnam się z Państwem jako redaktor naczelny. Wszystkim, szczególnie osobom telefonującym do mnie z całej Polski, dziękuję za słowa wsparcia, gratulacje za poszczególne numery pisma. To były bardzo cenne rozmowy, bo pokazujące, że jesteśmy potrzebni i obecni w wielu, jeśli nie wszystkich, środowiskach kresowych. Tych, których, jako odpowiedzialny za istnienie i nadawany kształt pismu, zawiodłem – przepraszam. Memu następcy, a może następczyni, życzę wspianiałego „nowego otwarcia” i sukcesów! Tematycznie rok 2026 jest już „naszkicowany”, a jeśli uda się pozyskać środki finansowe, to można będzie projekt wydawniczy spokojnie realizować. Nie pozostawiam więc ruiny... Oczywiście, jeśli mój następca wyrazi zgodę, nadal będę współpracował z *Cracovia Leopolis* jako autor.

Zbliża się czas Bożego Narodzenia, nadchodzi Nowy 2026 Rok. Nikt nie spodziewał się, że wkroczymy w tak absurdalne zawirowania na naszym polskim podwórku i w całym świecie. Pomimo wszystko życzymy sobie spokojnych i radosnych dni świątecznych, niech czas Bożego Narodzenia przyniesie chwilę wytchnienia podczas kolędowania. Może ktoś skorzysta z kulinarnych propozycji pani Jadwigi Sabadasz mieszkającej we Lwowie? A na Nowy Rok życzymy sobie spokoju i mądrości! Nade wszystko jednak zdrowia i wszelkiej pomyślności! Niech się darzy!

Janusz M. Paluch
Redaktor Naczelny kwartalnika „Cracovia Leopolis”



Antoni Wilgusiewicz

Chcieliśmy, aby Lwów był wielki

– Chciałem, by Warszawa była wielka – to znane słowa Prezydenta Stolicy Stefana Starzyńskiego wypowiedziane we wrześniu 1939 roku w ostatnim przemówieniu radiowym, traktowanym jako rodzaj jego testamentu. W tragicznych okolicznościach płonącej stolicy, niedługo przed śmiercią z rąk hitlerowskiego agresora, Prezydent Starzyński podsumowuje swoją pracę na rzecz powierzonego jego pieczy miasta. Jak prawdziwy gospodarz-samorządowiec wraz ze swymi współpracownikami kreślił plany przekształcenia Warszawy w prawdziwie europejską, nowoczesną stolicę Odrodzonej Polski. Plany te przekreśliła brutalna agresja, której następstwem w kilka lat później było niemal całkowite zburzenie miasta. Warszawa odrodziła się i jest piękna, ale to miasto inne niż to, które wyobrażał sobie Stefan Starzyński.

Refleksje te wzbudziła we mnie lektura unikalnej już dziś broszury z 1934 roku zatytułowanej *Lwów na granicy dwóch epok*.

Wydał ją Tadeusz Fabiański, Lwów, Piłsudskiego 23, a wydrukowała Drukarnia Styłowa, Kołłątaja 8.

Głównym celem Tadeusza Fabiańskiego, znanego dziennikarza lwowskiego (notabene mieszkającego po wojnie w Krakowie, tu zmarłego w 1972 roku i pochowanego na Cmentarzu Rakowickim), autora większości tekstów – pozostałe są autorstwa podpisanych inicjałami inżynierów-specjalistów – było przygotowanie społeczeństwa lwowskiego do wyborów Rady Miejskiej. Wybory te mające nastąpić 27 maja były pierwszymi od 1913 roku, a jednocześnie pierwszymi według nowej, demokratycznej ordynacji. Autor mocno podkreśla różnice między przestarzałą austriacką ordynacją a nową, która – jak zapewnia – da „możność dokonania wyboru reprezentacji, odzwierciedlającej poglądy i wolę najszerszych warstw”. Jego zdaniem przekazane przez Państwo samorządom kompetencje pozostawiają obywatelom pełną wolność i samodzielność, a ci



Lwów w latach dwudziestych XX w., zdjęcie lotnicze



z kolei powinni podczas wyborów zadbać o wybór ludzi twórczych, o dokładnej znajomości potrzeb miasta, ożywionych „szlachetną ambicją jak najlepszego służenia dobru ogólnemu”.

Autor nie wskazuje żadnego stronnictwa politycznego ani też konkretnych kandydatów godnych wyboru, stąd też agitacyjny charakter broszury sprowadza się do uświadamienia mieszkańcom Lwowa potrzeby rozważnego, masowego udziału w wyborach w interesie własnym i swojej wspólnoty miejskiej.

Według autora, podpisanego jako inż. B.C., zapewne pracownika Zarządu Miejskiego, główną bolączką Lwowa – i oczywiście innych miast, gwałtownie rozwijających się w epoce industrializacji – jest brak logicznego, całościowego planu rozwoju miasta. Dotyczy to między innymi sieci drogowej i ulicznej, która stanowi „jedno kłbowisko ścieśnionych łamańców, które przy łada ożywieniu gospodarczym i wzmożeniu ruchu pojazdów mechanicznych byłoby źródłem licznych zatorów i katastrof”. Podobnie lwowski węzeł kolejowy, mimo swoich rozmiarów i znaczenia, nie odpowiada współczesnym potrzebom i wymogom eksploatacyjnym,

nie zapewnia też właściwego dla większych ośrodków miejskich ruchu podmiejskiego. Obecny Zarząd Miasta rozpoczął już prace przygotowawcze i projektowe nad regulacją zabudowy Lwowa, a zwłaszcza jego sieci komunikacyjnej. Autor podkreśla, że kontynuacja i zakończenie tych prac to „ważna walka o warunki bytu i przyszłości Lwowa”.

W następnych rozdziałach broszury omówione są poszczególne dziedziny gospodarki komunalnej miasta – zarówno osiągnięcia, jak i potrzeby. Tak np. duży postęp osiągnięto w zakresie elektryfikacji, a to dzięki rozbudowie elektrowni na Persenkówce, gdzie powstała nowa kotłownia z kompletnym urządzeniem – zainwestowano tam 4400 tys. złotych. Poważnie rozbudowano sieć kablową i napowietrzną; dzięki temu dostęp do energii elektrycznej uzyskali także mieszkańcy podlwowskich miejscowości, jak Brzuchowice, Żółkiew czy Winniki. Dużo uwagi poświęcono budowie nowego kąpieliska na Zamarstynowie, które miało być oddane do użytku mieszkańców dzielnic północnych Lwowa w sezonie letnim 1934 roku. Kończono też prace przy budowie krytej pływalni przy ulicy Jabłonowskich, a w roku poprzednim oddano do użytku kąpielisko Żelazna Woda. Były to nowoczesne obiekty, pięknie położone, zapewniające mieszkańcom godziwy wypoczynek.

Ogromne zadania spoczywały na gminie w zakresie pomocy społecznej, zwłaszcza ubogim i bezrobotnym oraz dzieciom. Należy pamiętać, że był to okres Wielkiego Kryzysu Gospodarczego, kiedy liczba takich osób gwałtownie wzrosła. Starano się im pomagać w różny sposób, zarówno doraźnie przez rozdawnictwo żywności, jak też roboty publiczne i budowę mieszkań dla bezdomnych. Pomoc dzieciom koordynował Miejski Komitet Pomocy Pozaszkolnej, na którego czele stała każdorazowo żona aktualnego Prezydenta Miasta. I tak w 1934 roku Komitet dostarczał dzieciom 90 tys. obiadów miesięcznie w 14 własnych kuchniach oraz 10 subwencjonowanych.

W końcowej części broszury Tadeusz Fabiański w tonie krytyczno-ironicznym omawia wybory z 1913 roku. Zachodziły tam zjawiska już w latach trzydziestych niepojęte, jak głosowanie ustne (dyktowanie komisji przez wyborcę 100 nazwisk popieranych przez niego kandydatów). Na skutek licz-

nych ograniczeń majątkowych, a także cenzusu wykształcenia lub zawodu, brak prawa wyborczego dla kobiet itp. głosowało tylko 11542 osoby (na niecałe 16 tys. uprawnionych).

Niestety przeprowadzone niedługo po ukazaniu się broszury wybory także były dalekie od demokratycznych standardów. Jak podaje Agnieszka Biedrzycka w **Kalendarium Lwowa 1918–1939**, na 180 000 uprawnionych udział w nich wzięło 85 000 osób (frekwencja 47%). Unieważniono niektóre listy żydowskie i ukraińskie, a w Okręgu XI wszystkie listy poza prorządową BBWR, której kandydaci z urzędu weszli do Rady Miejskiej. Części wyborców bezprawnie nie dopuszczono do głosowania, a mężów zaufania opozycji i Ukraińców nie dopuszczono do udziału w liczeniu głosów. Nic więc dziwnego, że BBWR zdobył ogromną większość 45 mandatów (Żydzi 16, a Ukraińcy 1). Doszło też do rozruchów antysemitycznych, w wyniku których 30 Żydów wrzucono do stawu w Parku Stryjskim (!).

W zakończeniu zatytułowanym *Kochamy Lwów* Tadeusz Fabiański w słowach pełnych



wiary i nadziei w szczęśliwą, bo zbudowaną wspólnym wysiłkiem jego mieszkańców przyszłość Lwowa pisze: „Z miłości Lwowa wyrosła jego przeszłość... Z miłości Lwowa wyrośnie też jego przyszłość, wielka, promienna, niebylejaka”.

W pięć lat później nadszedł 17 września... Lwów, jaki jest, każdy widzi... Warto tylko dodać, że nawet regulacja sieci ulicznej nie doszła do skutku. Tak np. planowano przedłużenie ulicy Legionów w szeroką arterię skierowaną ku północy, a także obwodnicę Starego Miasta w śladzie ulicy Kościelnej (dziś Gonty) i Czarnieckiego (dziś Winniczenki). Czy Lwów jest wielki? Dla nas tak... I taki pozostanie.



Bezrobotni w oczekiwaniu na oferty pracy. Lwów w latach 30.

Ukaszony przez Herdera

Emil Korytko należy do tej samej kategorii badaczy-tułaczy, co Tomasz Zan, Benedykt Dybowski, Aleksander Czekanowski czy Jan Czernski, z tą jednakże różnicą, że nie badał zaśniewanych syberyjskich bezkresów, lecz folklor słonecznej Słowenii. W czasie swojego krótkiego życia zdążył być również kolporterem zakazanych druków we Lwowie, więźniem stanu, wygnańcem politycznym, poetą i folklorystą. Słoweńcy uważają go za bohatera narodowego, który miał olbrzymi wpływ na kształtowanie się tożsamości tego południowosłowiańskiego narodu. Przyjrzyjmy się tej zapomnianej (w Polsce, ale nie w Słowenii) postaci, a także prądom umysłowym, które ją ukształtowały.

Emil Korytko urodził się w 1813 roku w Żezawie (zapisywanej czasem jako Rzezawa), wiosce położonej wewnątrz jednego z dniestrowych łuków – kolejna, położona kilka kilometrów dalej na południowy wschód pętla, jaką robi ta rzeka, otacza Zaleszczyki. Rodzicami Emila byli Stanisław z Pohorzec Korytko, właściciel dworu położonego nad wysoką dniestrową skarpą, i Rudolfina Rubczyńska. Posesjonaci, ale nie potentaci. Miał trójkę rodzeństwa: starszą siostrę Marię Otylię Napoleon (ur. 1811) oraz młodszych braci: Eugeniusza (ur. 1814) i Seweryna (ur. 1816). Trzecie imię starszej siostry niezbitcie dowodzi patriotycznych nastrojów, jakie panowały w domu Korytków i nie pozwala mieć wątpliwości, jakie idee przyświecały wychowaniu Emila i jego rodzeństwa. Do gimnazjum młody Korytko trafił do Tarnopola, a następnie do Czerniowiec, gdzie przygotowywał się do podjęcia studiów filozoficznych na Uniwersytecie Franciszkańskim. Imatrykulowany został w 1832 roku.

HERDER A SPRAWA POLSKA

Pobyt Emila Korytki na Universitas Franciscaea zbiegł się z chwilą, gdy życie umysłowe Galicji powoli się budziło i zaczynało przybierać swoją oryginalną (na tle reszty ziem polskich) formę. Próby niemczenia



Podobizna Emila Korytki na rycinie (autor nieznany)

społeczeństwa przez zaborcę okazały się w dużym stopniu nieskuteczne i przyniosły nieoczekiwane przez Austriaków owoce. To dzięki znajomości języka Goethego i Schillera młodzi lwowianie zetknęli się z najnowszymi prądami umysłowymi Europy. Postacią, która miała olbrzymi wpływ na młodych Polaków z Galicji (i nie tylko), był Johann Gottfried Herder. Ten pruski (urodzony w Morągu), a więc niemieckojęzyczny filozof w centrum swoich zainteresowań postawił kwestię wzajemnych relacji pomiędzy narodem, kulturą i językiem. Naród, w jego przekonaniu, nie jest tworem politycznym, jak chcieliby przedstawiciele europejskich dynastii roszczerzący sobie prawo do panowania nad wieloma różnymi ludami w ramach jednego państwa, lecz etnicznym. Konstytuuje go przede wszystkim język i kultura, a więc obyczaje, duchowość itp. Co więcej, zdaniem Herdera naród do samorealizacji potrzebuje państwa, a „najnaturalniejszym (...) państwem jest takie państwo, które stanowi jeden lud o jednym narodowym charakterze”. Te poglądy nie mogły nie podobać się młodym Polakom, w tym wychowanemu w patriotycznym domu Emilowi Korytce, którzy coraz boleśniej odczuwali

niewolę narodową. Czytając Herdera, znajdowali potwierdzenie prawomocności swoich marzeń o wolnej ojczyźnie.

Herder uważał również, że naród powinien dążyć do zjednoczenia, a zjednoczenie polityczne powinno być poprzedzone „odrodzeniem kulturowym”, czyli przywróceniem kultury zgodnej z „Duchem narodu”. A „Duch narodu” miał drzeć w pierwotnej i nieskażonej obcymi wpływami kulturze ludowej. Herder, pisząc to, myślał przede wszystkim o Niemcach podzielonych wówczas na wiele państwów, ale nie tylko. Podobnie w jego mniemaniu rzecz miała się ze Słowianami, których filozof z Morąga uważał za jeden naród pomimo wyraźnych różnic etnicznych dzielących Słowian z południa od tych z północy.

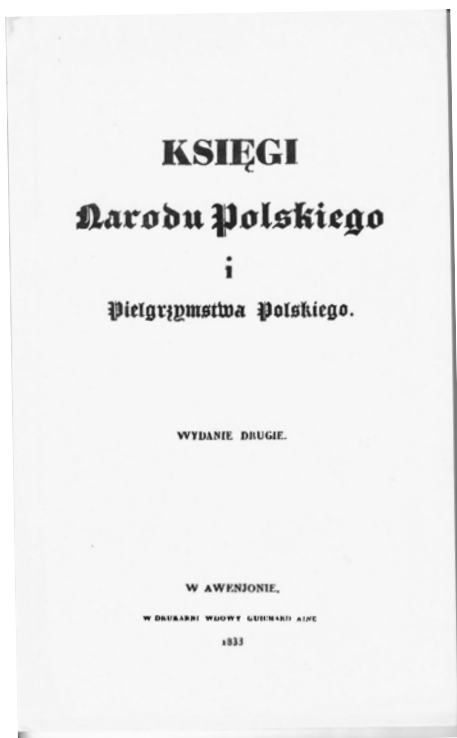
Praktyczny wniosek z rozważań Herdera był jeden: trzeba zakasać rękawy i zająć się poszukiwaniem owego „Ducha narodu”. Tak ujął to Zorian Dołęga Chodakowski:

Trzeba pójść i zniżyć się pod strzechę wieśniaka w różnych odległych stronach, trzeba śpieszyć na jego uczty, zabawy i różne przygody. Tam, w dymie wznoszącym się nad głowami, snują się jeszcze stare obrzędy, nuca się dawne śpiewy i wśród płasów prostoty odzywają się imiona bogów zapomnianych. W tym gorzkim zmroku dostrzec można świecące im trzy księżycy, trzy zorze dziewicze, siedem gwiazd wozowych.

Chodakowski sam postępował według tego wezwania i podobnie czyniło wielu mu współczesnych zarażonych pasją. Temu również miał oddawać się student pierwszego roku filozofii Emil Korytko.

SPISKOWCY W OSSOLINEUM

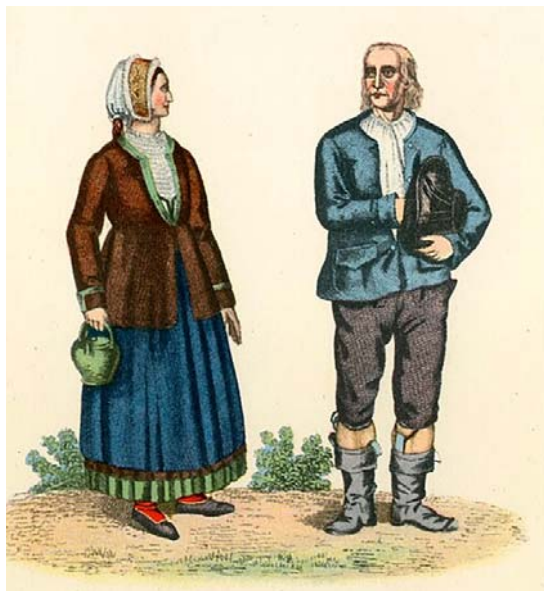
Kolejnym czynnikiem, który podzielał jak dodatkowa porcja drożdży na ferment intelektualny, jaki powoli zachodził wśród lwowskiej młodzieży, było rozpoczęcie działalności Ossolineum, czyli Zakładu Naukowego fundacji Józefa Maksymiliana Ossolińskiego. Pod dyrekcją pierwszego szefa Ossolineum ks. Franciszka Siarczyńskiego zostały wstępnie uporządkowane olbrzymie zbiory fundatora. Zakład wzbogacił się też o liczne dary w postaci kolejnych woluminów pochodzących od różnych kolekcjonerów. Co istotne dla tej opowieści, ks. Siarczyń-



Okładka „Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego” wydana konspiracyjnie w Ossolineum w 1833 r. (skan z reprintu wydanego w 1977 roku przez Ossolineum we Wrocławiu)

ski rozpoczął też działalność wydawniczą – w 1828 r. ukazał się we Lwowie pierwszy zeszyt czasopisma naukowego „Czasopism Naukowy Księgozbioru Publicznego imienia Ossolińskich”. Pierwszy dyrektor Ossolineum zmarł w 1829 r. Zastąpił go Konstanty Słotwiński, który energicznie kontynuował dzieło swojego poprzednika – w 1833 roku swoje podwoje otworzyła czytelnia, a także drukarnia Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

Słotwiński, przybyły z Królestwa były powstaniec listopadowy, poświęcał swój czas i energię nie tylko na rzecz Ossolineum. Nie zaprzestał walki z zaborcami po upadku powstania 1830 r. Zmienił jednak jej formę, wykorzystując do tego podległą sobie instytucję. Nowy dyrektor, oprócz legalnej działalności wydawniczej podjętej przez Zakład za poprzedniego już dyrektora, postanowił również drukować dzieła z myślą o – jakbyśmy to dziś powiedzieli – drugim obiegu. Wkrótce po otwarciu drukarni z maszyn zeszła broszura pod znamienym tytułem: *Doniesienie o przedsięwziętym wydaniu dzieła*



Stroje z regionu Górna Kraina, mal. Franz von Kurz zum Thurn und Goldenstein według rysunków Korytki, (Public domain, via Wikimedia Commons)

pod tytułem: *Pamiętnik Narodu Polskiego z 1830 i 1831 roku*. Zgodnie z zapowiedzią w ślad za nią poszła seria wydawnictw poświęconych dokumentacji wydarzeń związanych z zakończonym niedawno powstaniem listopadowym. Słotwiński drukował także inne dzieła o tematyce politycznej, a także patriotycznej, a wśród nich m.in. *Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego* Adama Mickiewicza.

Nie czas tu i miejsce na opisywanie ze szczegółami nielegalnej działalności wydawniczej, jaką w ramach Ossolineum prowadził Słotwiński i jego współpracownicy (temat zasługuje na osobną opowieść), wypada jednak powiedzieć, że władze dość szybko wpadły na trop nielegalnych wydawnictw. Porównanie czcionek użytych przy druku zakazanych broszur z odciskiem tych, które widniały na legalnych publikacjach, zaprowadziło policję do Ossolineum. Po krótkiej obserwacji i nieco dłuższym śledztwie na wiosnę 1834 roku nastąpiła seria aresztowań, które objęły Słotwińskiego i jego pomocników – drukarzy, a także osoby zajmujące się kolportażem konspiracyjnych druków.

„ODDANY KRYMINAŁOWI”

I tu odnajdujemy Korytkę, którego straciliśmy z oczu w 1832 roku, gdy rozpoczął studia na wydziale humanistycznym uniwersytetu lwowskiego. Według Henryka Bogdańskiego, spiskowca i pamiętnikarza lwowskiego, „akademik Emil Korytko był

najczynniejszym w rozpowszechnianiu zakazanych druków”, za co został uwięziony i „oddany kryminałowi” pod zarzutem przynależności do „tajnej organizacji młodzieżowej”. Śledztwo trwało prawie trzy lata, które Emil spędził w więzieniu we Lwowie. Większości zarzutów, jakie postawiono Korytce, sąd nie uznał, udowodniono mu jedynie, że przekazał do jednej z księgarni 200 egzemplarzy *Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego*. Nasz bohater został skazany na zesłanie. Intencją władz austriackich było rozproszenie spiskowców i rewolucjonistów wszelkiego rodzaju po całym obszarze imperium, kierując się zasadą – byle jak najdalej od domu. W imię tej zasady włoskich rewolucjonistów wysyłano na północ, np. do Czech, a Korytkę – do... Lublany.

O ile wielu Polaków trafiało w mniej przyjazne miejsca zesłania niż stolica Krainy, to jednak los Korytki nie był do pozazdroszczenia. Pomijając oczywistą dolegliwość, jaką była rozłąka z rodziną i przyjaciółmi, a także porzucenie dotychczasowego życia, jego sytuację pogarszał fakt, że zesłaniec odbywał karę na własny koszt, w dodatku był zobowiązany do fundowania posiłków pilnującym go żandarmom, co z góry skazywało większość zesłańców na dolegliwą biedę. Dodatkowo Lublana była wówczas miastem mniej niż prowincjonalnym – w porównaniu do stolicy Krainy ówczesny Lwów kipiał życiem i możliwościami! Zarówno towarzyskimi, jak i intelektualnymi. W dzisiejszej stolicy Słowenii, mieście wówczas niespełna dwudziestotysięcznym, miało być wówczas pięć kościołów i jedno kasyno.

PIERWSZE KROKI W LUBLANIE

Korytko dotarł do Lublany 4 lutego 1837 r., jego towarzyszem niedoli był Bogusław Horodyński ze Zbydniowa, powstaniec listopadowy, a później uczestnik partyzantki Zaliwskiego, kawaler *Virtuti Militari*. Skazany na śmierć, którą darowano mu w ramach amnestii po śmierci cesarza Franciszka I, miał już na swoim koncie ośiadkę w Spielbergu i Kufsteinie.

Pierwsze swoje wrażenia z Lublany tak opisał Korytko w liście do swojej siostry Otylii (tej samej, co nosiła trzecie imię Napoleon)

i jej męża Józefa Jasińskiego: *Od wschodu sterczą Alpy, okryte do czerwca śniegiem. U stóp ich zieloność, już wiosna, lasy, pałacyki i Sawa rzeka wężykiem się kręci. Ku północy znów góry, ale zielone i jak schody skały na skałach.*

Obaj zesłańcy jednak spotkali się też z ciepłym przyjęciem ze strony lublańczyków. Oddajmy głos synowi Horodyńskiego – Zbigniewowi, który kilka kart pamiętnika poświęcił także życiu swojego ojca: *Pol-skich zesłańców ratowali poznani Słoweńcy, szczególnie Blaž Crobath, którego żona była Polką. U nich Horodyński wraz z Korytką stołowali się i wynajmowali mieszkanie. W wolnych chwilach wzajemnie uczyli się języków – słoweńskiego i polskiego. Dzięki tej przyjaźni Bogusław i Emil trafili w niedługim czasie na salony środowiska słoweńskich patriotów.*

W salonie u Crobathów bywał m.in. młody poeta piszący po niemiecku France Prešeren, który w przyszłości zostanie największym słoweńskim poetą epoki romantyzmu, a zdaniem niektórych największym poetą słoweńskim w ogóle. Korytko, który również parał się piórem, szybko się z nim zaprzyjaźnił, a przyjaźń ta miała odmienić życie zarówno Korytki, jak i Prešerena. W liście do rodziców Polak pisze: *Uczę się po Kraińsku. Słowianin, Poeta tego kraju, wielce chwale-ny, daje mi nauki, ja go zaś po Polsku uczę.*

Emil Korytko nie czekał biernie na pozytywną odmianę losu, tylko postanowił wykorzystać okazję, jaką dało mu zesłanie. Poznawał nie tylko język, ale także kulturę kraju, do którego rzucił go los. Na początku było to utrudnione, bowiem warunki zesłania ograniczały Korytkę możliwość swobodnego poruszania się po okolicy, ale i te ograniczenia udało mu się stopniowo pokonywać. Szybko ujawniło się u niego „herderowskie ukąszenie”, którego musiał doznać w czasie lat studenckich we Lwowie. Jeszcze w 1837 roku napisał do rodziców, że zajął się zbieraniem kraińskich pieśni ludowych. Ze względu na niedostateczną znajomość języka w dziele tym pomagał mu Prešeren i inni słoweńscy przyjaciele.

W POSZUKIWANIU DUCHA SŁOWEŃCÓW

Słoweński poeta towarzyszył polskiemu zesłańcowi w etnograficznych wyprawach



France Prešeren, mal. Franz von Kurz zum Thurn und Goldenstein

w różne okolice Krainy, najważniejszego regionu historycznego dzisiejszej Słowenii. Towarzyszył mu także jego gospodarz, Blaž Crobath, wraz małą córeczką Alojziją. Ta córeczka po latach stanie się wybitną słoweńską pisarką Luizą Pesjak i tak będzie wspominać korytkowe wyprawy: *Odwiedzaliśmy również domy i chałupki, a nasz kochany przyjaciel [...] rozmawiał ze wszystkimi ludźmi. [...] Stare kobiety musiały opowiadać mu jeszcze starsze historie, podczas gdy chłopcy i dziewczęta śpiewali pieśni. On był zaś najbardziej zachwycony, gdy siwy starzec śpiewał drżącym głosem pieśń, o której młodzież nawet nie miała pojęcia.*

Korytko nie ograniczał się do spisywania pieśni, interesował go każdy przejaw kultury ludowej. Znów Pesjak: *Ludzie musieli wyciągać z szaf i poddaszy kołowrotki i spleśniałe narzędzia, suto marszczone damskie spódnice z płótna, srebrne pasy, ładne i grubo tkane bluzy z błyszczącymi guzikami na rękawach i przy szyi, czepki bogato zdobione błyszczącym złotym brzegiem lub koronką, która podkreślała piękno młodej twarzy [...] Tu i tam rysował jeszcze szkice, a mężczyźni i kobiety musieli spokojnie i cierpliwie mu pozować.* Na podsta-



Emil Korytko

wie tych szkiców powstanie 70 obrazów ludowych, które Korytko zamówi u malarza Franca Kurz zum Thurn und Goldenstein z myślą o przyszłej publikacji mającej przedstawić Słowian południowych polskim czytelnikom. Jak można się domyślać z nie do końca wypowiedzianych sugestii, Korytko planował wydanie encyklopedii Słowiańszczyzny. Efekty podejmowanych przez Korytkę badań nad mieszkańcami Krainy miały stanowić jeden z rozdziałów przyszłego dzieła. 12 wybranych obrazów przesłał do Wiednia, aby wykonano na ich podstawie litografie. Korytko ich już jednak nie zobaczył. Ukazały się one dopiero w pięć lat po śmierci lwowskiego etnografa.

Po kilku miesiącach od momentu, gdy Korytko zainteresował się słoweńskim folklorem, młody Polak pisze do rodziców, że ma już gotowy *zbiór wielki i jedyny w całym kraju piosenek oryginalnych tutejszego ludu, szacowny i pod tym względem pominąwszy inne, że jedyny, bo tu nie uznają jeszcze chwalebności w przechowywaniu i wydobywaniu z zatarcia tych objawień różnych uczuć narodowych*. Na zbiór składało się pięć tomów pieśni. Wkrótce Korytko opracuje pierwszy tom, opatrzy go wstępem i wyśle – zgodnie z przepisami ówczesnego prawa – do cenzury w Wiedniu. Nie obyło się bez perturbacji. We wstępie Korytko zamieścił

cytat z Konrada Wallenroda, który został skreślony przez cenzurę, i przez to proces zatwierdzania publikacji *Slovenske pèsmi krajnskiga naróda* opóźnił się.

Jednak Korytko wciąż uważał, że jego zbiór jest niekompletny i postanowił poszerzyć sferę poszukiwań i odwołać się do pomocy ludzi dobrej woli. A może chodziło mu także o aktywizację słoweńskiej inteligencji, ażeby ta uznała wreszcie „chwalebność w przechowywaniu i wydobywaniu z zatarcia tych objawień różnych uczuć narodowych”? W czasopiśmie „Ilirisches Blatt” w połowie 1838 roku zamieścił apel do czytelników pt. *Przyjaciołom słowiaństwa w Krainie; Słowianin z Północy (Priateljem slovanstva na Kranjskem; Slovan s Severa)*. Apelowi towarzyszyły wskazówki, które miały na celu pomoc adresatom apelu w metodycznym badaniu folkloru słoweńskiego. Na apel Korytki przyszły liczne odpowiedzi z różnych zakątków Słowenii, nie tylko Krainy.

PRZEDWCZESNA ŚMIERĆ

Niestety Korytce nie dane było oglądać owoców swojej pracy. Na przełomie 1838 i 39 roku przeżył się i 31 stycznia 1839 roku zmarł w wyniku nagłego ataku gorączki reumatycznej, niespełna dwa lata po przyjeździe do Lublany. Na smutną ironię zakrawa fakt, że na dzień przed jego śmiercią udało się jego rodzicom uzyskać akt łaski zezwalający młodemu zesłańcowi powrót do kraju, a w kilka dni później poczta przyniosła wydrukowany pierwszy tom zamierzonego przez Korytkę cyklu pt. *Slovenski pèsmi krajnskiga naróda*.

Korytko został pochowany na lublańskim cmentarzu Navje. Na jego nagrobku do dziś dnia widnieje wiersz Franca Preserena:

Der Mensch muss untergehen,
Die Menscheit bleibt; fortan
Wird mit ihr das bestehen,
Was er für sie gethan.

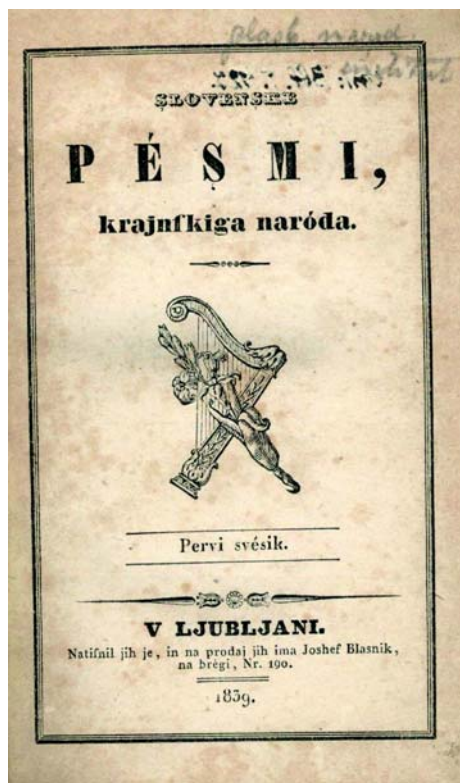
Co na język polski przetłumaczyła M.E. Krajewska w sposób następujący:

Człowiek musi przeminać;
Ludzkość pozostanie;
Na wieki przetrwa tylko to,
co dla niej stworzył.

A ten młody polski emigrant stworzył niezwykle dużo przez dwa lata spędzone na południowych stokach Alp. I nie chodzi tylko o jego zasługi w zakresie etnografii, czy jakby to dziś powiedzieli fachowcy – folklorystyki, które zapoczątkowały szerszej już zakrojone badania prowadzone przez słoweńskich naukowców. Większe jeszcze Korytko miał zasługi – co do dziś Słoweńcy pamiętają i doceniają – w przebudzeniu ich ducha narodowego. Nie dokonał tego sam i w sposób bezpośredni, ale przez wywieranie wpływu na elity, a w szczególności na najwybitniejszego słoweńskiego pisarza.

IDEE ROMANTYCZNE I WYZWOLENIE NARODOWE

To pod wpływem Korytki właśnie Prešeren zaczął czytać Mickiewicza, a następnie też tłumaczyć – już nie na niemiecki, tylko na słoweński. Zmiana języka była znacząca. Ponoć Prešeren, zachwycony podsunętym mu przez Korytkę Mickiewiczowskim sonetem pt. *Rezygnacja*, przetłumaczył go na niemiecki, a potem pod wpływem przyjaciół dokonał powtórnego przekładu, tym razem już na swój ojczysty język. I później poeta ten będzie już pisał głównie po słoweńsku. Nikolaj Jež, polonista z uniwersytetu lublańskiego, uważa, że [Korytko] *na horyzonty twórcze Prešerena wprowadził główny polski*



Okładka pierwszego tomu zbioru „Slovenski pésmi krajnškiga naróda”

romantyczny dyskurs i umożliwił jego bezpośredni kontakt ze słoweńskim. To trudne zdanie należałoby rozumieć w ten sposób, że pod wpływem Mickiewicza (a za pośrednictwem Korytki) Prešeren połączył uniwersalne idee romantyczne królujące wówczas w Europie ze sprawą wyzwolenia swojego narodu. I podobnie jak Mickiewicz poświęcił się temu bez reszty.

Drugą zasługą, jaką pamiętają Słoweńcy Korytce, jest skłonienie ich elit do stopniowego zainteresowania się własną kulturą ludową, co nie było wcześniej takie oczywiste. Jak wynika ze słów cytowanego już wcześniej Nikolaja Jeża, Korytko był wręcz głównym motorem tego procesu: *Korytko cały krótko mu wymierzony czas na zesłaniu w Lublanie poświęcił umacnianiu i egzekwowaniu nowego podejścia do spuścizny ludowej w słoweńskiej świadomości kulturalnej – udało mu się nawet uplasować je w centrum zainteresowania elity kulturalnej.*

Nic więc dziwnego, że Słoweńcy nie zapomnieli o Korytce i pamiętają o nim do



Nagrobek Korytki na cmentarzu Nový Městský w Lublanie

dziś. Świadczy o tym chociażby fakt, że polski zesłaniec trafił na karty powieści, do teatru, a nawet filmu w tym południowosłowiańskim kraju. Jako ważna postać mająca wielki i pozytywny wpływ na Franceta Preserena, Korytko pojawia się w dwóch powieściach biograficznych słoweńskiego wieszacza autorstwa Ilki Vašte *Roman o Prešernu* (1937) i Antona Slodnjaka *Neiztrohnjeno srce* (1938). W podobnej roli występuje w filmie *Pesnikov portret z dvojnikom* w reżyserii Franceta Slaka, który również opowiada o życiu Prešerena. Z kolei na podstawie korespondencji Korytki z rodzicami powstał monodram pt. *Korespondenca z družino* w reżyserii Jože Babicia. Dowodem na to, że Korytko, a wraz z nim i Polacy są obecni w słoweńskim życiu kulturalnym jest fakt, że prawdopodobnie najbardziej znany współczesny słoweński pisarz Drago Jančar czerpał inspiracje z pism tego lwowskiego zesłańca. W korespondencji Korytki z rodziną natknął się Jančar na postać innego polskiego imigranta, powstańca Drohojowskiego,

którego uczynił współbohaterem dramatu *Veliki briljantni valček* (1985). W sztuce tej dużą rolę odgrywa muzyka Szopena – *Veliki briljantni valček* to nic innego jak Walc Es-dur op. 18, znany jako *Grande Valse Brillante*.

Pisząc korzystałem z:

Darasz, Zdzisław; *Obywatel dwóch narodowych kultur*, Poznańskie Studia Sławistyczne nr 19/2020

Maślanka, Julian; *Korytko Emil*; Polski Słownik Biograficzny, Wrocław–Warszawa–Kraków 1968

Poklewska, Krystyna; *Galicja romantyczna (1816–1840)*, Warszawa 1976

Szymaniec, Piotr; *Pojęcie narodu w filozofii dziejów Johanna Gottfrieda Herdera*, Wrocławskie Studia Erazmiahskie, Wrocław 2008

Emil Korytko (1839–1813) na zesłaniu w Lublanie – rola polskiego emigranta, humanisty i etnografa w odrodzeniu narodowym, zbiór referatów zaprezentowanych na sympozjum naukowym, Lublana 2019: (https://www.dsrs.si/sites/default/files/dokumenti/zbornik_emil_korytko_www.pdf)

PAMIĘTAMY O LWOWSKICH ORLĘTACH!

Bieg „ORLĄT OBROŃCÓW LWOWA 1918” odbył się 29 października 2025 roku w Parku im. dra H. Jordana w Krakowie. Zorganizowany został przez Polskie Towarzystwo Gimnastyczne w Krakowie „Sokół Macierz – Lwów” i XLIV Liceum Ogólnokształcące im. ks. Stanisława Konarskiego w Krakowie. Udział wzięło 131 uczniów z 11 szkół z Krakowa. Uczestnicy startowali w trzech kategoriach: orlik młodszy (9–12-lat), orlik (13–15 lat), orlik starszy (16–18 lat) z podziałem na dziewczęta i chłopcy. Zwycięzcami byli wszyscy biegacze, ale jako pierwsi metę przekroczyli: orlik młodszy – Helena Przetacznik (Szkoła Podstawowa nr 137) i Krzysztof Pałucki (SP 22); orlik – Zuzanna Kozyra (SP 135) i Jacek Czapnik (XXV Liceum Ogólnokształcące); orlik starszy – Nina Wójcik (XLIV LO) i Patryk Stekla (XXV LO). Bieg „ORLĄT OBROŃCÓW



LWOWA 1918” objęty został patronatem Małopolskiego Kuratora Oświaty, Krakowskiego Oddziału Instytutu Pamięi Narodowej i Wydawnictwa „Biały Kruk”. Po biegu uczestnicy zostali poczęstowani pyszną grochówką przygotowaną przez pana Tomasza Dudę, który prowadzi bufet i stołówkę szkolną w XLIV LO.

Mariusz Graniczka

Franciszek Haber

ULICA LELEWELA I NIECO WIĘCEJ

Miano Joachima Lelewela ulica nosiła od 1885 do 1950 roku. Potem zmieniono jej nazwę na Popowicza. Zaczyna się na placu Akademickim i biegnie do ulicy Chmielowskiego, dawniej zwanej Gołębią, dziś Hlibowa. Ta niedługa ulica, licząca zaledwie 235 metrów, posiada typową zabudowę końca XIX wieku. Trochę w sobie zagmatwana, gdyż odchodzą od niej dwie ulice: Małeckiego i Friedrichów, a Lelewela wężykiem w lewo wspina się do idącej również pod górę Chmielowskiego, która łączy się z Cytadelną, biegnącą na cytadelę, dziś Kalecza Góra, i zbiegającą w prawo ulicą Kaleczą, dzisiaj także Kalecza Góra. Kamienica na początku Lelewela przynależy do Koralnickiej nr 8, dzisiaj Wołoszyńska. Obecnie mieści się tu oddział Banku Kijowskiego *Joint Stock Company „Bank ¾”*. Ten zakątek Lwowa, z meandrami sąsiadujących ze sobą ulic, pnie się zboczami góry Szemberkowej i Kaleczej, gdzie z zieleni wysterczają złowrogię ostańce cytadeli.

♦
Kamienica nr 2 na rogu Małeckiego (Hryhorowicza) została zbudowana (1900) według projektu architekta Jana Schulza. To

jedna z pierwszych kamienic secesyjnych we Lwowie. Na przełomie wieków (1901–1906) mieszkało w niej małżeństwo aktorów Ireny (1875–1958) i Ludwika (1855–1954) Solskich związanych w latach 1900–1904 z Teatrem Wielkim we Lwowie, którzy przenieśli się do Krakowa. Ludwik Solski, aktor, reżyser, dyrektor teatru, jeden z najwybitniejszych aktorów w historii teatru w Polsce. Podobnie Irena Solska, uwieczniana przez znanych malarzy, jak Leon Wyczółkowski (1898), Jacek Malczewski (1901), Stanisław Wyspiański (1904) czy Wojciech Kossak (1908). Mieszkał tu także Bogumił Zawadzki,



Ludwik Solski (Stary Wiarus) w „Warszawiance” – Stanisław Wyspiański (1904) – domena publiczna

lekarz ginekolog, a właścicielami domu byli: dr Roman Paneth, adwokat i Karol Katz.

♦
Kamienica nr 5, dwupiętrowa, była własnością Heleny Terenkoczy, wdowy po urzędniku kolejowym. Oko przyciąga bogato zdobione zwieńczenie bramy. Był tu skład węgla i koks. *Terma*, a zarządcą był Stanisław Scherer. Swoje lokum miała też



Portret Ireny Solskiej – Stanisław Wyspiański (1904) – domena publiczna



Irena (1875–1958) i Ludwik (1855–1954) Solscy w 1916 r. – domena publiczna

redakcja pisma „Pociąg”. Był to tygodnik ilustrowany, jak piszą autorzy gazety, tchnięty humorem i satyrą. Siedzibę miał też Związek Tenisa Stołowego. Dziś znajduje się tam *Krasa Studio* – salon piękności *Magnifica*.

W tym miejscu odchodzą w prawo od ulicy Lelewela – ulice Małeckiego (Hryhorowicza)

parterze był jego sklep. Większość zabudowy tej ulicy powstała pod koniec XIX i z początkiem XX w. Charakteryzują ją eklektyczne i secesyjne fasady bogate w detale architektoniczne, inter-

resujące balkony oraz metalowe ornamenty bram. W kamienicy pod nr. 5 była pierwsza lwowska wytwórnia filmowa *Kinofilm* (1909), dziś jest pracownia – muzeum ukraińskiej rzeźbiarki Teodozji Bryż (1929–1999), a na rogu Friedrichów i Kaleczej w domu nr 9 była księgarnia naukowa znakomitego antykwariusza lwowskiego inż. Józefa Tulei (1923–1927), który potem przeniósł ją na ulicę Batorego, i tam istniała do 1937 r. Więcej o nim piszę w eseju *Moja ulica*. Przy ul. Małeckiego nr 5 były biura Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych (TNSW). Była także administracja Wydawnictwa TNSW prowadząca działalność związaną z dystrybucją podręczników i lektur. Regularnie pojawiały się w prasie anonse. Także TNSW wydawało czasopismo „Muzeum” poświęcone sprawom wychowania i szkolnictwa.

Natomiast pod nr. 2 była lecznica Józefa Aleksiewicza (1884–1957), kapitana lekarza cesarskiej i królewskiej armii, majora lekarza WP i Armii Krajowej. Jak donosił „Kurier Lwowski”: *W dniu 1 listopada 1919 r. dr Józef Aleksiewicz, chirurg ortopeda, otwiera swoją lecznicę ortopedyczną we Lwowie przy ulicy Friedrichów 2, w której będzie leczył zwichnięcia w budowie ciała, gruźlicę stawów, kości i gruczołów, choroby kości stawów i nerwów, złamania i zwichnięcia...* Lecznicza dysponowała własną fabryką aparatów ortopedycznych, gorsetów, protez itp. Od



Tygodnik „Pociąg” – domena publiczna



Reklama firmy „Terma” we Lwowie – domena publiczna

i Friedrichów (Martowycza). Na rogu stoi kamienica trzypiętrowa projektu architekta Artura Schleyena (1909), z narożnym hełmem wieńczącym kopułę oraz balkonami na zaokrąglonym narożu. Fasadę budynku rozczłonkują szerokie pilastry. Tradycyjnie, bo od 1909 roku, był tu urząd pocztowo-telegraficzny nr 5, i jest także dzisiaj. Dom należy do ulicy Friedrichów nr 2, i zbudowany został na miejscu dawnej fabryki mydła Friedrichów. Warta większej uwagi jest sąsiednia secesyjna kamienica nr 4, powstała również według projektu architekta Artura Schleyena (1909), rajcy miasta Lwowa, prężnie działającego w Izbie Przemysłowo-Handlowej Lwowa. Fasadę tego domu urozmaicają pilastry, maskarony i gzymsy w girlandach. Właścicielem domu był Ignacy Mund, na

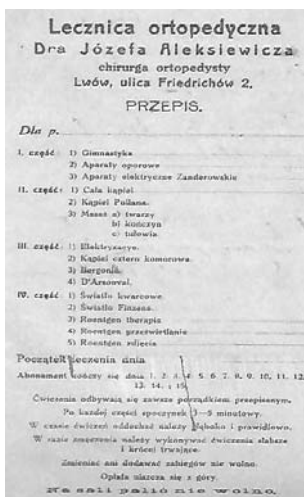


Dr Józef Aleksiewicz (1884–1957)

Medal dr. Józefa Aleksiewicza (Stare Łazienki Iwonicz-Zdrój) – domena publiczna



1925 r. dr Józef Aleksiewicz był dyrektorem sanatorium *Sanato* w Iwoniczu i naczelnym lekarzem zdrojowym Zakładu Zdrojowo-Kąpielowego Emmy i Józefa Załuskich w Iwoniczu. W latach 30. XX w. był redaktorem i wydawcą dwutygodnika „Iwoniczan-ka”. Niedoceniany po wojnie, kilkakrotnie aresztowany, był lekarzem domowym w Ubezpieczalni Społecznej w Iwoniczu-Zdroju, a od 1952 r. dyrektorem i ordynatorem Sanatorium nr 3, które – o ironio! – było upaństwowionym *Sanato*. Po licznych prześladowaniach oraz pobi- ciach w śledztwie, które poczyniły po- ważny uszczerbek na zdrowiu, zmarł w 1957 roku.



Karta zabiegowa lecznicy orto- pedycznej dr J. Aleksiewicza we Lwowie [ze zbiorów rodzinnych dr J. Aleksiewicza], wikipedia



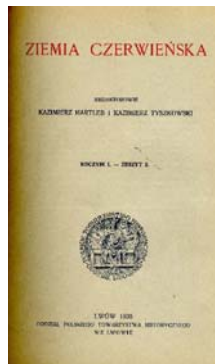
Reklama czasopisma „Muzeum” TNSW – domena publiczna

Na zakręcie ulicy Lelewela, róg Frie- drichów, stoi dom jednopiętrowy, dzisiaj zaniedbany, przypisany do Lelewela nr 6.

W domu tym pierwsze piętro należało do Marii Woleńskiej, która była właścicielką sąsied- niej dwupiętrowej kamienicy nr 6a z interesującą ornamen- tyką frontonu, maszkaronami i puttami. Tu mieszkał profe- sor Kazimierz Hartleb (1886– 1951), historyk kultury UJK, dyrektor Biblioteki Sejmu Ślą- skiego w Katowicach (1931– 1932) i dyrektor Muzeum Przemysłu Artystycznego we Lwowie (1932–1936), także redaktor „Ziemi Czerwień- skiej” (1935–1938) i rocznika Oddziału Polskiego Towarzy- stwa Historycznego we Lwo- wie. Podczas wojny brał udział w tajnym nauczaniu w struktu- rach Armii Krajowej i był kie- rownikiem archiwum ZWZ-AK na Obszar Lwowski. Po woj- nie trafił do Torunia i tutaj kie- rował Katedrą Historii Kultury Polski. Autor m.in. *Kultury pol- skiej od zarania dziejów po dni ostatnie*. Jego sąsiadem był dr Franciszek Waloński, starszy asystent w Za- kładzie Prawa Prywatnego Międzynarodo- wego UJK. Natomiast pod nr. 6 za czasów galicyjskich była redakcja gazety „Kuchnia i Zdrowie” C. Müllerowej oraz mieszkał le- karz Kazimierz Lipski z Wydziału Higieny Publicznej Samorządu Miasta Lwowa, Ko- misarz Kasy Chorych.



Prof. Kazimierz Hartleb (1886–1951)



Pismo „Ziemia Czerwieńska”

Po drugiej stronie ulicy Lelewela dwu- piętrowy dom nr 5a posiada balkon posa- dowiony na masywnych podporach i kutą secesyjną balustradę. Dom należał do Ma- rii Wodzińskiej, która żyła z czynszu. Było tu biuro nauczycielskie *Mały Świątek* oraz mieściła się redakcja pisma o tej nazwie, które redago- wała Anna Lewicka. Był to ilustrowany dwutygodnik dla dzieci i młodzieży, wycho- dzący od 1889 roku, który przetrwał do wojny, zmienia- jąc po drodze podtytuł (1931 – pismo ilustrowane dla star- szej dziatwy, 1937 – pismo ilustrowane dla dzieci). Miało



Gazeta „Mały Świątek”



tu też siedzibę jedno z biur spółki akcyjnej *Polska Foresta* (przemysł drzewny). Sąsiedni dom – nr 5b, wąski (na dwa okna), trzypiętrowy, należał do Waigermanna, właściciela wypożyczalni książek. Dzisiaj zaprasza salon fryzjersko-kosmetyczny *Briz*.

Kamienica nr 7, zbudowana w stylu neorenesansowym (1896) według projektu wyśmienitego architekta, członka Polskiego Towarzystwa Politechnicznego we Lwowie, Włodzimierza Podhorodeckiego, była własnością Emmy Maler, wdowy po kapitanie. To dwupiętrowy dom z mansardą zwieńczoną trójkątną attyką. Z lewej strony dachu półokrągła attyka z lukarną. Płytki wykusz z imitacją balkonów i pilastrami urozmaica fronton. Mieszkali tu: Józef Kohn, kupiec, członek żydowskiego stowarzyszenia humanitarne *Leopolis* we Lwowie, Karol Rutkowski, były legionista, nauczyciel rysunku w słynnym III Państwowym Liceum i Gimnazjum im. Króla Stefana Batorego przy ulicy Batorego we Lwowie.

Kamienica nr 8, jednopiętrowa, należała do Wiktora Steina. Mieszkał tu w czasach galicyjskich wzięty artysta malarz i konserwator Henryk Kühn, profesor Lwowskiej Szkoły Przemysłowej, który przeprowadził m.in. restaurację obrazów batalistycznych w Żółkwi, ściennych malowideł w kaplicy Kampianów przy lwowskiej katedrze czy obrazu Matki Boskiej Pocieszenia w kościele Jezuitów



Roman Kaszuba (1939)

we Lwowie (1905). W ck Państwowej Szkole Przemysłowej uczył rysunku dekoracyjnego i prowadził ćwiczenia praktyczne z malarstwa dekoracyjnego. Przed wojną mieszkańcem tego domu był Roman Kaszuba (1917–2002), który po ukończeniu Szkoły Pilotażu Motorowego trafił do VI Dywizjonu Bombowego. Samolot lecący do Łucka

Jedna z akcji spółki akcyjnej *Polska Foresta* – domena publiczna

w pierwszych dniach wojny trafiony został przez niemieckie myśliwce i rozbił się w czasie próby lądowania. Roman Kaszuba trafił do szpitala, a następnie, nie całkiem wyleczony, uciekał z lecznicy przed wrogiem i, jak pisał, będąc stale żołnierzem tułaczem, przetrwał szczęśliwie wojnę na wolności. Los rzucił go do Kalisza, gdzie zmarł. Pochowany jest w rodzinnym grobowcu Wolffów na Cmentarzu Tynieckim w Kaliszu. Dziś w kamienicy reklamuje się firma noclegowa *Art Apartments*.

W kamienicy nr 9, zbudowanej (1909) według projektu architekta Adama Opolskiego w stylu neogotyckim, łączącym secesję z motywami architektury średniowiecznej, mieściła się szkoła koedukacyjna św. Józefa – *Braci Szkolnych św. Jana de Salle*. Co roku wystawiano tu jasełka, na które zapraszano m.in. w „Lwowskich Wiadomościach Parafjalnych”. Obecnie budynek jest siedzibą Kolegium Zachodnioukraińskiego.



Obraz Matki Boskiej Pocieszenia – kościół Jezuitów, Lwów – domena publiczna

KOMUNIKAT.

Staraniem Stowarzyszenia Apostolskiego Panien przy kościele św. Józefa odbędą się „Jasełka” w szkole im. św. Józefa ul. Lelewela 9. o g. 5-tej popoł. w poniedziałek dnia 13 stycznia b. r.

Anons prasowy o jasełkach w szkole św. Józefa (12.01.1930) – domena publiczna

Nr 11 to żelazna brama, a za nią w głębi podwórza znajdują się być może garaże. Kamienicę nr 13, trzypiętrową, zbudowaną bez jakichkolwiek upiększeń w stylu modernistycznym. Następna, nr 15, jednopiętrowa, była własnością Adeli Pietrzyckiej. W secesyjnej kamienicy nr 17, dwupiętrowej, mieszkał Władysław Wolff (1905–1988), biolog, doktor medycyny, Orleń Lwowski (1918), ochotnik wojny polsko-bolszewickiej, starszy

Dr Władysław Wolff (1905–1988) w laboratorium prof. Rudolfa Weigla na UJK we Lwowie, wikipedia



Grobowiec rodziny Wolffów na Cmentarzu Tynieckim w Kaliszu, wikipedia



w manierze secesyjnej, należała do Krystyny Maniak. Mieszkał tutaj Stanisław Hoszowski (1904–1987), docent historii UJK. W latach 1922–1925 i 1929–1936 nauczyciel w lwowskich szkołach. W 1929 r. uzyskał doktorat na podstawie pracy *Ceny we Lwowie w XVI i XVII wieku* (1928) oraz habilitację na podstawie pracy



Prof. Stanisław Hoszowski (1904–1987) z Marią de domo Wydra (zdjęcie ślubne z 14 lipca 1928 roku ze zbiorów rodzinnych) – domena publiczna



Odnaka honorowa „Orleń” Władysława Wolffa – domena publiczna

asystent Zakładu Biologii Ogólnej UJK, uczeń profesora Rudolfa Weigla (1928–1932). Po wojnie adiunkt Akademii Medycznej w Zabrze-Rokitnicy i twórca oraz dyrektor Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Kaliszu. Tam pochowany, na Cmentarzu Tynieckim.

Przedziwnie łączą się losy Lwowian i warto o tym wspomnieć. Otóż Władysław Wolff i Roman Kaszuba mieszkali prawie naprzeciwko na ulicy Lelewela (nr 8 i nr 17). Nie znali się wcześniej, Roman Kaszuba był o 12 lat młodszy, a w Kaliszu po wojnie spotykają się w mieszkaniu Władysława Wolffa z okazji kurtuazyjnej wizyty siostry Władysława, Heleny, będącej przed ślubem z Romanem Kaszubą. Jak wspominał syn Władysława Wolffa, Kazimierz, w „Roczniku Lwowskim” 2005 (s.119–147), tych dwóch mieszkańców ukochanego Lwowa połączył węzeł miłości do utraconego miasta aż do śmierci. I jak nie pisać, jak nie wspominać tamtego utraconego bezpowrotnie gniazda

polskiej kultury i nauki. Miasta *semper fidelis*, kochającego wolność ponad wszystko.

Ostatni dom po stronie nieparzystej przynależy do ulicy Chmielowskiego nr 6.

Kamienica na Lelewela nr 10, jednopiętrowa, neorenesansowa, z szerokim gzymsiem między kondygnacjami, pilastrami i balkonem

Ostatni dom jednopiętrowy po stronie parzystej ma już numerację Chmielowskiego nr 8, a ulica Chmielowskiego – dawna Gołębia – zamyka ulicę Lelewela. Tutaj w latach 1890–1898 powstawały budowle w duchu francuskiej architektury pałacowej XVII wieku oraz secesji. Były to projekty głównie Juliana Cybulskiego (1859–1924), np. trzypiętrowa kamienica nr 9 (1896–1898), w której przez jakiś czas mieszkał. Na frontonie tej kamienicy zwraca uwagę nadwieszony wykusz przybrany festonami i nakryty dachem namiotowym, od dołu z konsolą i kartuszem. W czasach galicyjskich był tutaj konsulat niemiecki.

Innym projektem Cybulskiego na ul. Chmielowskiego są bliźniacze kamienice



Praca doktorska – „Ceny we Lwowie w XVI i XVII wieku”



Kamienica przy ulicy Lelewela nr 17, wikipedia – domena publiczna



Prof. Józef Koffler (1896–1944)

nr 3 i nr 5, zbudowane dla Nachmana Grunsberga. Dwupiętrowe, w duchu secesyjne. Pod nr. 5 mieszkał Józef Koffler (1896–1944), jeden z pierwszych polskich kompozytorów dodekafonistów. W latach 1924–1941 nauczał on w Konserwatorium Polskiego Towarzystwa Muzycznego jako profesor harmonii i kompozycji atonalnej. Zajmował się też krytyką i publicystyką muzyczną. Redaktor naczelny „Orkiestry” (1926–1939), miesięcznika poświęconego krzewieniu kultury muzycznej wśród orkiestr w Polsce, a także „Echa” (1936–1937), miesięcznika poświęconego kulturze muzycznej Lwowa. Uwięziony przez hitlerowców (1941), zesłany został z rodziną do getta w Wieliczce. W czasie likwidacji getta zbiegł i ukrywał się, niestety wytopiony, został rozstrzelany z rodziną w okolicach Krosna (1944). Dzisiaj w tym domu mieszczą się apartamenty hotelowe pod marką *Mury Starego Lwowa* – *wynajem mieszkań wakacyjnych*.



Miesięcznik „Orkiestra”



Miesięcznik „Echo”

W kamienicy nr 7, trzypiętrowej z pilastrami, mieszkał dr Adam Bocheński (1897–1974), doktor filozofii w zakresie filologii polskiej i słowiańskiej, który mieszkał też przy ul. Kochanowskiego pod nr 108. Pracownik biblioteki UJK od 1922 roku. Po wojnie dyrektor Biblioteki Centralnej Akademii Lekarskiej w Gdańsku. Członek kolegium redakcyjnego „Przeglądu Bibliotecznego” (1955–1968). Od 1927 roku aktywnie działający w Stowarzyszeniu Bibliotekarzy Polskich. Odchodząc na emeryturę (1969), zostawił księgozbiór liczący około ćwierć miliona egz., a zaczynał od 4 tysięcy. Będąc na emeryturze, nie rozstał się z biblioteką aż do śmierci. Pochowany został na gdańskim Cmentarzu Centralnym „Srebrzysko”.



Dr Adam Bocheński (1897–1974)



Reklama firmy Gustawa Bricha – domena publiczna

Ulica Chmielowskiego nr 2, róg Mochnackiego, to secesyjna kamienica zbudowana (1906) przez architekta Tadeusza Obmińskiego (1874–1932), rektora Politechniki Lwowskiej (1916/1917), dla kaflarza Gustawa Bricha, który był współnikiem znanej firmy Fabryka Pieców Kaflowych Franciszek Kubin i Spółka, ciesząc się wielkim wzięciem wśród mieszkańców Lwowa. Lokatorem był tu w 1910 r. wybitny fizyk Marian Smoluchowski (1872–1917), przeprowadził się potem na ulicę Długosza, gdzie mieszkał do 1913 r. O prof. Marianie Smoluchowskim szeroko piszę w eseju *Z Batorego na Parnas*.



Piec, przykład kunsztu firmy G. Bricha – domena publiczna



Kafel, przykład artyzmu firmy G. Bricha

Po sąsiedzku, pod nr. 4, jak podaje informator *Kalendarza na 1925 rok*, mieszkał Julian Cybulski, rządowo upoważniony cywilny inżynier architektury i budownictwa lądowego. Jak wiadać, lubił zmieniać swoje lwowskie mieszkania, o czym jeszcze napiszę. Przez jakiś czas przy ul. Chmielowskiego nr. 6 swoją kancelarię prowadził,



Dr Henryk Vogel-fänger „Toriko” (1904–1990)



Prof. Marian Smoluchowski (1872–1917) – domena publiczna



Marian Smoluchowski z żoną Zofią z d. Borowiecką – domena publiczna

znany z *Wesołej Lwowskiej Fali*, Tońko – Henryk Vogelfänger (1904–1990), doktor prawa, adwokat. Kancelarię miał także na ulicy Obertyńskiej nr 4/6 we Lwowie.

Chmielowskiego nr 11 i nr 11a (13) to bliźniacze domy jednopiętrowe. Dom nr 11 należał do rodziny Paygertów. Kornel Paygert (1868–1936) był ekonomistą, bankowcem, posłem na Sejm Krajowy Galicji (1901–1913), profesorem prawa UJK. W czasie wojny rodzina Paygertów ocalała osieroconą Hanię Nazimek (Bety Schoenholz), o czym pisze Adam Paygert, syn Józefa Kalasantego Paygerta (1892–1962) i wnuk dr. Kornela Paygerta we wspomnieniach o Szlomo Wolkowiczu, którego żoną została po wojnie Hania Nazimek. Za uratowanie Hani Józef Kalasany i żona Józefa Paygertowie zostali odznaczeni medalem *Sprawiedliwi wśród narodów świata*. Do mieszkańców domu należał prof. Antoni Wereszczyński (1878–1948), prawnik, wykładowca nauk prawnych Politechniki Lwowskiej, wielokrotny dziekan Wydziału Inżynieryjnego PL, wykładowca także na UJK i Akademii Handlu Zagranicznego we Lwowie, rektor PL (kadencja 1939/1940), usunięty przez okupacyjne władze sowieckie. Członek założyciel Towarzystwa Budowy Panoramy Plastycznej Dawnego Lwowa (1938). W konspiracji prowadził zajęcia na UJK i tajnym

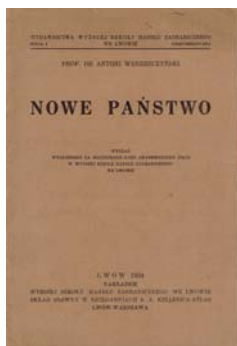


Józef Kalasany „Kaluńio” Paygert (1892–1962) zdj. Józef Witkowski z albumu rodzinnego Paygertów – domena publiczna



Prof. Kornel Paygert (1868–1936)

Studium Dyplomatycznym UJK. Autor książek m.in. *Państwo antyczne i jego renesansy* (1934). Po wojnie pracował na Politechnice Śląskiej w Gliwicach, zmarł w Krakowie. Pochowany na Cmentarzu Rakowickim.



Publikacja Antoniego Wereszczyńskiego „Nowe Państwo” – domena publiczna

Kamienica nr 10, dwupiętrowa, z bramą wjazdową na podwórze, otoczona oficynami, miała również mieszkańców, którzy zasłużyli się na polu nauki. Wśród nich był Adam Fischer (1889–1943), etnolog, etnograf i folklorysta, profesor UJK (1924–1939), kierownik Zakładu Etnologicznego i dziekan Wydziału Humanistycznego (1934/1935). Sekretarz Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego (1910–1939), redaktor pisma „Lud” (1914–1939), wydawca serii *Prace Etnograficzne* (1934). Był także encyklopedystą. Zostawił wiele prac, m.in. *Lud Polski* (1926), prace z etnografii słowiańskiej



Medal Józefa i Józefy Paygertów „Sprawiedliwi wśród narodów świata”, wikipedia



Prof. Antoni Wereszczyński (1878–1948)



Fragment kamienicy na Chmielowskiego nr 9, Lwów – domena publiczna



Prof. Jan Łukasiewicz (1878–1956)



Publikacja Adama Fischera – „Kaszubi...”
– domena publiczna

i in. Zmarł w czasie okupacji w chorobie i opuszczeniu (1943). Pochowany na Cmentarzu Łyczakowskim.

Profesor Jan Łukasiewicz (1878–1956), matematyk, filozof, jeden z twórców szkoły matematycznej (szkoła lwowsko-warszawska), profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza, Uniwersytetu

Warszawskiego i Uniwersytetu Dubliniego (1946). Minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego w rządzie Ignacego Paderewskiego (1919). Doktor *honoris causa* Westfalskiego Uniwersytetu Wilhelma w Münsterze. Podczas okupacji niemieckiej brał udział w tajnym nauczaniu. Od 1944 roku na uchodźstwie. Członek założyciel Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie. Jego praca *O zasadzie sprzeczności u Arystotelesa* zapoczątkowała rozwój logiki matematycznej. Zmarł w Dublinie, ekshumowany jesienią 2022 roku i pochowany na Starych Powązkach w Alei Zasłużonych w Warszawie. W kamienicy tej mieszkała też Gabriela Pikor, sekretarz administracji Biura Wydziału Humanistycznego UJK. Dziś urzędują tam agencje marketingowe.



Publikacja „O zasadzie sprzeczności u Arystotelesa” – domena publiczna

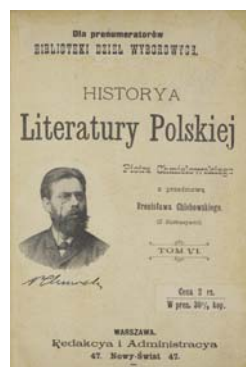
Interesująca jest willa *Palatyn*, stojąca na rogu ulic Kalczej (nr 7) i Chmielowskiego (nr 12). Jednopiętrowa, z basztami w stylu neogotyku (coś z pałacyku i zameczku), zbudowana (1894) według projektu architekta Alfreda Kamienobrodzkiego. To dom Piotra Chmielowskiego (1848–1904), historyka literatury, encyklopedysty, kierownika Katedry Historii Literatury Polskiej, profesora UL (od 1903). Wcześniej był profesorem języka polskiego w gimnazjum męskim J. Pankiewicza w Warszawie (1874–1898), a także wykładowcą na tajnej polskiej uczel-

ni w Warszawie, tzw. *Latającym Uniwersytecie* (1882–1905). Piotr Chmielowski (1848–1904) był redaktorem „Ateneum” (1882–1897), członkiem Akademii Umiejętności (1893), współpracował z czasopismami i wydawnictwami oraz był członkiem komitetu redakcyjnego *Encyklopedii Wychowawczej* (1904–1914). Przetłumaczył na język polski dzieła Goethego oraz *Krytykę czystego rozumu* Kanta. Ogłosił ponad 2100 prac i artykułów. Pochowany jest na Cmentarzu Łyczakowskim. Przed pierwszą wojną światową (1912–1914) mieszkał tutaj wiceprezydent Lwowa dr Tadeusz Rutowski (1853–1918), historyk sztuki, dziennikarz, publicysta, poseł na Sejm Krajowy i do Rady Państwa, ekonomista, mecenas kultury, założyciel Galerii Narodowej oraz redaktor naczelny i wydawca świetnego miesięcznika ilustrowanego „Sztuka”, którego redakcja mie-

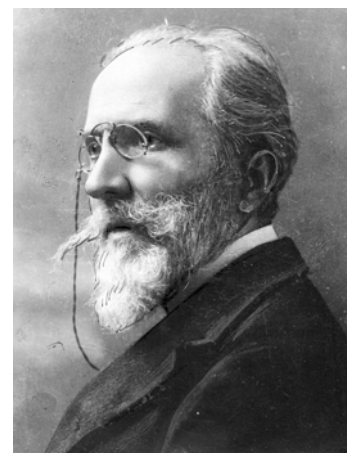
ściła się właśnie w willi *Palatyn*, a administracja w Pasażu Hausmana. Było to cymelium na rynku żurnalistyki drukowanej przez oficynę Goldmana. „Sztuka” była wydawana przez Rutowskiego



prof. Piotr Chmielowski (1848–1904)



„Historia literatury polskiej”, publikacja prof. Piotra Chmielowskiego – Polona



Dr Tadeusz Rutowski (1853–1918)

Medal (awers i rewers) pamięci dr. Tadeusza Rutowskiego – domena publiczna



własnym sump-tem (1911–1913). Był to ważny organ prasowy polskiego ośrodka kultury we Lwowie, powiązany z kulturą ukraińską, ormiańską, żydowską, folklorem cygańskim, huculskim oraz w łączności z kulturą ogólnoeuropejską. Imię Rutowskiego nosiła dawna ulica Teatralna we Lwowie i upamiętniono go medalem Obrońcy i Opiekuna Lwowa (1914) dłuta Jana Raszki.

Spoczywa na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

W późniejszych latach mieszkańcem i współwłaścicielem tej pięknej willi został dr Adelt Hessel, lekarz-aptekarz, do którego należała sąsiednia willa przy ulicy Kaleczej nr 7, gdzie ordynował. Wcześniej willa nr 7 mieściła zarząd dóbr hrabiego Romana Potockiego.

◆
Naprzeciwko willi *Palatyn* pod nr. 15 stoi dwupiętrowa kamienica z mansardą i kutą secesyjną arkadą oraz smukłą wieżyczką wysterczającą z lewej strony dachu. Ta niemal willa, zbudowana, a jakże, przez architekta Juliana Cybulskiego (1890), była jego własnością.

Azurowe balkony leżą na masywnych podporach z lwimi głowami, nad bramą lukarną w girlandach. W podobnej konwencji detale gzymsów okiennych. Architekt dość często zmieniał mieszkania. Po wybudowaniu domu przy ulicy Andrzeja Potockiego nr 38, który



Willa Palatyn, wikipedia – domena publiczna

projektował, miał w nim pracownię oraz biuro. Mieszkańcem nr. 15 był Cyryl Studziński (1869–1941), ukraiński pisarz, historyk, tłumacz, profesor UJK, poseł do Sejmu Galicyjskiego z ramienia ukraińskiej Partii Chrześcijańsko-Społecznej. Po 1918 roku jego kariera na UJK została przerwana, bowiem nie złożył przysięgi na wierność państwu polskiemu. Od 1923 roku do wojny (1939) bez stałej pracy, pełnił różne funkcje w administracji ukraińskich instytucji naukowych, dalej prowadził prace badawcze i był znaczącą postacią ukraińskiego życia kulturalnego Lwowa w tamtym czasie. Mieszkał tu także Stanisław Odrowąż Barącz (1864–1936), poeta, literat i tłumacz, niewidomy od szóstego roku życia (po przejściu ciężkiej choroby), jedna z bardziej znanych postaci młodego



Stanisław Odrowąż Barącz (1864–1936)



Pierwszy numer miesięcznika „Sztuka” (1911)



Skrzyżowanie Chmielowskiego i Kaleczej (widok na willę „Palatyn” i willę nr 15 przy Chmielowskiego), Lwów, wikipedia



Budynek Kalecza nr 5 (braci Berskich), wikipedia

literackiego Lwowa, członek Zawodowego Związku Literatów. Mieszkał z żoną i trójką synów także pod adresem na nieodległej ulicy Chorążczyzny nr 22. Jego zasłużonymi dla Lwowa braćmi byli: Tadeusz (1856–1930), rzeźbiarz i medalier, twórca pomnika króla Jana III Sobieskiego, który po wojnie, z Wałów Hetmańskich Lwowa szczęśliwie udało się przenieść do Gdańska; Roman (1856–1930) – profesor chirurgii Uniwersytetu Lwowskiego, twórca Polikliniki Powszechnej, wydał ok. 100 prac naukowych w kilku językach, a znał ich kilkanaście, kolekcjoner dzieł sztuki, współzałożyciel Archidiecezjalnego Związku Ormian; Erazm (1859–1928), inżynier górnik, kolekcjoner; Władysław (1865–1919), aktor i dyrektor Teatru Wielkiego we Lwowie.



Sąsiednia ulica Kalecza wzięła nazwę od przytułków dla kalek, które miały tu swoje siedziby. Dom nr 2 przy ul. Kaleczej, dzisiaj Stefanyka 16, był własnością lekarza Aleksandra Lecha (do 1893 r.), pierwszego, który zajął się szczepieniami przeciwko ospie i to na szeroką skalę. Pod nr. 4 była redakcja i administracja gazety „Głos Polski” niezawisłego organu mieszkańców Lwowa wydawanego do 1939 r. Kamienice nr 6 i 8, dwupiętrowe, były własnością Henryka Drilicha. kupca chmielu dla lwowskich browarów, a jego syn posiadał magazyny zbożowe. Dom nr 10, także dwupiętrowy, należał

do księgarza Eugeniusza Chajesa. Przy ul. Kaleczej nr 14 była znana w okolicy piekarnia Żelazowskiego.

Przed wojną ul. Kalecza zbiegała aż do ulic Ossolińskich i Chorążczyzny, gdzie odchodziła w lewo wzdłuż ogrodzenia Ossolineum wąska uliczka

zwana kiedyś ul. Biblioteki, na przełomie XIX i XX w. zmieniona na ul. Cytadelną, potem przemianowana na ul. Dąbczańskiej (1929–1946). Dzisiaj ulice Chorążczyzny i Dąbczańskiej to ul. Czajkowskiego, a ul. Ossolińskich – dziś Stefanyka, wchłonęła część Kaleczej i kończy się przy zbiegu ulic Friedrichów (Martowycza) i Kaleczej Góry.

Na ul. Kaleczej, zabudowanej kamienicami z lat 1890–1920, stoi gmach nr 5, trzypiętrowy, zbudowany przez Sylwestra i Adama Berskich w poł. XIX w., według projektu lwowskiego budowniczego Sylwestra Berskiego na własne potrzeby. Po wybudowaniu został on zaraz wydzierżawiony dla seminarium nauczycielskiego męskiego przez Cesarsko-Królewską Radę Szkolną Krajową. Potem był tu klasztor karmelitank, które niestety w wyniku reform józefińskich musiały opuścić miasto Lwów. W latach 1913–1939 budynek należał do Zakładu Narodowego im. Ossolińskich i wykorzystywany był na pracownię intrologatorskie i dział ekspedycji. W 1913 r. Ossolineum planowało wybudowanie na sąsiedniej posesji drukarni literatury oświatowej. Powstał nawet projekt architekta Zbigniewa Brochwicza Lewińskiego, który niestety nie został zrealizowany. W czasach sowieckich urzędował tam Komisariat Wojskowy Obwodu Leninowskiego, potem Komisariat Wojskowy (do 2008). Obecnie gmach wygląda na opuszczony.



Wspinając się ul. Kaleczą, widzimy narożny dom parterowy nr 17, który należał do Chmielowskiego. Parterowy dom nr 9 to przykład starej zabudowy z XIX w. i przez długie lata (do 1940 r.)

był ochronką dla dzieci, która nosiła imię Wojciecha Biechońskiego (1839–1926), działacza spółdzielczego i oświatowego, powstańca styczniowego i komisarza rządowego na województwo krakowskie w czasie jego trwania, honorowego obywatela miasta Gorlice i jego burmistrza, później członka rady miejskiej Lwowa i wielu towarzystw, doktora *honoris causa* UJK, prezesa Towarzystwa *Miejskie Ochronki*



Dr Wojciech Biechoński (1839–1926)



Czasopismo „Głos Polski” – domena publiczna



Publikacja „Miejskie ochronki chrześcijańskie” – domena publiczna

Chrześcijańskie, oddanego tej pracy aż do śmierci, co dało mu przydomek zawiadowcy ochronek. Z wielkimi honorami pochowany na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.



Kalecza nr 11 to dom dwupiętrowy, z mansardą i balkonami, zbudowany (1910) według projektu architekta Zbigniewa Brochwicza Lewińskiego dla historyka i polityka Bronisława Dembińskiego (1858–1939), znanego działacza państwowego, kierownika Katedry Historii Powszechnej, dziekana Wydziału Filozoficznego (1898/1899), rektora (1907/1908) oraz prorektora



Prof. Bronisław Dembiński (1858–1939)



Medal ku czci prof. Bronisława Dembińskiego – domena publiczna

ra (1908/1909) UL, jednego z założycieli Towarzystwa dla Popierania Nauki Polskiej we Lwowie, kierownika Katedry Nowożytnej Historii Polski i Powszechnej UW (1916–1919), kierownika Katedry Historii Powszechnej Uniwersytetu Poznańskiego (1923), posła do Sejmu Ustawodawczego, ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego (1918–1920). Prof. Bronisław Dembiński przewodniczył polskiej grupie Unii Międzyparlamentarnej (1919–1930) i Międzynarodowej Unii Stowarzyszeń Ligi Narodów (1927), członek m.in. Towarzystwa Historycznego i Towarzystwa Naukowego we Lwowie (1921), Towarzystwa Naukowego Warszawskiego (1918), prezes Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk (1923–1939), doktor *honoris causa* uniwersytetów w Oxfordzie i Warszawie.

Uniwersytet Poznański wydał medal ku czci Bronisława Dembińskiego (1933) na 50-lecie pracy naukowej profesora honorowego tej uczelni. Zostawił wiele publikacji i opracowań. Do lokatorów tej kamienicy należał też docent Marian Waligórski (1903–1953) z Zakładu Prawa Procesowego Cywilnego UJK. A dom przed wojną należał do Zofii Supińskiej.



Kalecza nr 18, dwupiętrowa z wysokim parterem i suterenami, zwieńczona jest łukową attyką ze spływami, w attyce znajduje się herma, a z boków lukarny – fasada z niewielką ilością detali. Kamienica należała do dr Anny Jędrzejowskiej.

Kamienica przy Kaleczej nr 20 została zbudowana przez architekta J. Rysiaka (1910). Przed wojną należała do Klemensa Preidla. Mieszkał tutaj znany muzykolog profesor UJK Adolf Chybiński (1880–1952), o którym piszę w eseju *Z Batorego na Parnas*. To właśnie naprzeciwko tego domu była ochronka dla dzieci nr 9. Dzisiaj pod nr. 20 jest agencja nieruchomości *Rentcom*. Natomiast trzypiętrowa modernistyczna kamienica willowa Kalecza nr 22 należała do Beaty Obertyńskiej (córci Maryli Wołoskiej) i profesora Gwalberta Pawlikowskiego.



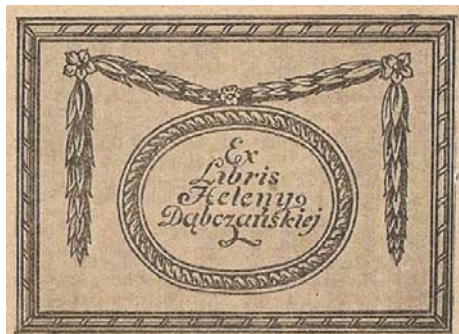
Kalecza nr 24 to willa zbudowana według projektu architekta Jana Schulza (1888), dla znanego adwokata, działacza



Ulica Kalecza (Kalecza Góra), Lwów – na końcu widoczna kamienica nr 22 i brama wjazdowa do willi Zaświecie pod nr 24 – domena publiczna



Maryla i Wacław Wolscy, wikipedia



Ex libris Heleny Dąbcańskiej – do
mena publiczna

społecznego i wielkiego patrioty Antoniego Dąbcańskiego (1806–1887) oraz jego córki Heleny, znajdowała się pod adresem ulicy Cytadelnej. Były tutaj dwa dworki należące do Dąbcańskich. Jeden z nich (górny) z wejściem od późniejszej ulicy Kaleczej został sprzedany ok. 1900 roku Maryli Wolskiej (1873–1930), poetce, i jej mężowi Wacławowi Wolskiemu herbu Lubicz, inżynierowi wynalazcy, przedsiębiorcy naftowemu i działaczowi społecznemu, obrońcy Lwowa. Helena Dąbcańska przeniosła się do dolnego, piętrowego dworku mającego wejście od ulicy Cytadelnej nr 3, dzisiaj Czajkowskiego nr 35. Obie posesje z ogrodami oddzielał załedwie płot. Maryla nazwała willę *Zaświecie*, gdyż była pod cytadelą ukryta w bujnej zieleni, z dala od hałasów miasta, jakby odgradzona od świata. Stała się miejscem spotkań wielu poetów i luminarzy lwowskiej kultury. Willa w rękach Wolskich została przebudowana w 1929 r. w stylu neoklasycyźmu przez architekta Henryka Salvera. Tutaj mieszkała do śmierci matka Maryli – Wanda Monée Młodnicka, wielka miłość przedwcześnie zmarłego wybitnego malarza Artura Grottgera (1837–1867). Po wojnie był tu ośrodek zdrowia (do 1978 r.) dla pracowników urzędu bezpieczeństwa. Dziś też należy do wojskowości. Do rodziny Wolskich należał też dom pod kopułą przy ul.

Cytadelnej, późniejszej ulicy Heleny Dąbcańskiej, obecnie Czajkowskiego nr 37, zbudowany w stylu romantycznej secesji według planów architekta Adama Opolskiego. Dziś zaprasza tam restauracja *Kopuła* („Kopuła”) z polskim *menu* (od 1997). Maryla Wolska miała trzech synów i dwie córki. Najstarszy Ludwik został zamordowany podczas obrony Lwowa przez Ukraińców (1919), Juliusz, najmłodszy, zmarł w 1926 roku. Beata, poetka, zmarła w Londynie (1980), Aniela (Lela) po mężu Pawlikowska, malarka i portrecistka, zmarła również w Londynie (1980). Obie zostały pochowane na Cmentarzu Zasłużonych na Pęksowym Brzysku w Zakopanem, gdzie często przebywały w willi *Dom pod Jedłami*, zbudowanej przez Jana Gwałberta Pawlikowskiego, ojca Michała, męża Leli, pisarza i wydawcy.

Tu pod cytadelą te dwie sąsiadujące ze sobą wille były ważnymi centrami kultury Lwowa. Natomiast Helena z Dąbcańskich Budzynowska, która wróciła do panińskiego nazwiska po nieudanym, krótkim małżeństwie z Włodzimierzem Budzynowskim (1859–1899), doktorem prawa, była właścicielką ogromnych zbiorów bibliotecznych



Helena Dąbcańska (1863–1956)



Restauracja „Kopuła” w dawnej willi Wolskich, wikipedia



Willi pod Jedłami, Zakopane (1911) – domena publiczna

oraz bogatej kolekcji różnych dzieł sztuki. Spokrewniona ze strony matki z Arturem Grottgerem i Józefem Bemem, niewątpliwie dobrze знаła się z młodszą o 10 lat Marylą. Tym bardziej, że mieszkali po sąsiedzku. Helena, która od lat szkolnych żyła kolekcjami, stała się ich ofiarodawczynią dla polskich muzeów. Jak pisała w dzienniku: *w tym streszczało się niejako moje życie*. W willi przy ul. Cytadelnej nr. 3 miała prywatne muzeum, gdzie organizowała *niedzielne poranki artystyczne* dla elit miasta. Powstał w 1907 r. Galerii Obrazów we Lwowie ofiarowała zbiór obrazów malarzy lwowskich (1909), a Muzeum Narodowemu im. Jana III Sobieskiego we Lwowie – kolekcję obrazów malarzy lwowskich i biedermeierowskich (1922). Nie mająca rodzinnych spadkobierców, sześćdziesięcioletnia



Nekrolog Heleny Dąbcańskiej – domena publiczna

Willi „Zaświecie” (ul. Kalcza Góra nr 24, Lwów),
wikipedia – domena publiczna

kolekcjonerka zawarła umowę (1920), która ma swoje potwierdzenie urzędowe w aktach notarialnych o *przysposobieniu przez Helenę z Dąbcańskich Budzynowską Stefana Aleksandra Czołowskiego, który będzie nosił nazwisko Dąbcański-Czołowski i będzie miał prawa do dziedziczenia po kolekcjonerce*. Profesor Stefan Czołowski (1865–1944), historyk, antykwariusz, archiwista, dyrektor Muzeum Historycznego Miasta Lwowa i Muzeum Narodowego we Lwowie, luminarz polskiej kultury, był ze wszech miar godnym zaufania znajomym Dąbcańskich. Niestety zginął w 1944 roku.

Gdy Helena Dąbcańska przeniosła się do Krakowa (1920), zamieszkała na Wawelu w budynku poszpitalnym, sąsiadującym z Muzeum Etnograficznym, któremu przekazała ogromne zbiory (dwukrotnie: 1911, 1920). Chciała mieć nad nimi kontrolę, gdyż niszczały źle składowane. Zresztą część, jak zapisała w dzienniku, została rozkradziona lub zniszczona (np. porcelana), a część księgozbiorów z jej exlibrisem bądź pieczęcią kolekcjonerki trafiała do antykwariatów. Znaczące jej zasługi na polu krzewienia kultury spowodowały uchwałę rajców miasta Lwowa (1921), aby Lwów miał ulicę jej imienia, a popiersie kolekcjonerki stało się w sali Muzeum im. Jana III Sobieskiego we Lwowie. W 1927 roku, ze względów finansowych, Dąbcańska sprzedała swoją willę we Lwowie. Lwowski magistrat przyznał kolekcjonerce „dar honorowy” (1931) w wysokości 250 zł miesięcznie. Helena Dąbcańska wróciła do Lwowa w 1939 r. Po wojnie wyjechała na zawsze do Krakowa i tu samotna, pozbawiona wszelkiego majątku i mieszkania, ta niezwykła mecenaska kultury, zmarła (7.01.1956) w zakładzie Helclów (Domu Pomocy Społecznej im. Ludwika i Anny Helclów na Kleparzu) w Krakowie. Niemal zapomniana, została pochowana w kwaterze zasłużonych na koszt miasta na Cmentarzu Rakowickim (kwatera BC, rz. 1, miejsce 7). Nekrolog słowem nie



Prof. Stefan Aleksander Czołowski (1865–1944)



Willa Dąbczańskiej – ulica Czajkowskiego 35, dzisiaj „Forum Bank”, wikipedia

wspominał o jej zasługach dla królewskiego miasta Lwowa.

Przypomnienie ludzi i ich zasług dla dobra kultury narodu jest koniecznością. Dlatego muszę tutaj wymienić pracę naukową dr Ireny Gruchały, pracownicy Instytutu Studiów Informacyjnych UJ, zatytułowaną

W tym streszczało się niejako moje życie – o lwowskim księgozbiorniku Heleny Dąbczańskiej (Wyd. UJ, Kraków 2016).

Ulica Kalecza w latach 1946–1992 nosiła imię Władysława Kozaka, ukraińskiego robotnika, który zginął podczas zamieszek ulicznych we Lwowie 14 kwietnia 1936 roku.

Dzisiaj w domu Dąbczańskiej przy ulicy Czajkowskiego nr 35 znajduje się *Forum Bank*.



Ta zakręcona dzielnica, wręcz labirynt uliczek pod wzgórzami Kalecza i Szemberka, miała swoje urokliwe zakątki kuszące do zamieszkania obywateli lwiego grodu. Takim miejscem był najwyższy punkt ulicy Cytadelnej, gdzie mieszkał, w dzisiaj nieistniejącym pałacyku (1910–1919), prof. Władysław Witwicki (1878–1948), jeden z oj-

ców polskiej psychologii, filozof i historyk filozofii, teoretyk sztuki, tłumacz Platona, artysta. Był uczniem prof. Kazimierza Twardowskiego, wykładowcą filozofii na UL (1904–1919), później profesorem Uniwersytetu Warszawskiego (1919), wykładającym tu psychologię.

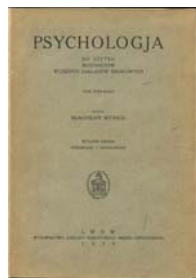
Autor pierwszego polskiego podręcznika *Psychologia*.

Jeden z założycieli Polskiego Towarzystwa Filozoficznego (1904). Do wybuchu I wojny światowej wykładał w lwowskich gimnazjach oraz na UL i PL. W czasie profesury na UW protestował

przeciw *gettowi ławkowemu*. Podczas okupacji prowadził tajne nauczanie. Do śmierci kierował pracami Zakładu Psychologii Doświadczalnej UW, który był zalążkiem obecnego Wydziału Psychologii. Profesor Władysław Witwicki zostawił po sobie wiele publikacji i opracowań oraz tłumaczeń starożytnej filozofii. Jego synowie to: Tadeusz Witwicki (1902–1970),



Prof. Władysław Witwicki (1878–1948)



Psychologia, I tom podręcznika Władysława Witwickiego – domena publiczna



Janusz Witwicki (1903–1946) – domena publiczna



Publikacja na stulecie urodzin Janusza Witwickiego



Panorama plastyczna dawnego Lwowa – domena publiczna



Cytadela w zasiekach (stalag 328), Lwów
– domena publiczna

i nagłaśniał brak właściwej opieki nad kolekcjami szczodrej fundatorki.

♦
Ten piękny zakątek Lwowa kolejni zaborcy zamienili na złowrogi symbol okrucieństwa, który, jak dotąd, nie doczekał się symbolicznego monumetu dla upamiętnienia tysięcy pomordowanych ofiar różnych nacji więzionych w cytadeli. Ledwie krzyż z niewielką tabliczką w dwóch językach stoi, jak wyrzut sumienia, na tym wzgórzu, jednej z wielu lwowskich golgot, upamiętniających zbrodnie kolejnych okupantów miasta.



Krzyż z tablicą upamiętniającą miejsce zbrodni, wikipedia

psycholog,
adiunkt UW,
docent Uniwersytetu
Mikołaja Kopernika
w Toruniu; Janusz
Witwicki (1903–1946),
architekt, twórca
Panoramy

Plastycznej Dawnego Lwowa, kilka dni przed zgodą na wywóz Panoramy do Polski zamordowany przez NKWD. Natomiast bratanek Władysława, Michał Witwicki (1921–2007), architekt i konserwator zabytków, opisał panoramę, dzieło życia Janusza Witwickiego, i wydał w wersji dwujęzycznej na stulecie jego urodzin (2003). Władysław Witwicki był także mecenasem wielu dzieł Heleny Dąbczańskiej, pomagał jej w kłopotach

Tu jestem

Codziennie poszukuję
wewnętrznego głosu
mam nadzieję że znajdę
wciąż mam czas

żeby wierzyć

więc szukam w milczeniu
w świetle poranka
w zdumieniu

w złocistym piachu
w grzywie fali gdy
w otchłani powraca
jak kropla lśnienia
niepomna światła

ja zakładnik pustki
w ciszy nie do ogarnięcia
gdy czas przepadnie

garść ziemi w ustach
nie zasypie jednak
głosu wiersza

mimo przepastnej
nieobecności
tu jestem

i będę do dnia
zapomnienia

(ze zbioru *Sklejanie porcelany* – 2021)

Franciszek Haber



Cytadela, uwięzione księgozbiory Ossolineum,
wikipedia – domena publiczna

Michał Piekarski

Nieznany Żołnierz

*Szkarłat tysiąca łun pada na twoją twarz,
Żołnierzu nasz! Żołnierzu nasz!*

W listopadzie tego roku przypadała 100. rocznica powstania w Warszawie Grobu Nieznanego Żołnierza, najważniejszego symbolu odrodzonej Polski. Uroczyste złożenie do grobu trumny z ciałem Nieznanego Żołnierza odbyło się 2 listopada 1925 r. Był to Obrońca Lwowa z 1918 r. Władze II Rzeczypospolitej, obmyślając koncepcję mauzoleum, najpierw w kwietniu 1925 r. rozstrzygnęły drogą losowania, z którego pobojuwiska z czasów walk o niepodległość zostanie wzięte ciało Nieznanego Żołnierza. Wytypowano ich 15, m.in.: z Polski południowej – Lwów, z Polski centralnej – Wólkę Radzymińską, z Polski północnej – Lidę. Losował najmłodszy podoficer posiadający Krzyż Virtuti Militari. Wybór padł na Lwów. W październiku 1925 r. na Cmentarzu Obrońców Lwowa, gdzie pochowano ponad 2 tys. obrońców miasta (zaatakowanego przez oddziały Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej) odkopano trzy spośród wielu niezidentyfikowanych mogił. W dniu 29 października Jadwiga Zarugiewiczowa, jedna z matek, która na polach Zadwórza (w wojnie polsko-bolszewickiej) straciła syna i jego ciała nigdy nie odnalazła, wskazała na trumnę, którą umieszczono w kaplicy na cmentarzu.

Uroczystości ekshumacji rozpoczęły się w piątek 30 października o g. 15. Na cmentarzu wykonano pieśń Alfreda Stadlera *Pol-*

ski nieznany żołnierz na chór męski do słów Rajmunda Prąglowskiego, po czym trumnę w uroczystej asyście przeniesiono przez ulicę Lwowa do katedry. Przed katedrą honory oddawał oddział konny ułanów jazłowieckich wraz z orkiestrą. U wejścia oczekiwali dwaj lwowscy arcybiskupi – Bolesław Twardowski (rzymskokatolicki) i Józef Teodorowicz (ormiańskokatolicki), straż dzierżyła młodzież kadecka. Trumnę zdjęto z lawety i wniesiono do katedry przy dźwiękach *Mazurka Dąbrowskiego*. W katedrze pośrodku nawy stał ogromny, wysoki na 5 metrów katafalk udekorowany przez Zygmunta Rozwadowskiego orłem w koronie, szablami, karabinami i skrzydłami husarskimi.

Podczas popołudniowego nabożeństwa kapłani odśpiewali hymn *Dies irae* oraz modlitwy za zmarłego. Wykonano też kantatę *Nieznany Żołnierz* specjalnie skomponowaną przez Mieczysława Sołtysa. Następnie hołd Nieznanemu Żołnierzowi oddawały delegacje i tłumy mieszkańców Lwowa. Po całonocnej warcie w sobotę 31 października rano odbyła się w katedrze msza i egzekwie, po czym generał Juliusz Malczewski, dowódca Okręgu nr VI we Lwowie złożył wieniec z brązu z inskrypcją „Towarzyszowi Broni – Wojsko 31 X 1925 r.” autorstwa Antoniego Drożańskiego. Następnie trumnę w uroczystym pochodzie przewieziono na dworzec kolejowy i umieszczono w hali głównej na specjalnym podwyższeniu. Na dworcu Nieznanego Żołnierza powitało lwowskie towarzystwo śpiewacze „Harfa” kantatą

Warszawa, 2 listopada 1925 r., „Tygodnik Ilustrowany”



Grób Nieznanego Żołnierza z upamiętnieniem Obrony Lwowa, fot. autor

Feliksa Nowowiejskiego *Żałobny pochód Kościuszki na Wawel*. W niedzielę rano 1 listopada specjalny pociąg ruszył przez Żółkiew i Lublin w kierunku Warszawy. W katedrze warszawskiej uroczyste egzekwie odbyły się 2 listopada, po których ciało Nieznanego Żołnierza spoczęło w specjalnie przygotowanym mauzoleum w centralnej części kolumnady Pałacu Saskiego, gdzie zamontowano wykonany we Lwowie wieniec z brązu.

We Lwowie w dniu 2 listopada nabożeństwo upamiętniające Nieznanego Żołnierza odbyło się także w synagodze postępowej Tempel. Wśród obrońców polskiego Lwowa były też osoby wyznania mojżeszowego, spośród których poległo co najmniej sześć. Z kolei 3 listopada 1925 r. w Teatrze Miejskim we Lwowie zorganizowano uroczysty koncert. Na wieczór składały się: kantata *Nieznanym Żołnierz* Mieczysława Sołtysa, deklamacja poematu Leona Żypowskiego *Nieznanemu Żołnierzowi*, przemówienie wiceprezydenta miasta Leonarda Stahla, wykonanie pieśni Alfreda Stadlera *Polski Nieznany Żołnierz*. Odbyła się także lwowska premiera dramatu Kazimierza Brończyka *Hetman Żółkiewski* (granego również w Teatrze Narodowym w Warszawie).

W Krakowie uroczystości w 1925 r. odbyły się 1 listopada na Cmentarzu Rakowickim przy mogile Powstańców Styczniowych z udziałem orkiestry wojskowej, a 2 listopada, o g. 10 rano odprawiono mszę w kościele Mariackim, po czym miał miejsce pochód z udziałem wojska do płyty Nieznanego Żołnierza przed Pomnikiem Grunwaldzkim, gdzie odśpiewano *Boże coś Polskę*. W całym mieście na minutę wstrzymano ruch. Wieczorem uroczystą akademię urządzono w krągankach klasztoru oo. Dominikanów. W Przemyślu 1 listopada odbył się z udziałem garnizonu i orkiestry 5 Pułku Strzelców Podhalańskich uroczysty pochód z Rynku na Cmentarz Wojskowy, a następnie bieg z pochodniami wiodący od cmentarza do płyty Nieznanego Żołnierza znajdującej się wówczas na Rynku. Nabożeństwo odbyło się następnego dnia w kościele pojezuickim, po którym na Rynku odśpiewano *Rotę*.

Od strony muzycznej punkt kulminacyjny uroczystości – zarówno w katedrze, jak i w teatrze – stanowiło prawykonanie we Lwowie kantaty *Nieznanym Żołnierz* na chór

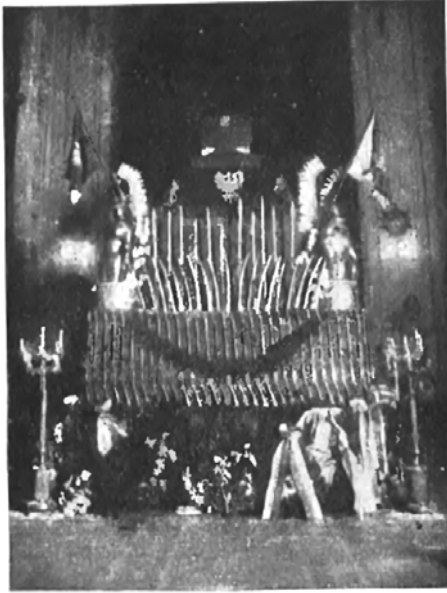


męski i orkiestrę dętą, specjalnie na tę okazję skomponowanej przez Mieczysława Sołtysa do słów Stanisława Rossowskiego. Obydwa wykonania poprowadził sam kompozytor. Mieczysław Sołtys (ur. 1863 we Lwowie, zm. 1929 we Lwowie) był wówczas najbardziej znanym i zasłużonym we Lwowie dyrygentem i kompozytorem, dyrektorem największego i najstarszego w południowej Polsce Konserwatorium Polskiego Towarzystwa Muzycznego (1899–1929), autorem m.in. oratorium *Śluby Jana Kazimierza* (prawykonanie: Lwów 1895 r.) i opery *Panie Kochanku* (Lwów 1924 r.). Stanisław Rossowski (ur. 1861 w Monasterzyskach, zm. 1940 w Warszawie) należał do znanych lwowskich literatów. W 1901 r. na scenie Teatru Miejskiego wystawiono jego komedię *Nawojka*. W tym samym roku odbyła się też we Lwowie polska prapremiera opery *Manru* Ignacego Jana Paderewskiego do libretta Alfreda Nossiga (prapremiera w języku niemieckim: Drezno 1901), którego polski przekład był właśnie autorstwa Rossowskiego.

*Szkarłat tysiaca lun
Pada na twoją twarz,
Żołnierzu nasz! Żołnierzu nasz!
Szkarłat miliona ran
Na twoim sercu masz,
Żołnierzu nasz! Żołnierzu nasz!*

*Dookoła ciebie groza i pożoga,
Wielki Ojczyzny dzień – hańba i klęska wroga,
A w grzmocie dział, w bojowym dymie
Zachodzi słońce twego życia – imię.*

*Przyłbicą głuchy cień
Zasłania twoją twarz,
Żołnierzu nasz! Żołnierzu nasz!
Nieznanym mógł rząd*



*Za schron wieczysty masz
Żołnierzu nasz! Żołnierzu nasz!*

*Z twoich w popioły rozspanych kości
Urosło drzewo wolności.
Polski niezłomna straż,
Tarczą nam jego konary,
A ty w nich trwasz
Zwycięzco mocą ofiary,
Żołnierzu nasz!
Nieznany Żołnierzu nasz!*

Stanisław Rossowski, *Żołnierzu nasz!*,
Lwów (1925)

Kantata *Nieznany Żołnierz* ukazała się drukiem w październiku 1925 r. (jedynie z partią głosów chórnych). Obsada na chór męski była właściwa nie tylko dlatego, że budziła skojarzenie z wojskiem. Lwów w tym okresie stanowił zagłębie chórów męskich, które działały w wielu kościołach, na uczelniach wyższych, w ramach związków zawodowych (np. wśród kolejarzy). Kompozytor mógł zatem napisać ambitny wykonawczo utwór, wiedząc, że nie będzie brakowało głosów męskich do jego zaśpiewania. Na łamach „Kuriera Lwowskiego” informowano o próbach, zachęcając do wzięcia udziału połączone chóry męskie z całego miasta. Jedną z nich odbyła się 25 października w sali Polskiego Towarzystwa Muzycznego, a następnie 28 października w sali Ogniska Oficerów przy ul. Fredry 1. Kantatę w ka-

katafalk z trumną w katedrze lwowskiej w dniu 30 listopada 1925 r. „Tygodnik Ilustrowany”

tedrze i teatrze wykonały połączone chóry męskie wraz z orkiestrą dętą 40 Pułku Piechoty Dzieci Lwowskich.

LOSY KANTATY W 2025 ROKU

Od przeszło roku towarzyszył mi pomysł, aby jesienią 2025 r. kantata, po 100 latach, zabrzmiała ponownie. Nie było to jednak takie proste. Do dziś zachowała się wyłącznie partia na głosy chórne. Analiza zachowanego materiału jasno wykazała, że kantata nie będzie dobrze brzmieć w wybrakowanej wersji (bez orkiestry), zwłaszcza że kompozytor zarówno partię chóralną, jak i instrumentalną traktował samodzielnie. Kompozytor przewidział wstęp i dwutaktowe interludium orkiestry, a w partii chóralnej zdarzają się niepełne akordy, które domagają się dopełnienia w partii instrumentalnej. W celu odtworzenia, a w zasadzie napisania od nowa partii instrumentalnej zgłosiłem się jesienią 2024 r. do prof. Ignacego Zalewskiego z Katedry Kompozycji Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie. Kantata od razu wzbudziła zainteresowanie prof. Zalewskiego zarówno ze względu na kontekst, jak i jej wartość artystyczną. Choć jest to utwór okolicznościowy, został skomponowany na wydarzenie absolutnie wyjątkowe dla mieszkańców Lwowa i odrodzonej Polski. Ponadto w Obronie Lwowa 1918 r. brał udział syn kompozytora Adam Sołtys. Należy przy tym dodać, że 60-letni Mieczysław Sołtys w latach dwudziestych XX w. przeszedł przemianę stylu kompozytorskiego na rzecz unowocześnienia języka muzycznego, co słychać także w kantacie, zwłaszcza w jej urozmaiconej warstwie harmoniczej. Jest to zatem ambitny i ciekawy utwór, przeznaczony dla dobrze przygotowanych wykonawców.

Na początku września gotowa już była partytura i głosy na orkiestrę dętą. Ignacy Zalewski tak umiejętnie skomponował partię orkiestry, że patrząc na zachowane gło-

Kapłani odśpiewali hymn „Dies irae” i egzekwie. Połączone chóry i orkiestry wykonały „Kantatę” Mieczysława Sołtysa pod batutą kompozytora.

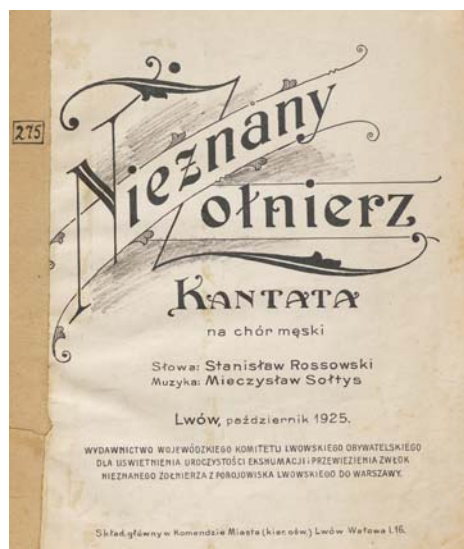
Informacja o wykonaniu kantaty M. Sołtysa, „Kurier Lwowski” 1925

sy chóralne i dokułponowane orkiestrowe odnosi się wrażenie, jakby całość napisał jeden kompozytor. Jednocześnie powstała też wersja na chór męski i organy. W celu wykonania kantaty nawiązałem z kolei kontakt z pułkownikiem dr. Mariuszem Dziubkiem, absolwentem Uniwersytetu Muzycznego w klasie dyrygentury, dyrektorem Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego. W dniu 23 września 2025 r. na Uniwersytecie Muzycznym w Warszawie odbyło się spotkanie z udziałem prof. Ignacego Zalewskiego, pułkownika Mariusza Dziubka oraz piszącego te słowa. Nuty zostały przekazane i przedsięwzięto kolejne kroki

zmierzające do realizacji zadania. Kantata Mieczysława Sołtysa zabrzmiała wreszcie w Warszawie 11 listopada 2025 r. w wykonaniu Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego pod batutą Mariusza Dziubka po zakończeniu uroczystej mszy w Świątyni Opatrzności Bożej z udziałem najwyższych władz państwowych. Było to jednocześnie warszawskie prawykonanie kantaty (oraz pierwsze wykonanie w Polsce po 1945 r.), bowiem jak dotąd wiadomo jedynie o dwukrotnej jej prezentacji we Lwowie w listopadzie 1925 r.

Z kolei 31 października 2025 r. kantata w wersji na chór męski i organy zabrzmiała po 100 latach w katedrze lwowskiej podczas uroczystości 100-lecia Grobu Niezanego Żołnierza z udziałem lwowskiego Męskiego Zespołu Wokalnego „Kalophonia” (prezentującego kantatę) oraz Chóru Katedry Lwowskiej (śpiewającego podczas mszy). Organizatorem wydarzenia było Stowarzyszenie Pierwszorzędnych Inicjatyw (z siedzibą w Szczecinie) oraz konsulat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej we Lwowie.

Warto aby kantatą *Niezanego Żołnierza* zainteresowały się teraz pozostałe chóry męskie w Polsce, zwłaszcza że jest to bardzo ciekawy i ambitny utwór, atrakcyjny już przy pierwszym przesłuchaniu (partytura na chór męski dostępna jest na stronie Polona.pl). Uniwersalny tekst kantaty sprawia, że można ją śmiało prezentować podczas wielu okazji. Kantata jak dotąd nie miała swojego prawykonania w Krakowie...



NIEZNANY ŻOŁNIEZ
(KANTATA)

1.

Andante

Słowa: Stanisław Rossowski.
Muzyka: Mieczysław Sołtys.

1. 2. 1. 2.

Szkar-tat ty-sią-ca tun Pa- da na two- ją twarz Żół- nie- rzu nasz Żół-
nie- rzu nasz Szkar-tat mil- jo- na ran Na two- jem ser- cu masz Żół- nie- rzu nasz Żół-

Stefan Berdak

Moje wspomnienia z chwil spędzonych z Romanem Cieślewiczem

Prezentowane poniżej wspomnienia Stefana Berdaka (1927–2018), artysty malarza pochodzącego ze Lwowa, udostępniła nam jego córka Luiza Berdak, za co bardzo dziękuję. Wspomina w nich przede wszystkim swą przyjaźń z Romanem Cieślewiczem (1930–1996), wybitnym grafikiem, który zdobył międzynarodową sławę. Wszystko jednak zaczęło się we Lwowie...

Romka Cieślewicza poznałem w Stryjskim Parku we Lwowie, budując zamki i babki z piasku w parkowej piaskownicy. W słoneczne dni, wczesnym rankiem, nasze kochane mamy prowadziły nas na świeże powietrze. Do parku wchodziliśmy od strony ulicy Pułaskiego, zawsze przed godziną otwarcia kasy. Pani Cieślewiczowa miała zaprzyjaźnionego ogrodnika, który wpuszczał nas przez bramkę. Miał ciemnozielony mundur i groźne sumiaste wąsy. Moja mama codziennie zadawała mu to samo pytanie:

– Czy piasek w piaskownicy został wymieniony na nowy? Bo w przeciwnym razie nasze pociechy mogłyby się nabawić gruźlicy czy psich robaków!

Uśmiechając się spod wąsa, ogrodnik odpowiadał:

– Tak szanowna paniusiu, ma się rozumieć paniczki mogą bawić się spokojnie. Bihme!

Nasze mamy siadały na pobliskiej ławce, rajdając szydełkowały dla nas sweterki na jesienno-zimowe chłody. A my żwawo nabieraliśmy łopateczkami piasku do wiader. Tak mijał czas do godziny jedenastej. O tej godzinie wychodziliśmy smutni, czas zabawy się kończył. Mamy wraz z nami udawały się na pobliski plac targowy św. Zofii. Mamy dokonywały zakupów na przygotowanie obiadów. Rozstawaliśmy się bardzo niechętnie. Mamy tłumaczyły, że jutro też będzie pogoda i znów się zobaczymy w parku na zabawie w piaskownicy.

Nadszedł czas uczęszczania do szkoły. Odziani w mundurki spotykaliśmy się tylko



Stefan Berdak, Kraków (1950)

czasami, zbierając kasztany. Zimą lepiłszy bałwana, pomagali nam bracia Romka. Jeździliśmy na sankach. W Stryjskim Parku były świetne zjazdy z okolicznych gór. Park leżał w dolinie otoczonej wzniesieniami, gęsto porośniętymi okazałymi drzewami. Tu toczyliśmy pierwsze bitwy na śnieżki, a latem na kije, które zastępowały nam szpady,

W zimowe wieczory 1938 roku bawiliśmy u Romka. Cieślewiczowie mieszkali na parterze kamienicy przy ulicy św. Zofii. W pokoju od ulicy malowaliśmy pod okiem starszego brata Romka, który był kursantem Instytutu Sztuk Pięknych we Lwowie. Studiował na wydziale grafiki. Drugi brat zawsze czytał, siedząc w głębokim fotelu. Z drugiego pokoju, którego okna wychodziły na podwórkę, dochodziły odgłosy głośnych żeńskich rozmów i częstego kasłania. To kaszlała siostra Romka, chora na suchoty. Nie wolno jej było do nas przychodzić. Ojca Romka widziałem tylko parokrotnie, późnym wieczorem, gdy zmęczony po pracy wracał do domu. Z zawodu był zdunem, budował i naprawiał piece kaflowe. Był grubawy, ale niezbyt wysoki. Mama Romka była otyła, częstowała nas placzkami i kompotem.

W okresie inwazji włoskiej na Abisynię wpadliśmy na pomysł wykonania planszowej gry wojennej. Romek malował na kartonowych kwadracikach czarnych Abisyńczyków,

karabiny maszynowe na słońcach, armatki na wielbłądach. Zaś na czarnych kwadracikach malował białą temperową farbą cieniutkimi pędzelkami (własność brata Romka) włoskich żołnierzy, ich tankietki, armaty na samochodach. Podczas malowania brat Romka instruował:

– Upraszczaaj, nie maluj szczegółów, nie szarp kresek, bardziej plamą... O tak, jest lepiej. Tu popraw, to już zostaw, wystarczy, bo zepsujesz. W 1939 r. brat Romka (nie pamiętam imion braci, może Michał i Władek – ten grafik? a siostra na pewno miała na imię Zosia), artysta, został powołany do wojska i po 1 września przekroczył wraz z wojskiem granicę rumuńską.

Do Lwowa wkroczyli bolszewicy. W lutym 1940 r. rozpoczęły się nocami wywózki. Chodziliśmy do różnych szkół podstawowych. Spotykaliśmy się po lekcjach. Informacje, które przekazywaliśmy sobie nawzajem, były podobne. Do klas przychodziło coraz to mniej kolegów. Nocami budził nas warkot sowieckich samochodów. Tłuczenie kolbami o bramy kamienic. Krzyki czekistów:

– Odkrywaj, bo ubiję!

Potem tupanie podkutych butów. Z drżeniem nasłuchiwalismy, czy to nie po nas. Czy nie walą do naszych drzwi. Przyciskaliśmy mocno zapakowane przez mamę tobołki z najniezbędniejszymi przedmiotami, jak mydło, ręcznik, ciepła bielizna, sweter, skarpetki, wełniane rękawiczki i sucharki oraz medalik. Romek, chłopiec niepotulny, postanowił po swojemu protestować. Otóż w nasączonym roztopioną świeczką kartoniku wycinał rosyjskie litery: „СССР БОИ!” (ZSRR PRECZ!) i czarną linorytniczą farbą pozostawioną przez brata wciskał medyczną gruszką wypełnioną piaskiem w otwory papieru, drukując na kartkach ze starych zeszytów. Tak powstawały jego pierwsze malutkie plakaciki. Rozklejał w korytarzach domów, na ścianach klatek schodowych. Tam, gdzie mieszkali przywiezieni sowietci w miejsce naszych wywiezionych do Kazachstanu kolegów.

W 1942 roku zaczęliśmy uczęszczać do Szkoły Przemysłu Artystycznego przy ul. Snopkowskiej. Romek był na grafice u prof. Turowicza. Ja początkowo u prof. Karola Rutkowskiego, a następnie u prof. Schtiberowej i na ceramice u prof. Tyskiego, który rok później zmarł. Duże przerwy

spędzaliśmy w słoneczne dni na tarasie lub na daszku, na który było wejście z pracowni graficznej. W deszczowe dni Romek zbiegał do suterenu do pracowni ceramicznej i razem wychodziliśmy do olbrzymiej sali gimnastycznej, gdzie od sufitu wisały grube liny. Chwytaaliśmy je w dłonie przeciągaliśmy do ścian przeciwnych, Roman z prawej wspinał się na drabinę gimnastyczną, ja zaś na drabinę na lewej ścianie. Na hasło „hop” zeskakiwaliśmy z drabinek. Zwieszeni pomiędzy podłogą a sufitem pędziliśmy na siebie. Odpychani zadanymi kuksańcami, odbijaliśmy się od siebie i znów bezwładnie rozpuśczone liny kierowały nas ku sobie. Gdy liny straciły impet, zeskakiwaliśmy na podłogę i zaczynaliśmy zabawę od początku aż do chwili usłyszenia dzwonka oznajmającego koniec przerwy. Wtedy biegiem do swoich pracowni. Po skończonych zajęciach wychodziliśmy grupą z bramy na ulicę. Zasłonięci rysownicami niesionymi wysoko nad głowami, na które spadał grad glinianych pocisków rzucanych przez ukraińskich uczniów z wysokiej stromej góry znajdującej się po przeciwnej stronie ulicy. Ukraińcy byli uczniami tej samej szkoły artystycznej, lecz mieli osobne oddziały i swoich pedagogów. Spotykaliśmy ich na korytarzach, byli wtedy spokojni. Ale nie rozmawialiśmy z nimi. Czasami my kończyliśmy szybciej lekcję. Wtedy wdrapywaliśmy się na szczyt góry. W dłoniach toczyliśmy gliniane kule w pośpiechu, by było ich jak najwięcej. W rewanżu obsypanymi gradem glinianych pocisków byli ukraińscy uczniowie, którzy tak jak my poprzednio, biegiem uciekali lub pozostawali w bramie, czekając na chwilę, kiedy skończą się nam gliniane kule. Zimą były to śnieżki. Do naszej grupki należeli Roman Cieślewicz, Ryszard Gachowski, Tadeusz Kostrz, Bronisław Kocuj, Stefan Berdak i inni, których nazwisk nie pamiętam. Nasze koleżanki wychodziły później, kiedy walczące grupy rozpiechły się.

Pod koniec października w pracowni graficznej z kamieni litograficznych drukowano na kartonikach czarne rysunki szopek. Każdy z uczniów otrzymywał po kilkanaście arkusików do pokolorowania farbą anilinową. Jeśli malowanie wieczorami w domu szło mu sprawnie i szybko, brał następną partię arkusików do kolorowania. Szkoła rozprowadzała arkusiki w sklepach. Z uzyskanych pieniędzy

były fundowane zapomogi. A i każdy z nas dostawał parę groszy za wymalowane sztuki.

W październiku owego roku 1942 spotkał się w pracowni znanego lwowskiego artysty malarza, ucznia Jana Matejki, Stanisława Kaczor-Batowskiego, na prywatnych lekcjach malarskich. Spotkanie w pracowni tak słynnego batalisty było dla wszystkich zaskoczeniem. Gdyż każdy z nas w inny sposób znalazł się w pracowni profesora i traktował to jako wielkie wyróżnienie. Do Batowskiego uczęszczaliśmy dwa razy w tygodniu. Było nas czterech: Stefan Berdak, Roman Cieślewicz, Olek Kłoda (zastrzelony w 1943 r.), Leszek Piasecki (twórca panoramy odsieczy wiedeńskiej na Kalenbergu w Wiedniu, zmarł przed kilkoma laty). Przez krótki okres chodził też do pracowni Tadeusz Zipser (Nie wiem, czy tak pisze się jego nazwisko. Teraz jest profesorem na Politechnice Wrocławskiej). Batowski bardzo przestrzegał nas, byśmy przychodzili i wychodzili pojedynczo, w odstępach pięciominutowych; w czasie okupacji za prywatne nauczanie można było być aresztowanym.

Batowski, poza lekcjami malarstwa u niego, polecił nam rysowanie z natury w Muzeum Historycznym m. Lwowa, w Kamienicy Czarnej przy Rynku. Rysowaliśmy zbroje rycerskie, szyszaki, miecze, misiurki, hełmy. Pod koniec 1943 roku malowaliśmy już sceny bitewne wg własnych kompozycji. Romek malował temperami na papierze.

W 1944 r. w czasie świąt wielkanocnych, w nocy z niedzieli na poniedziałek, był wielki nalot lotniczy na Lwów. Wtedy jedna z bomb zapalających (50 kg) spadła na pracownię Batowskiego, na szczęście nie wybuchła.

Słupka cały szklany dach. Zatrzymała się na śpiącej służącej, miażdżąc ją. Pracownia była zasypana szkłem. Z Romkiem pomagaliśmy sprzątać i pakować obrazy i inne rzeczy. Dostaliśmy wtedy po małym obrazku olejnym z dedykacją profesora. Pracownia była zniszczona, o naprawie dachu nie było mowy. Batowski wyprowadził się do znajomych przy ul. Pułaskiego. Był to koniec lekcji u niego. Romek był na jego pogrzebie w 1946 r.

Muszę jeszcze wspomnieć, że Romek w każdą niedzielę śpiewał w kościele oo. Misjonarzy na Snopkowie. W 1945 r., 28 września, razem z moimi rodzicami opuściłem Lwów pociągiem repatriacyjnym. Jadąc w odkrytej węglarce, siedzieliśmy pod plandeką. Lało przez całą drogę, aż do Opola, gdzie rodzice postanowili się osiedlić.

W sierpniu 1946 roku spotkałem na Rynku w Opolu Romka, który w czerwcu przybył z rodzicami do Opola. Roman, będąc na wycieczce w Polanicy, spotkał tam prof. Włodzimierza Hodysa. Hodys zaprosił Romka do Krakowa do Liceum Sztuk Plastycznych. Romek wspominał profesorowi o mnie. Hodys powiedział: – To przyjeżdżajcie obaj do mnie 1 września. Ja jestem dyrektorem, u mnie zdacie egzamin do liceum.

1 września objuczeni tobołkami, rysownikami, rulonami papieru dotarliśmy, stojąc na zderzakach pomiędzy wagonami do Krakowa. Na dworcu nikt nie wiedział, gdzie jest ulica Koletek, przy której mieszkał Hodys. Aż jedna paniusia z walizkami usłyszała nasze pytania i powiedziała: – Ja tam jadę taksówką, mogę was zabrać. Adres był ten sam. Pani mieszkała od ulicy, a Hodys w oficynie. Kiedy weszliśmy na podwórko, Hodys stał w oknie, jakby czekał na nas.

– Nu dobrze żeście przyjechali, będziecie spać na podłodze, a jutro do szkoły na egzamin.

Późnym wieczorem odwiedził Hodysa prof. Eugeniusz Waniek, grafik i malarz. Hodys kazał nam pokazać nasze malunki profesоровi i zapytał:

– No i co?

– No dobrze – odrzekł profesor. Hodys do nas:

– No to jesteście przyjęci, możecie spać spokojnie.

Rano udaliśmy się we dwójkę na piechotę w kierunku opisanym



przez Hodysa. Minęliśmy gmach Gł. Poczty, ul. Sienną, Sukiennice. Weszliśmy na Karmelicką i tu zostaliśmy zaczepieni przez dwu chłopaków. Pytali nas, gdzie jest ul. Juliusza Lea? – Chodźcie z nami, my tam też idziemy. Może na egzamin do liceum plastycznego? Tak! Wyższy wyciągnął ku nam rękę, mówiąc

– Jestem Franek Starowiejski.

Drugi niższy, grubawy:

– A ja Jurek Plesner (obecnie prof. na ASP na Wydz. Architektury w Krakowie).

Dotarliśmy w czwórkę do liceum. Zdaliśmy egzamin wszyscy czterej. Romka i mnie Hodys zaprosił na obiad. Był znakomity, pamiętam go do dziś. Cudowny ukraiński barszcz ugotowała siostra Hodysa. Była w nim czerwona rzodkiewka pokrajana w cieniutkie plasterki, gotowane jajko na twardo, też w plasterkach. I poszarpane liście kapusty, marchewka w plasterkach, a barszcz zabelony śmietaną. A do tego pierogi ruskie z podsmażaną cebulką i polane śmietaną. Przy stole siedziały dwie siostrzenice, dwu bratanków (Zbyszek Sokół i Roman Wołyniec – późniejszy scenograf filmu polskiego) i Hodys. Przez dwa tygodnie spaliśmy na kocach na podłodze w towarzystwie bratanków. Przez dwa tygodnie byliśmy karmieni trzy razy dziennie wszyscy po gościnnemu w myśl przysłowia „czym chata bogata”. Wreszcie Hodys załatwił nam pobyt w Bursie ks. Kuznowicza przy ul. Skarbowej. Mieszkaliśmy w pokoiku w trójkę. Ten trzeci to góral z Nowego Targu, nasz rówieśnik z technikum przemysłowego.

Pobyt w bursie nie sprawiał nam przyjemności, nie mieliśmy miejsca na jakąkolwiek pracę plastyczną. W sali przeznaczonej na odrabianie lekcji było zbyt ciasno. Stoły były małe, wąskie, dwuosobowe, uczniowie siedzący przy stołach stykali się łokciami. Na dodatek w głębi małej salki, na katedrze, siedział twarzą do nas ksiądz, który ostro reagował na każdy nasz ruch. Cierpiał szczególnie Roman który wykonując prace plastyczne musiał stać, by dobrze widzieć całość wykonywanego rysunku. A ksiądz zabraniał uczenia się w pozycji stojącej. Należało ślęczeć nad książką lub zeszytem. Każdy dzień zaczynał się pobudką o godzinie piątej rano. Należało wybiec w piżamie na korytarz i odśpiewać „Kiedy ranne wstają zorze”. Potem biegiem do umywalni, zająć-wywalczyć miejsce przy umywalce i myć



Stefan Berdak (1948)

się do połowy w zimnej wodzie. Druga połowa była myta dwa razy w tygodniu pod prysznicem w tłumie kolegów.

Do szkoły mieliśmy niedaleko, szliśmy alejami, następnie przez Park Krakowski i ulicę Juliusza Lea, przy której mieściło się Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych. Szkoła znajdowała się na drugim piętrze w pięciu pokojach. Na przerwy wychodziliśmy na klatkę schodową i niewielki korytarz. W czasie dużej przerwy tercjanowa wydawała w niewielkich miseczkach ciepłą zupkę. Zawsze z Romkiem prosiliśmy o repetę. Podczas przerw musieliśmy uważać na to, o czym mówiliśmy, gdyż na pierwszym piętrze mieścił się dzielnicowy komitet partii, w którym często na polecenie Hodysa wykonywaliśmy z Romkiem okolicznościowe dekoracje, jak Dzień Kobiet, Pierwszy Maja, Dzień Dziecka, zakończenie roku szkolnego, rozpoczęcie roku, na konferencje partyjne, na siódmego listopada i Dziadka Mroza. Parę groszy zawsze nam za to wpadło. Romek zawsze projektował dekoracje, po czym po zatwierdzeniu przez prof. Wańka i sekretarza PZPR wykonywaliśmy je we dwójkę. Roman zawsze dzielił pieniądze po połowie, choć miał prawo wziąć sobie więcej, bo przecież jego był projekt. Był bardzo koleżeński. Roman pięknie śpiewał i lubił śpiewać. Organizował w liceum wieczorki artystyczne,

podczas których śpiewał lwowskie piosenki. Był uwielbiany przez koleżanki, podziwiany przez kolegów. Gdy na lekcjach matematyki posypały się dwóje, a matematyczka okazała się znerwicowanym pedagogiem, który nie miał ani cierpliwości, ani zrozumienia dla naszych braków w sposobie rozwiązywania bardziej skomplikowanych równań, Romek namówił klasę do bojkotu lekcji matematyki, zaprosił Hodysa na zebranie z całą klasą i poprosił o zmianę nauczycielki matematyki na innego bardziej stosownego pedagoga. Hodys, który lubił Romka, przyrzekł zatrudnić nowego nauczyciela. Na najbliższą lekcję matematyki przyszedł uśmiechnięty, sympatyczny pedagog pan prof. Stroński. Wszyscy polubiliśmy go bardzo, doprowadził nas wszystkich do matury. Roman najbardziej lubił lekcje z prof. Eugeniuszem Wańkiem, który uczył nas kompozycji graficznej. Romek był najlepszym uczniem z tego przedmiotu. Malarstwa uczył nas prof. Roman Orszulski, a rzeźby prof. Roman Tarkowski. Pod koniec lutego klasa postanowiła Romkowi zrobić niespodziankę na jego imieniny. Udekorowaliśmy klasę balonikami z nadmuchanych prezerwatyw. Kolega Jerzy Hura robił dekorację w Krakowskich Zakładach Gumowych na bal karnawałowy i tam zorganizował te baloniki. W dniu imienin Romana na pierwszą lekcję nie przysłała, z powodu grypy, polonistka dr Romankówna. Zastąpił ją prof. Roman Orszulski, który wszedł do klasy przed przybyciem Romka i sądził, że klasa tak z niego zakpiła w dniu jego imienin. Trzasnęła drzwiami. Po chwili nadszedł spóźniony Romek z pomadkami, które kupił po drodze do szkoły i przez to się spóźnił. Za nim wszedł do klasy dyr. Hodys.

– Nu, co wy wyprawiacie! Ja was wyrzucę! Obraziliście tak dobrego profesora!

Wszyscy zaczęliśmy tłumaczyć że ta dekoracja to dla Romka, a prof. Orszulski wcale nie miał mieć z nami lekcji. Hodys chwycił pudełko pomadek, wziął Romka do pokoju nauczycielskiego do prof. Orszulskiego, któremu wręczył pomadki i wyjaśnił całą sprawę dekoracji. Prof. Orszulski dał się Romkowi przeprosić.

Pewnego wieczoru, a było to w miesiąc od chwili zamieszkania przez nas w Bursie Kuznowicza, otóż po kolacji przyniosłem do pokoju metalowy kubek z gorącą kawą, postawiłem na parapecie otwartego okna, by

wystygła. Chwilę po tym gwałtownie otworzył drzwi kolega. Okno ruszone przeciągiem trąciło kubek. Kawa wylała się na parapet od strony ulicy. Zdołałem chwycić kubek, ale kawy już w nim nie było. Wylała się na ulicę. Zaniepokoił nas hałas dobiegający z korytarza. Do pokoju wpadł piętrowy, podbiegł do okna i głośno krzyknął.

– To tu, proszę księżda!

W drzwiach pojawił się ksiądz, krzycząc.

– Który to z was wylał kawę przez okno?!

Odpowiedzieliśmy

– To przeciąg strzelił oknem, wyracając kubek.

Ksiądz:

– Daję wam pięć minut. Jeśli do dziesiątej nie zgłosi się do mnie winowajca, to jutro wyrzucę was wszystkich!

Romek usiłował tłumaczyć, że był to niezamierzony przypadek, ale ksiądz trzasnął drzwiami, Zapanowała głucha cisza. Po pięciu minutach byłem na dole przed drzwiami księdza prefekta. Zapukałem, usłyszałem groźne:

– Wejść!

Zacząłem się usprawiedliwiać. Przerwał.

– Pozwalam przenocować, ale skoro świt opuścisz bursę! Wyjdź!

Wróciłem do pokoju. Zmartwiony Roman zapytał:

– No i co?

– Zostałem wyrzucony – odpowiedziałem.

Wcześniej rano spakowałem się. Roman zbudzony:

– Zaczekaj, ja się też spakuję. Pójdziemy razem do Hodysa. Wszystko mu opowiemy, wstawi się za nami! Nie jedząc śniadania, udaliśmy się do liceum. Po drodze ubolewaliśmy nad repatrianckim losem. Porzuconym, z przymusu sowieckiego, Lwowem. Nad utraconą naszą lwowską szkołą artystyczną. Nad biednym naszym zmarłym prof. Batońskim. Wchodząc do szkoły, natknęliśmy się na dyr. Hodysa.

– Nu, co wy tak skoro?

Roman opowiedział przebieg sprawy w bursie. Hodys chwycił za telefon, rozmawiał z księdzem, ale nic to nie dało. W owym czasie brakowało miejsc noclegowych dla młodzieży. Bogaci rodzice z prowincji dawali grube pieniądze za umieszczenie w bursie. Hodys powiedział:

– Nu, to będziecie spali u mnie na podłodze, bo w szkole na ławkach nie wolno!



Stefan Berdak, Nysa 1946 r.

Po tygodniu Hodys zatrudnił w szkole nową sekretarkę. Była córką kobiety, która zaopiekowała się Hodysem po śmierci jego rodziców. Sama była nauczycielką w Sokalu. Pomogła Hodyswi wykształcić się, a teraz Hodys zatrudnił jej córkę w szkole, rewanżując się starszej pani, która wraz z córką osiedliły się w Krakowie. Hodys wezwał Romka i mnie do sekretariatu, przedstawił sekretarce. Pokazując na nas zapytał, czy ci dwaj chłopcy mogliby u pań zamieszkać, jak ja niegdyś. Dam im stypendium, za życie zapłacę. Zaraz po lekcjach udaliśmy się w towarzystwie sekretarki do jej mieszkania. Nazwiska sekretarki nie pamiętam. Miała około pięćdziesięciu lat. Mieszkała wraz z matką w dwupokojowym mieszkaniu na pierwszym piętrze w oficynie przy ulicy Sarego 10. Weszliśmy: przez obszerny przedpokój do dużego pokoju.

– Tu będziecie mieszkać. Przez pokój będzie przechodził student, który meszka w drugim, mniejszym pokoju.

W naszym pokoju stało duże drewniane łóżko i kanapa, duży stół stał na środku, a mniejszy pod ścianą. Ja wylosowałem łóżko i mały stół, Romek kanapę i duży stół. Obiady jedliśmy przy dużym stole. Student okazał się czterdziestoletnim mężczyzną kończącym rozpoczęte jeszcze przed wojną studia prawnicze. Był małowówny. Każdej nocy parokrotnie przekraczał nasz pokój chodząc do łazienki. Licealna sekretarka mieszkała z siedemdziesięcioletnią matką w obszernej kuchni. Starsza pani wstawiała bardzo wcześnie i przygotowywała dla nas posiłki. Dokonywała wszelkich zakupów. Prawie nie rozmawialiśmy z nią. Zimą paliła

w piecu, który ogrzewał dwa pokoje. W łazience zimą w miednicy zamarzała woda. W celach kąpielowych starsza pani przynosiła wrzącą wodę w dwu czajnikach. Pomimo tych niedogodności byliśmy szczęśliwi. Nikt nas nie kontrolował. Uczyliśmy się dobrze. Chodziliśmy we dwójkę do kina. Po każdym seansie Romek malował swoją wersję plakatu do obejrzanego filmu. Często siedzieliśmy do drugiej w nocy. Wstawaliśmy o szóstej trzydzieści. Mycie, śniadanie i wspólna droga piechotką do szkoły. Na tramwaj nie było nas stać. W każdą niedzielę spotykaliśmy się w harcówce w szkole podstawowej przy placu Matejki. Byliśmy zastępowymi w drużynie Aleksandra Haupta. Romek bardzo zjednał sobie swoich chłopaków z zastępu. Wyuczył ich miłości do kolekcjonowania plakatów filmowych. Jeśli zobaczyli ładny plakat na okrągłaku, po zapadnięciu zmroku spotykali się przy plakacie, paru stawalo na czatach, reszta zrywała plakat bardzo ostrożnie, by go nie uszkodzić. Tak powstała pierwsza Romka kolekcja plakatów. Roman malowane przez siebie plakaty filmowe wysyłał do Centrali Wynajmu Filmów w Warszawie. Po kilku takich wysyłkach otrzymał list z CWF-u z gratulacjami za trafność kompozycji i precyzyjne wykonanie projektu. Pisali, że projekt przekazują do archiwum i że w razie ponownego zapotrzebowania wydrukują plakat Romka.

Pewnego dnia wieczorem odwiedziła Romka jego dziewczyna jeszcze ze Lwowa. Rodzice dziewczyny zamieszkali w Krakowie. Ona znalazła adres Romka przez Czerwony Krzyż. Szybko jednak ten romans się skończył. Roman był kochliwym chłopcem

i miał powodzenie u dziewczyn. Tuż przed maturą mieszkanie, w którym mieszkaliśmy, urząd kwaterunkowy przyznał listonoszowi z trojgiem dzieci i chorą żoną. Zostaliśmy wyeksmitowani. Przeniesiono nas do jednopokojowego mieszkania przy ulicy Felicjanek. Do zdania matury spałem z Romkiem w dużym drewnianym łóżku, każdy z nas miał własną poduszkę i owinięty był we własną kołdrę. Nasze gospodynie przeciągnęły w poprzek pokoju linkę z przesuwaną na noc kotarą. Obie panie też spały po przeciwnej stronie pokoju we wspólnym łóżku. Na środku pokoju stał duży stół. Został przez nas przedzielony sznurkiem. Ja wylosowałem połowę stołu od strony drzwi, a Roman od okna. Rankiem, gdy wstawaliśmy z łóżka, rozgniataliśmy pantoflami stonogi. Nocą z sufitu spadały na nas karakony. Kran z wodą był na korytarzu, a ustęp na drewnianym ganku, taki z dziurą na wszystkie piętra. Zimą mocno dmuchało. Roman w tym czasie chodził z Zosią, córką dyrektora Technikum Ekonomicznego. Ojciec dziewczyny zlecił Romkowi wykonanie wystawy na trzy-lecie technikum. Dekorację wykonywaliśmy przez trzy noce. Na lekcje wychodziliśmy kompletnie niewyspani, prosto z roboty, bez śniadania. Czekaliśmy na szkolną zakupkę.

Mieliśmy kłopoty z kończeniem obowiązkowych projektów graficznych. W ciasnym pomieszczeniu, w jakim przyszło nam mieszkać, nie mieliśmy możliwości nauki. Ja malowałem pejzaże pod kopcem Kościuszki. Roman robił grafiki u Zośki. Nadszedł dzień zdawania matury. Zdawaliśmy trójkami. Z nami zdawał Donat Tucewicz, nasz rówieśnik – więzień Majdanka, późniejszy malarz i konserwator. Zdawał jako pierwszy. Odpowiedział na dwa pytania poprawnie. Ale polonistka dr Romankówna nalegała:

– Donatku, odpowiedz na pierwsze pytanie! Czy Adam Mickiewicz był socjalistą?

Donat wstał, poczerwieniał. Krzyknął:

– Pluwać! na wasze błagodariodzie!

Wybiegł, trzaskając drzwiami. Zapanowała konsternacja. Pierwszy wstał Hodys. Wybiegł za Donatem. Po chwili wrócił przygnębiony. My byliśmy przerażeni. Donat był naszym serdecznym przyjacielem. Romankówna jeszcze przed maturą powiedziała Donatowi że zada mu to pytanie na maturze. Panowała głucha cisza, którą prze-rwał Hodys.

– Nu, Berdak. zdawaj ty! – wybrałem kartkę, były łatwe pytania. Zdałem.

Wyszedłem z sali. Po dłuższej chwili wyszedł Roman. Też zdał. Ale byliśmy smutni z powodu Donata. Wieczorem poszliśmy do Donata. Namawialiśmy go, by następnego dnia przyszedł do liceum i zdawał z następną grupą. Tak radził nam powiedzieć Hodys. Ale Donat był nieprzejednany. Maturę zdał we wrześnie, ale Romankówny nie było wtedy przy egzaminie.

Zaraz po maturze Hodys udostępnił nam pomieszczenie wygospodarowane na strychu liceum. Tam urządziliśmy wystawę naszych prac robionych poza szkołą. Roman wystawił tam swój pierwszy plakat drukowany z okazji Międzynarodowego Dnia Dziecka. Był z tego powodu bardzo dumny. Ja też miałem zawieszony drukowany plakat. Wygrałem konkurs na plakat reklamujący czytelnictwo. Wydrukowali na miesiąc przed maturą. Czekały nas egzaminy na studia. Hodys pozwolił nam nocami spać na ławkach w liceum. Spał z nami wtedy też Franciszek Starowiejski. Pewnego ranka zbudziło naszą trójkę głośnie pukanie do drzwi klasy. To dobijali się młodszy uczniowie. Kiedy pośpiesznie ubrani z plecakami pod pachami otworzyliśmy drzwi, stał w nich zastępca dyrektora, profesor od rzeźby Roman Tarkowski, który zbeształ nas:

– Jakim prawem tu śpicie, już nie jesteście uczniami. Kto wam pozwolił! Wynocha!

Następnej nocy spaliliśmy w trójkę w parku Jordana, na ławkach pod gołym niebem. Dostawaliśmy się tam już po zamknięciu parku, włączając po zapadnięciu zmroku przez dziurę w płocie. Tak było przez parę nocy, dopóki Hodys nie wrócił z Warszawy. Gdy się dowiedział od Romka, gdzie śpimy, powiedział:

– Ja w Rzymie i w Pradze też spałem pod mostami, gdy studiowałem historię sztuki!

Ale nam załatwił pokój u pewnego małżeństwa. Pożyczył pieniędzy na wynajęcie pokoju. Mieszkaliśmy tam jednak sam, gdyż Roman nocował u Zośki.

Roman zdał na Akademię Sztuk Pięknych, ja na Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych. Nasze drogi na rok się rozeszły. Gdy w listopadzie spotkałem go na Plantach, usiedliśmy, a on opowiedział mi swoje wakacyjne przygody. Na początku minionych wakacji został powołany do Służby Polsce.

Był na obozie pracy gdzieś pod Gdańskiem. Budowali tam wały przeciwpowodziowe. Roman miał tam nieszczęśliwy wypadek. Wózek szynowy wjechał mu na stopę. Leżał tydzień w szpitalu. Potem już nie wrócił do pracy fizycznej. Został przydzielony do oddziału imprezowego. Razem z Leszkiem Herdegenem grali w kabarecie. Za zorganizowanie kabaretu Roman otrzymał piękny aparat fotograficzny, jednoobiektywową lustrzankę NRD-owską – Praktiflex. Był z niej bardzo dumny. Mówił:

– Teraz będę robił fotomontaże!

Niedługo trwała jego radość. Bo kiedyś siedząc na plantach koło sadzawki z Jurkiem Jeleńskim zostali zaczepieni przez przygodne dziewczyny, za którymi poszli. Gdy Romek zorientował się, że ramię ma za lekkie i nie wisi na nim aparat fotograficzny, czym prędzej wrócił, ale aparatu pozostawionego na ławce już nie było.

Po roku obie uczelnie zostały połączone. Obaj znaleźliśmy się w pracowni projektowania graficznego prof. Macieja Makarewicza. Romanowi bardzo sprawnie szło projektowanie graficzne. Na koniec każdego semestru otrzymywał wyróżnienia. Był członkiem Koła Naukowego, dostawał wyższe stypendium i mieszkał w pojedynczym pokoju. Mieszkaliśmy w jednym akademiku, byliśmy w jednej pracowni. Ale nasze zainteresowania były różne. Na trzecim roku Roman wybrał pracownię plakatu prof. Jerzego Karolaka. Ja natomiast, pod presją dziekana wydziału grafiki, zostałem przydzielony do pracowni drzeworytu prof. Ludwika Gardowskiego. Gardowski, który był w tym czasie dziekanem, chciał mnie mieć w swojej pracowni.

Już na piątym roku studiów Romek wyprowadza się z akademika. Mieszka odtąd w domu u młodszej koleżanki z grafiki Rity Walter. Romans ich nie trwa jednak długo. Podczas roku dyplomowego Roman wyjeżdża do Warszawy. Pracuje w Wydawnictwie Artystyczno-Graficznym, gdzie projektuje plakaty. Mieszka u plakacisty Waldemara Świerzego. Do Krakowa przyjeżdża na egzamin dyplomowy, który zdaje z wyróżnieniem. Likwidując swój pokój u Rity, przekazuje mi wszystkie pozostające tu, a będące jego własnością materiały plastyczne. Po czym na stałe opuszcza Kraków.

W Krakowie powstaje magazyn literacko-graficzny „Czarno na Białym”, który na-

stępnie pod wpływem cenzury zmienia tytuł na „Zebra”. Pełnię tam funkcję redaktora graficznego. Zapraszam Romka do współpracy. Godzi się. Początkowo przysyła krótkie teksty z nowinkami graficznymi, a do numeru 19/20 projekt okładki, którą wydrukowałem. Po likwidacji „Zebry” nasze kontakty wygasają. Czasami spotkany Hodys opowiada, jak to Roman jednego roku zaprojektował i wydrukowali mu 100 plakatów. Jak z tego powodu zazdrości mu środowisko, graficzne. Wspominał, że Romek wszedł w związku małżeńskie ze znaną rzeźbiarką Aliną Szapocznik. Ja z podziwem oglądałem miesięcznik „Ty i ja” w Romana opracowaniu graficznym. Roman wyjeżdża do Francji. Hodys, będąc w Paryżu, bywał u Romka i widział że Roman po śmierci Aliny nadużywa alkoholu, że trzęsą mu się ręce. Roman w owym czasie ma już za sobą udaną współpracę z redakcją „Elle” i wykłada w Ecole de Paris.

Ostatni raz widziałem Romka w krakowskiej Galerii przy ul. Brackiej, gdzie otwierał wystawę swoich kolaży. Był wtedy na wózku inwalidzkim. Wypił wiele butelek wina. Wino pił jak wodę. W 1996 roku dowiaduję się z Dziennika Telewizyjnego o śmierci Romka. W 1998 roku w numerze 2752 tygodnika „Przekrój” zostaje zamieszczony bogato ilustrowany materiał „Cieśliewicz in memoriam”.



Stefan Berdak w Krakowie (1951)

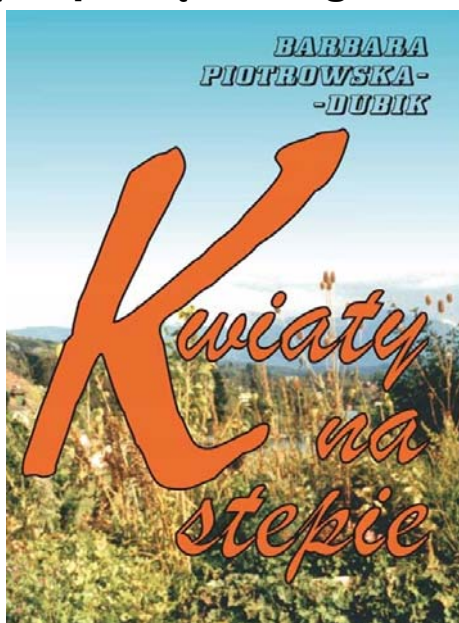
Iskra narodowej pamięci, piękąca, tragiczna

*Los w czasie wojny – Drugiej Światowej
Nie szczędził Kresowych Dzieci.
Piotrka z Nieświeża,
Józka ze Lwowa,
Z Wilna Tereski i Ziułka,
Z Grodna Grażynki,
Antosia z Brześcia,
Maniusia spod Nowogródka.
Wdarli się do nich nocą żołdacy
Na krzywdę i na ból ślepi –
I wysiedlili wraz z rodzinami
W Sybiru lasy i stepy...
A tam w Sybirze nędza, katorga,
Śmiertelny mróz i zawieje...
Nagle amnestia: Sikorski – Anders.
Ożyły w sercach nadzieje.
Piotrkom z Nieświeża,
Józkom ze Lwowa,
Z Wilna Tereskom i Ziułkom,
Z Grodna Grażynkom,
Antosiom z Brześcia,
Spod Nowogródka Maniutkom.*

(Marian Jonkajtys, „Kresowe Dzieci”)

BABUNIU, OPOWIADAJ O STEPIE...

„Boże, daj nam wytrwać z godnością do końca” – modliła się Basia Piotrowska w kwietniu 1946 r. Był to ostatni rok pobytu na zesłaniu. W młodzieńczym wieku przeżyła gehennę wygnania, doświadczyła Golgoty Wschodu. W 1940 r. została zesłana z mamą Heleną i dwoma młodszymi braćmi – Adamem i Andrzejem – do Kazachstanu. Przeżyła tam sześć lat w ekstremalnych warunkach. Mimo wyjątkowo trudnych przeżyć w surowym świecie zachowała pogodę ducha, nadzieję i godność. Z pisanego na wygnaniu pamiętnika wyłania się obraz dziewczynki o silnej osobowości, twardo stąpającej po ziemi, ale niepozbawionej wrażliwości. Jej uposażeniem duchowym była siła wiary, że Bóg jej nie opuścił i nie opuści. Wśród zesłanych spotykała ludzi dobrego serca, co łagodziło cierpienie, tęsknotę, osamotnienie i lęk. Mimo ciężkich warunków egzystencji na dalekiej, obcej ziemi potrafiła dostrzec opiekę Opatrzności oraz dobrą wolę w każdym człowieku. Zdolność obserwacji nawet



tam pozwalała jej zachwycać się przyrodą, o czym świadczy wiele pełnych poetyckiego liryzmu fragmentów pamiętnika: „Stepowa trawa jeszcze się czerwieni, później staje się srebrzysta w blasku księżyca. Wschody i zachody słońca na stepie są urzekające, tak piękne, że wprost nie do opisania, zupełnie jak w bajce – zaczarowany piękny świat. Kiedy budzi się do życia słońce w całym swym majestacie i wszystko dokoła, stepowa trawa i kolorowe w niej kwiaty, a potem, kiedy gaśnie, kiedy w dzwoniącej ciszy usypia cały step, serce moje wyrwa się do Boga Stwórcy. I wówczas, klęcząc na stepie, wołam: – O Boże, dziękuję Ci, że stworzyłeś taki piękny świat, że stworzyłeś go dla nas, abyśmy byli szczęśliwi. A co uczynił człowiek? Błagam Cię, Boże, zmiłuj się nad nami”. Książka *Kwiaty na stepach* to przejmujące świadectwo polskiego dziecka – nie tylko o walorze historycznym, ale przede wszystkim świadectwo siły ducha oraz wiary. Jak sama autorka wyznała: „Sześć lat życia w skrajnej nędzy, głodzie i ciężkiej pracy fizycznej przeżyłam dzięki Opatrzności Bożej”. Jak to ujął podczas niedawnych obchodów Światowego Dnia Sybiraków bp Robert Chrząszcz, „Sybiracy noszą głębokie blizny

nie tylko na swoim ciele, ale i na duszy – to często również znamię przynależności do Boga, a na pewno zawsze znamię przynależności do ojczyzny”. Barbara Piotrowska-Dubik zdecydowała się opublikować swoje wspomnienia dzięki zachęcie wnuków, którzy prosili: „Babuniu, opowiadaj o stepie, wielbłądach, lepiankach, zachodach słońca i groźnych buranach, o tym, jak byłaś głodna. Ty na pewno jeszcze więcej pamiętasz...”, a także męża i przyjaciół, którzy przekonali ją, że „obraz przeżyć polskich dzieci i młodzieży na zesłaniu syberyjskim powinien ujrzeć światło dzienne”. Autorka opowiada o rozstaniu z ojcem, oficerem Wojska Polskiego, tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej, o wyjeździe wraz z matką i dwoma młodszymi braćmi do rodziny na Kresy Wschodnie, a następnie o ich aresztowaniu przez NKWD i sześciu długich latach spędzonych w Kazachstanie. Ten tom wspomnień stanowi iskrę narodowej pamięci, piekącą i tragiczną. Wpisuje się w nurt literatury opisującej dramatyczne losy Polaków w czasie drugiej wojny światowej. Jest jedną z najlepszych pozycji literatury sybirackiej, również pod względem literackim. Warto zapoznać się z książką, bo należy do skarbnicy polskiej historii, a ona kształtuje naszą tożsamość. Mający walor osobistego przeżycia i ludzkiego dokumentu tom zatytułowany *Kwiaty na stepie* to książka, która pozwala lepiej zrozumieć, czym są patriotyzm i miłość ojczyzny. Idealna do rodzinnego czytania, gdyż opowiada również o miłości w rodzinie oraz o miłości w wielkiej rodzinie ludzkiej. Wspomnienia Basi Piotrowskiej są przepięknie ufnosścią dziecka, potem młodej kobiety, i głęboką wiarą, że wszystko, co spotkało ją i jej rodzinę, ma jakiś sens. „Nie martwcie się, wszystko przemienie, tylko wszystko zapamiętajcie, rejestrujcie dokładnie w swojej pamięci to, co tutaj przeżywacie, notujcie, bo to przejdzie do historii wygnańców polskich. Wierzę, że te tragiczne dzieje waszego losu będziecie opowiadać kiedyś swoim dzieciom, a może nawet wnukom” – te słowa swojego wuja, brata matki, Zbigniewa Buchelta, który dobrowolnie udał się na zesłanie, by wspierać siostrę Helenę i jej dzieci, Basia Piotrowska wzięła sobie głęboko do serca. Zimą 1945/46 zanotowała: „Zaczynam się martwić, jak przewieźć przez granice moje pamiętniki z codziennymi niemal notatkami”.

6 LAT DŁUGICH, BARDZO DŁUGICH LAT ZWĄTPIENIA I NADZIEI, CZĘSTO WBRĘW NADZIEI

Wiosną 1946 r., gdy zesłańcy czekają na możliwość powrotu do ojczyzny, matka Basi w Komitecie Polskim dowiaduje się, że jeśli ktoś ma dokumenty, pamiętnik, notatki, papiery uwłaczające władzy radzieckiej lub obrazujące tragiczne przeżycia Polaków, powinien je zniszczyć. Gdyby je w trakcie kontroli odkryto, kara mogłaby okazać się bardzo wysoka – ponowne zesłanie. Po przeglądzie rodzinnej dokumentacji oraz swojego pamiętnika pisanego przez wszystkie lata zsyłki dziewczynka bez wahania wydiera mnóstwo kartek wedle jej osądu najbardziej „szkalujące” i wrzuca do ognia. Zapisując „litanię cierpienia”:

- 6 lat tułaczki
- 6 lat chłodnych i głodnych
- 6 lat wielkich mrozów, zamieci i upałów
- 6 lat walki o przetrwanie
- 6 lat pracy ponad siły
- 6 lat tęsknoty za Ojczyzną i rodziną
- 6 lat rozstania
- 6 lat modlitwy o szczęśliwy powrót
- 6 lat długich, bardzo długich lat zwątpienia i nadziei, często wbręw nadziei

– autorka pamiętnika pociesza się, że zostaje pamięć, której nikt nie może odebrać: „ona przejdzie bezkarnie przez najsurowsze nawet kontrole”. Rozmawiając z „babuszką Rosjanką”, która w swojej ubożuchnej lepiance przygarnęła polską rodzinę z dobroci serca, dziękuje jej oraz innym Szymonom i Weronikom, najprostszym ludziom. Dzięki ich współczuciu mogli dźwigać codzienny ciężar krzyża, powstawać po dniach załamania i rozpacz. Krzepiąca była dla dziewczynki i jej bliskich wiara w drugiego człowieka. Wrażliwość Basi i jej śmiałe patrzenie w przyszłość sprawia, że pamiętnik – choć opisuje dramatyczne wydarzenia – tchnie optymizmem. Mimo niezwykle ciężkiej pracy, znoszenia trudów związanych z klimatem i codziennej walki o przetrwanie Basia potrafiła zachować i dostrzegać dobro, piękno i humor. Autorka przekazuje wiele cennych wiadomości o życiu zesłańców polskich, ale także zesłańców innych narodowości: Rosjan, Żydów, Niemców i Ukraińców. Są surowi i egzotyczni Kazachowie. Są uchodźcy spod Moskwy. Są Tatarzy, którzy pilnują, by nikt nie zakłócił Eucharystii sprawowanej

w ich chacie przez ks. Tadeusza Fedorowicza, który dobrowolnie wyruszył na tę nieludzką ziemię z transportem wywożonych ze Lwowa zesłańców, żeby pełnić wśród nich posługę kapłańską. Jak zapisała autorka we wrześniu 1943 r.: „Nagle wśród Polaków rozchodzi się radosna wieść, którą nasi rodacy przekazują sobie wzajemnie, a mianowicie, że w Semipałatyńsku jest ksiądz, Polak – ksiądz Tadeusz Fedorowicz”. Ksiądz Fedorowicz odprowadził potajemnie we wrześniu 1943 r. pierwszą mszę św. dla zesłańców. Poznajemy też uroczą babuszkę Zinaidę, Rosjankę, której jedyny syn poległ pod Warszawą, walcząc z Niemcami. Gdy już było wiadomo, że polscy zesłańcy mogą wreszcie wrócić do swojej ojczyzny, Rosjanka ze współczuciem powie do Basi: „Ile wyście przeżyli, ile wycierpieli i za co? Jacy tam z was wrogowie. Widocznie chcieli was zniszczyć za waszą polskość, za wasz patriotyzm, a może i za waszą dobroć”. Za sprawą zapisków dziewczynki przed oczami czytelników rozciąga się ogrom cierpienia, tułaczki i kaźni wielu naszych rodaków. 17 września 1939 r. rozpoczął się jeden z najtragiczniejszych okresów dla rodaków na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej. Okupacja sowiecka w niedługim czasie doprowadziła do ludobójstwa w Katyniu oraz masowych deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu i innych terenów Związku Sowieckiego. W bydłych wagonach, w 40-stopniowym mrozie przez wiele dni i nocy jechali w nieznane. Wywożono całe rodziny, w środku nocy, bez sądu, bez przyczyny, wystarczyło być Polakiem. Poznali, co to jest głód, katorżnicza praca, choroby i nieludzkie warunki. Ocenia się, że podczas 4 dużych deportacji: 10 lutego, 13 kwietnia, 20 czerwca 1940 r. oraz 21 czerwca 1941 r. sowieci zesłali na Syberię łącznie 1,5 mln Polaków. Wielu pozostało tam na zawsze, bez mogiły i krzyża. Jedną z takich rodzin byli Piotrowscy z Poznania. Wyrwani ze snu mieli chwilę, żeby się spakować i opuścić dom. Zostali przetransportowani na stację kolejową, a następnie wepchnięci kolbami eskortujących czerwonoarmistów do ostatniego z 62 (Basia policzyła) bydłych wagonów na stacji w Buczaczu. Ściśnięci na drewnianej płocie razem z sześcioma innymi osobami przez dwa tygodnie jechali na miejsce swojego wygnania: północno-wschodnie

rubieże Kazachstanu – południowe granice syberyjskich stepów.

UCZYLIŚMY SIĘ PRZEBACZANIA

Barbara Piotrowska-Dubik, lekarka i autorka wspomnień, przyszła na świat we Lwowie 31 maja 1927 r. Przed wybuchem II wojny światowej mieszkała z rodziną w Poznaniu. W wieku 12 lat została wywieziona wraz z rodziną do Kazachstanu, gdzie pracowała przymusowo. Tam też, dzięki ogromnej determinacji, zdała maturę. Każdy dzień był walką nie tylko o przeżycie, lecz także o własną duszę i godność, o zachowanie człowieczeństwa na nieludzkiej ziemi w warunkach skrajnego głodu i wyczerpania. Do Polski wróciła 1 czerwca 1946 r. Założyła rodzinę, doczekała się czwórki dzieci, z których dwoje zmarło. Współtworzyła struktury warszawskiego oddziału Związku Sybiraków. Wielokrotnie występowała na spotkaniach autorskich i w radiu, przybliżając młodzieży historię zesłańców. Ze swoich przeżyć wojennych i wygnańczych potrafiła wylawiać okrucieństwa i piękna: „Największym naszym świadectwem jest to, że uczyliśmy się sensu cierpienia, uczyliśmy się cierpliwości, uczyliśmy się umieć czekać, uczyliśmy się spokoju i wytrwania, uczyliśmy się przebaczenia” – mówiła. Po 60 latach Barbara Piotrowska wróciła do Kazachstanu. Do tej podróży namówił ją ks. Tadeusz Fedorowicz, którego poznała w Semipałatyńsku. W tym samym czasie pielgrzymował tam Jan Paweł II. Pragnęła podziękować tym, którzy pomogli jej przetrwać. Przywiozła polskie kwiaty, które obiecała braciszkowi Jędrusiowi. Autorka pamiętnika żyła 90 lat, zmarła 7 marca 2019 r. Brat Adam założył rodzinę, został ekonomistą. Wuj Zbigniew Buchelt przeszedł szlak z Armią Andersa, walczył pod Monte Cassino, zmarł w 1977 r. Ojciec Jan Piotrowski widział, jak sądzeni i rozstrzelani byli jego koledzy, co bardzo przeżywał. Zmarł w maju 1948 r., dostał wylewu. Helena Piotrowska doczekała się 16 prawnuków, zmarła w 1999 r. w wieku 94 lat.

BĄDŹCIE DZIELNI, NIECH BÓG WAS PROWADZI

Ojciec Barbary, Jan Piotrowski, w czasie I wojny światowej walczył w armii gen. Hallera, potem brał udział w powstaniu wielkopolskim i wojnie polsko-bolszewic-

kiej w 1920 r. W czasie II wojny światowej jako kapitan VII Batalionu Łączności walczył do 5 października 1939 r. pod dowództwem gen. Franciszka Kleeberga, który ostatni złożył broń w czasie kampanii wrześniowej. Jan dostał się do niewoli niemieckiej – przebywał w oflagu VIIa w Murnau. Aby ochronić rodzinę przed zbliżającą się wojną, wysłał dzieci i małżonkę do rodziny na Wołyniu. Myślał, że tam będą bezpieczni. 29 sierpnia 1939 r. wyjechali na Wschód. Basia musiała się pożegnać z marzeniami o gimnazjum oraz z tatusem. „Niech Bóg was prowadzi” – to były ostatnie słowa ojca. Rankiem 31 sierpnia dotarli do Uściługa nad Bugiem. Basia z mamą Heleną i braćmi musieli się ukrywać. 20 września zostali ostrzeżeni, że Ukraińcy mogą ich napasać i zamordować. Następnego dnia do miasta wkroczyła Armia Czerwona. Bug stał się granicą niemiecko-sowiecką. W połowie października Helena Piotrowska z dziećmi przedostała się przez Lwów do Barysza, małej wioski, gdzie mieszkali dziadkowie Basi. Dzień przed imieninami Basia dowiedziała się, że ojciec żyje, jest w obozie jenieckim w Kielcach. W Baryszu dziewczynka przeżyła pierwsze wojenne święta Bożego Narodzenia. „Dzielimy się opłatkiem, płacząc. Przy stole miejsce dla nieobecnych” – wspominała. Potem przyszła druga wiadomość od ojca – przebywał w niemieckim oflagu VIIa Murnau. Trzy dni po Popielcu, 10 lutego 1940 r. sowieci zaczęli wywozić Polaków na Syberię.

NIE PŁACZ, MAMO, NIECH NIE WIDZĄ NASZYCH ŁEZ

13 kwietnia 1940 r. nocną ciszę przerwał łomot do drzwi. Była 5 rano, kiedy „oficer NKWD, dwóch żołnierzy z karabinami oraz miejscowy Ukrainiec i Żyd (znajomy) z czerwoną opaską na ramieniu, uśmiechnięty, zadowolony” wtargnęli do domu dziadków Basi. Gdy Helena Piotrowska zaczęła płakać, Basia powiedziała: „Nie płacz, mamo, niech nie widzą naszych łez”. Dowiedzieli się, że mają się szybko ubrać i spakować oraz że pojedą w głąb ZSRR do pracy. Mama Basi zdążyła jeszcze napisać krótki list do męża oraz zabrać ze sobą kupiony w Poznaniu krzyż, który towarzyszył im od końca sierpnia 1939 r. w ich wojennej tułaczce. Razem z nimi pojechał 23-letni Zbigniew Buchelt, brat mamy, żołnierz kampanii

wrzesniowej (walczył pod Bzurą), który na zesłanie zgłosił się dobrowolnie. Zawieźli ich wozami do Buczacza. Tam wsiedli do wagonu towarowego, gdzie na niewielkiej powierzchni stłoczonych było wiele rodzin, nie tylko polskich: razem 37 osób. W wagonie nie znali nikogo. Dopiero po 24 godzinach pociąg ruszył. Ktoś zaczyna modlitwę. Tak rozpoczęła się ich tułaczka. Na granicy Europy i Azji pozwolili im wysiąść na 20 minut. Basia wyskakuje z radością, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Pociąg zatrzymał się w Nowosybirsku. Wszystkich wygnańców zapędzono do łaźni, potem dano ich chleb: 7 trzykilogramowych bochenków na 38 osób. „Mija następna doba jazdy, krajobraz znów piękny, wzgórza i zaczynające się stopy. – Zobaczcie, prawdziwy step!” – woła Basia, ale nikt nie podziela jej zachwyty.

SOWCHOZ „KRASNYJ KAZACHSTAN”. TAK NAZYWA SIĘ TA „LUDZKA” OSADA NA BEZKRESNYM STEPIE

Wreszcie 28 kwietnia pociąg zatrzymał się na stepie w północno-wschodnim Kazachstanie, a oni trafili do położonego u podnóża gór altajskich sowchozu „Krasnyj Kazachstan”. To mała osada składająca się z centrali, w której mieści się dyrekcja sowchozu, z trzech „uczastków” oddalonych o kilka kilometrów, zamieszkałych tylko przez Kazachów, oraz z niemieckiego „gorodka”. Piotrowscy zostali przydzieleni do centrali zamieszkałej przez Rosjan i Kazachów. Ci ostatni „wyglądają egzotycznie”, zauważa dziewczynka. Najbliższe miasto – Szemanaicha – było oddalone o 36 km. „Dookoła skośnoocy ludzie, dźwięk szybkiego, dziwnego języka i przerażająca inność tego zagubionego w stepie świata” – notuje Basia. Nie mogli się poruszać dalej niż 15 km od sowchozu. „Jesteście tu na zsyłce za wrogą działalność, praca więc będzie z nakazu, a nie z wyboru” – usłyszeli. Zostali zakwaterowani w mieszkaniu rosyjskiego komunisty, który okazał się przyjazny. Wiedząc, że Polacy są katolikami, dał im do zrozumienia, iż mogą się modlić i nikt się o tym nie dowie. „Domek” to mała lepianka z gliny z dwoma niewielkimi oknami. Basia i Adaś pracują przy pasieniu świń. Klimat był bardzo surowy. Latem, które jest bardzo krótkie, temperatura dochodzi do 40 lub nawet 50 stopni. Wiosny i jesieni tam prawie nie ma.

Zimą temperatury spadały do minus 50 stopni Celsjusza, a zamiecie śnieżne sprawiały, że odczuwalna temperatura była jeszcze niższa. Kwitł handel wymienny. Helena Piotrowska pozbywała się kolejnych cennych rzeczy, głównie pięknych ubrań, wymieniając je na bochenek chleba, mleko i masło. Basia z niepokojem obserwowała, jak jej młodszy brat – trzyletni Andrzej – mizerniał z dnia na dzień. To dla niego zdobywały jedzenie. Życie na syberyjskim stepie stało się dla dziewczynki przyspieszonym kursem dojrzewania.

NIEKIEDY BURANY TRWAJĄ DZIESIĘĆ DNI I DŁUŻEJ

Przez kilka tygodni mróz trzymał tęgi, temperatury dochodziły nawet do minus 50 stopni. Mroźne powietrze kłuło odsłonięte policzki lodowatymi igłami, para z ust zamarała i osiadała szronem na policzkach, rzęsach i czapkach. Basia, chodząc do przerębli 50-metrowym tunelem wykopanym w śniegu po wodę, miała silnie odmrożone ręce i nogi, które bardzo ją bolały. „Po przyjsciu rozcieranie, zanurzanie w zimnej wodzie, łyż cisnąć się do oczu. Wieczorem naprzemienne moczenie w zimnej i gorącej wodzie, a potem smarowanie naftą”. Gdy szalał buran, kominem wywiewało całe to liche ciepło, jakie dawał piecyk opalany kiziakiem. Basia nazywa buran „białym piekłem” – jest coraz ciemniej i zimniej, wycie wiatru przenika tak bardzo, że nic więcej poza nim mieszkańcy lepiank nie słyszą. Panuje nastrój grozy i lęku, że zginą z głodu i zimna, że zostaną zasypani śniegiem. „Modlimy się, odmawiamy różaniec, litanię do Matki Bożej i Serca Jezusowego. Żywności prawie już nie ma. Jędrus popłakuje coraz częściej, udziela mu się nastrój przygnębienia, woda ze śniegu mu nie smakuje”.

DZIELIMY SIĘ OPLĄTKIEM ZE ŁZAMI W OCZACH

Każde Boże Narodzenie było dla zesłańców pełnym olbrzymiej tęsknoty czasem, kiedy ich myśli biegnęły do ojczyzny: do domu rodzinnego, do tych, którzy zostali. Łączyli się z nimi duchowo, wspominali poprzednie radosne święta. Wtedy zapominali o tym, gdzie się znajdują. Przez chwilę nie istniały głód, nędza, katorżnicza praca, upodlenie, walka o każdy kęs chleba, którego smaku nie czuli miesiącami. Pierwsze Boże Narodzenie

w Kazachstanie Barbara i jej bliscy przeżywali ze współtowarzyszką niedoli, panią Marią Kulikowską i jej dziećmi. Dziewczynka zapisze w pamiętniku: „Stoimy wszyscy wokół stołu (8 osób), dwie rodziny polskich oficerów. Czynimy wszyscy znak krzyża i zaczynamy modlitwę. – Odczuwamy, Panie Jezule, Twoją obecność pośród nas. Dzielimy się opłatkiem ze łzami w oczach, składamy sobie życzenia serdeczne, płacząc. Myślimy o naszych najbliższych, o mężach i ojcach: w Murnau i Starobielsku. Jaka jest ich wigilia?”.

SMAK JABŁKA

Kiedy rozpoczęła się wojna niemiecko-sowiecka, do Polaków z sowchozu „Krasnyj Kazachstan” przestały przychodzić paczki od rodzin. Basia ciężko pracuje przy ziarnach, które żuje, by zaspokoić głód. 30 lipca 1941 r. został podpisany układ Sikorski–Majski. „Jest ktoś i są ludzie na świecie, którzy myślą o nas, myślą o Polakach w tym nieludzkim kraju i chcą nam przyjść z pomocą”. Pani Kulikowska cieszyła się, że mąż zostanie pewnie zwolniony z obozu w Starobielsku i dołączy do powstającej na terenie Związku Radzieckiego polskiej armii. W sowchozie coraz gorsze warunki, na wymianę Helena Piotrowska nie miała już nic. Brakowało wszystkiego, a najbardziej wyżywienia. Nic dziwnego, że 14-letnia Barbara zapamiętała smak jabłka, jakie we wrześniu 1941 r. jej mama kupiła za 90 kopiejek. W październiku Helena Piotrowska została w sowchozie sama z trójką dzieci, bo Zbigniew Buchelt zaciągnął się do armii generała Andersa. Basia martwiła się, czy wszyscy wymęczeni katorżniczą pracą polscy mężczyźni będą mieli siłę dojść do celu i dołączyć do polskiej armii.

BASIU, POWIEDZ, CZY TAK BYŁO NAPRAWDĘ, CZY MOŻE TO TYLKO BAJKA?

Na polskim cmentarzu zaczynało się pojawiać coraz więcej krzyży, ludzie umierali z głodu i wycieńczenia. Basia wspominała, jak mama przynosiła wtedy kartofle od świrów, bo już od dawna nie mieli chleba. 19 listopada 1941 r. Jędrus skończył 4 lata. Wychowany na nieludzkiej ziemi, przyzwyczajony do niedostatku, głodu, mrozu chłopczyk z uwagą słuchał historii o życiu przed wojną. Kiedy Basia opowiadała, że przez prawie dwa lata mieszkał w pięknym domu,

w którym było wiele pokoi, a on miał swoje łóżeczko z białą pościelą – wtedy pytał: „Basiu, powiedz, czy tak było naprawdę, czy może to tylko bajka?”. Nie pamiętał ojczyzny. Helena Piotrowska widziała, że jej najmłodsze dziecko gaśnie. Chciała zrobić wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby je uratować. Brak pieniędzy i rzeczy, które mogły służyć do wymiany, sprawiły, że zaczęła „wróżyć” z kart. „Rosjanki wierzą w to, co karta pokaze”. Dobra wróżka zdobywała dla dzieci kawałek chleba, jajka, mleko, naftę. Pewnego dnia rodzeństwo wybrało się na spacer: „– Patrz, Basiu, jakie piękne. Czy w Polsce też są takie kwiaty? Powiedz. – Spójrz, Jędrusi! Tam, gdzie będzie zachodzić słońce, jest czerwono-złociście. W tamtej stronie jest Polska i tam kwitną piękne, pachnące kwiaty. Tam na zielonych łąkach kwitną polne, skromne kwiaty i tylko dlatego są najpiękniejsze, że są po prostu nasze”.

TYLKO POWIEDZ, JAK TO SIĘ UMIERA, BO JA TEGO NIE WIEM

W 1942 r. Jędrus zachorował: męczyły go gorączka i kaszel, oddech był coraz płytszy, nie chciał nic jeść, z dnia na dzień niki w oczach. Dla Barbary był to najtrudniejszy czas zesłania: „Mimo moich 15 lat są momenty, że załamuję się, nie wytrzymuję ciężaru codziennego dnia. Jesteśmy niedostatecznie ubrani, niedożywieni i coraz mniej odporni”. Basia nie pracuje, opiekuje się braciszkiem i pisze dla niego wierszyk. „Jest coraz zimniej, wielbłądy spacerują jeszcze po stepie, ale step wygląda coraz smutniej”. Nielatwo było zdobyć opał i jedzenie, a także przytargać wodę z przerebli oddalonej pół kilometra od domu. Mieszkali w ciemnej i zadymionej lepiance z chorym dzieckiem. „Dni płyną bardzo wolno w tak niehumanitarnych warunkach. Serce mi się kraje, jak patrzę na to gasnące w oczach dziecko. Kocham go ponad życie. Siedzę stale przy nim. W pewnym momencie mówi do mnie: – Wiesz, Basiu, ja bym chciał już być z Matką Bożą i św. Andrzejem Bobolą w niebie... tam jest na pewno pięknie... poproszę Matkę Bożą, żeby zabrała mnie do siebie, a ty, mamusia i Adaś, żebyście mogli wrócić do Polski i tam spotkać się z tatusem... Myślę, że będę to widział z nieba...”. Stan zdrowia Jędrusia pogarsza się. 4 listopada 1942 r. opuścili sowchoz „Krasnyj Kazachstan”, kierując się do Semi-

pałatyńska, gdzie jest większe skupisko Polaków i – co najważniejsze – szpital. Prawie dwutygodniowa podróż była zbyt ciężka dla chorego dziecka: „Tak chciałbym już umrzeć i pójść do nieba, już nie chcę się dłużej męczyć. Tylko powiedz, jak to się umiera, bo ja tego nie wiem”. Lekarze i pielęgniarki byli zdumieni mądrością tak małego i schorowanego dziecka. „Odszedł do nieba, o którym tak marzył, 22 listopada 1942 r. nad ranem. Usnął cichutko”. Andrzej Piotrowski żył 5 lat, w tym 3 lata na zesłaniu. „Żył tak krótko, a tak wiele wycierpiał, tak wiele rozumiał”. Ze szpitala dostali karteczkę nr 2009: „Piotrowski Andrzej Janowicz umier 22 nojabria 1942 goda. Przyczyna śmierci: gruźlica płuc”. Zmarłych chowało się wtedy bez trumny, wprost do ziemi. Polacy zbili trumienkę ze znalezionej przez Basię desek i na pożyczonych sankach zawieźli małeńkie ciało ze szpitala w ostatnią ziemską drogę na cmentarz. Tam, „jak spod ziemi”, zjawia się z długą brodą, ubrany na białą, bardzo stary mnich, dołącza do modlitwy. Pociesza ich, mówiąc, że mieszka blisko, będzie przychodzić i modlić się przy grobie chłopczyka. „Dzieci polskie, jak kwiaty, zostały rzucone w daleki, obcy step. I tam w upale i mrozie, w nędzy i głodzie jakże często ginęły. Jak wiele polskich mogił i małych mogilek, jak wiele krzyży, zwróconych w stronę Ojczyzny, pozostało tam na zawsze. Może wiosną kwitną na tych grobach piękne stepowe kwiaty?... Dzieci, które przeżyły, szybko przechodziły w świat dorosłych, w świat pracy i odpowiedzialności, w świat okrucieństwa i zła, jakiego nie znały dotąd. A jednak i tam doświadczyły dobra. I tam znaleźli się ludzie, którzy dzielili się z nimi kawałkiem chleba, dachem nad głową, dobrym słowem, pomagali w pracy ponad siły... – napisał we wstępie do wydanej po raz pierwszy w 1997 r. książki *Kwiaty na stepie* ks. hm Zdzisław Peszkowski. Barbara Piotrowska-Dubik wniosła do narodowej pamięci kolejną ważną opowieść o jednej z licznych rodzin, które przeżyły Golgotę Wschodu – o Polakach, którzy musieli opuścić swoje domy, miasta, zostali wywiezieni, wielu z nich nie wróciło, wielu wróciło poranionych.

Wszystkie cytaty pochodzą z: Barbara Piotrowska-Dubik, *Kwiaty na stepie. Pamiętnik z zesłania*, Wydawnictwo im. Stefana Kardynała Wyszyńskiego „Soli Deo”, Warszawa 2001.

Marian Małecki

O zabytkach archeologii prawa galicyjskich miast Krakowa i Lwowa

UWAGI OGÓLNE

Archeologia prawa jest nauką pomocniczą historii prawa, a zajmuje się opisaniem, badaniem i inwentaryzowaniem miejsc, obiektów, narzędzi i zwyczajów mających znaczenie dla funkcji stanowienia i realizacji norm prawnych. Za jej twórcę uchodzi dziewiętnastowieczny prawnik i historyk Karl von Amira oraz jego następcy Claudius von Schwerin i Eberhard von Kösberg, w Polsce zaś podstawy metodologiczne dla tej nauki stworzył po drugiej wojnie światowej polski historyk prawa Witold Maisel.

Zarówno Lwów, jak i Kraków – z racji swej historii i położenia – są miastami o bogatej spuściźnie archeologiczno-prawnej. Nie powinien ten fakt specjalnie dziwić, jako że w obu miastach znajdowały się sądy, miejsca straceń czy place ogłaszania aktów prawnych, znane były również osobliwe więzienia, jak Brygidki czy Montelupich, zachowała się pamięć o pręgierzach i narzędziach tortur. Osobno przyjdzie potraktować kamienie i znaki graniczne, jak również i zwyczaje związane z prawem. W zbiorach obu miast zachowały się miecze katowskie, nie były jakie, bo z wyobrażeniem herbu miejskiego czy znaku kaźni, jak szubienica, o braku ostrza. Zachowały się także przynajmniej fragmenty pręgierzy, całe kuny czy więzienne kajdany. Kiedy jednak po pierwszym rozbiórze (1772) Lwów,

a po trzecim (1795) także Kraków znalazły się pod panowaniem austriackim, władza absolutna – w przeciwieństwie do polskiego republikanizmu szlacheckiego – wyparła się większości przedmiotów stanowiących jej rdzenną kulturę prawną, uważając je za relikty niesławnej epoki, z którą przecież walczyło Oświecenie, a ściślej oświecony – jak go nazywano – absolutyzm. W ten sposób niszczone – wyrzucając dosłownie i w przenośni na przysłowiowy śmietnik historii – narzędzia służące do wymierzania kar (najczęściej austriackie pręgierze, ale także kuny, kajdany, a zdarzało się, że i miecze katowskie). To, że w ośrodkach stołecznych Galicji takie zabytki prawa się zachowały, należy traktować raczej w kategoriach wyjątków na tle ówczesnej monarchii habsburskiej. Nie powinno więc dziwić, że na terenie Królestwa Galicji i Lodomerii, może poza wspomnianymi ośrodkami stołecznymi Lwowa i Krakowa, zabytków takich nie jest wiele, albo po prostu nie ma ich wcale. A było wcześniej tego typu urządzeń sporo, o czym zaświadczył Szymon Klonowicz, pisząc o losie wiejskiego chłopca w tej części Europy:

Cierpi kuny, biskupy, korbacze, gąsiory,
Osoczniki, pochlebce, podatki, pobory.
I pany furyaty, opite tyrany,
Pyszne, chciwe, wszeteczne, gorsze niż
pogany.

KUNY, PRĘGIERZE, WIĘZIENIA I SZUBIENICE

Notabene, jeden z najlepiej zachowanych austriackich pręgierzy tego okresu znajduje się nie w Austrii, a w Muzeum Kryminalnym w Rottenburgu w Bawarii. Warto zauważyć, że niektóre z tych zabytków pełnią funkcje kommemoratywne czy są wykorzystywane jako element kapliczki kolumnowej. Taki los spotkał chociażby krakowski pręgierz, znajdujący się najpierw na rynku, a który

Lwów, więzienie „Brygidki” przy dawnej ul. Kazimierzowskiej



w dziewiętnastym wieku poddano demontażowi (najprawdopodobniej w 1820 r.), a następnie kolumnę (filar) przeniesiono na dzisiejsze rogatki miasta, do Mydlnik. Tam w 1830 r. dziedzic wsi Wincenty Darowski, zakupiłszy od władz miejskich tę kolumnę pręgierza, ustawił na niej figurę maryjną. Za miejsce docelowe wybrał teren dawnego cmentarza cholerycznego, pochodzącego z czasów wojen napoleońskich, który znajdował się przy wjeździe do miejscowości (dziś to prywatna posesja przy ul. Bałickiej 200).

Elementy lwowskiego pręgierza, królującego przed ratuszem, spotkał nieco lepszy los – najcenniejsze rzeźby, czyli ukazujące miejscowego kata i boginię wymiaru sprawiedliwości Temidę trafiły do muzeum miejskiego. Co do pozostałych elementów tej budowli – według „Przewodnika po Lwowie” z 1871 r. pióra Antoniego Schneidera i Edwarda Błotnickiego, wydanego w stolicy Galicji – czytamy: „W rynku stał niegdyś pręgierz, zwany dawniej także orczykiem, pod którym stawiano skazanych na karę zbrodniarzy i nierządnic. Szczątki tego pręgierza widzieć można jeszcze na górze Wysokiego Zamku przed domem dozorczy plantacji”. Pręgierz ten postawiono na rynku w 1596 r. Wykonywano przy nim kary cielesne, w tym mutylacyjne.

Jednakże archeologia prawa to nie tylko pręgierze. Słów kilka należy się również miejskim szubienicom, stanowiącym ponury element – nie tylko średniowiecznego – krajobrazu miejskiego. Kraków wybudował swoją pomiędzy dzisiejszym Zakładem im. Helzłowa a więzieniem na Montelupich (na tzw. „planie Kołłątaja” – to wylot z dawnej jurydyki Pędzichów). Lwów natomiast posiadał osobne wzgórze szubieniczne, czyli klasyczny *Galgenberg* – nazywane właśnie Wzgórzem Straceń. Wymurowana szubienica przypominała rotundę (tzw. cylindryczna), wykonano ją z ciosanego kamienia, a miała trzy metry wysokości. Pomiędzy murem nadbudowano specjalnie słupy, na których umieszczono belki egzekucyjne, a przez nie z kolei przerzucano sznur służący do powieszenia skazańca.



W Krakowie miejsca wieszania skazańców kilkakrotnie zmieniano, między innymi uczynili to Austriacy, którzy wzniesli szubienicę przy dzisiejszej ul. Kanoniczej 1 (miejsce to zaznaczono murkiem oporowym na dziedzińcu współczesnego Instytutu Historii Architektury i Konserwacji Zabytków Politechniki Krakowskiej – widoczny jest kamienny zarys budowli, a po lewej stronie – zamurowane już wejście, którym prowadzono skazanych na egzekucję).

Droga prowadząca z Rynku na miejsce egzekucji na Pędzichowie (ulica Sławkowska, dalej Długa i skręt na Pędzichów) musiała tworzyć wręcz „rytualny” wydzwięk, skoro dorobiła się powiedzenia – „iść Długą ulicą aż ku szubienicom”. Po drodze dochodziło się do jurydyki pędzichowskiej, a przy niej wkopany został (zachowany do dziś) kamień graniczny. Przylegające do dawnej stolicy miasto Kazimierz, zanim stało się częścią Krakowa – na tzw. Wzgórz Lasoty (w dzisiejszej dzielnicy Podgórze) – wykonywało egzekucje nie tylko na pospolitych przestępcach, ale i na sławionych przez tradycję góralską zbójnikach beskidzkich. Został tu 18 lipca 1651 r. wbity na pał słynny siedemnastowieczny przywódca chłopski, a jednocześnie zwolennik Bohdana Chmielnickiego – Aleksander Kostka Napierski.

Towarzysz husarii, ale i poeta Wespazjan Kochowski tak pisał żartobliwie o tej wstrząsającej przecież egzekucji:

Nie wiem, co to za nowy kucharz się pojawił
Miasto pieczenia, Kostkę nam na rożen wprawił.

Do dziś miejsce to nosi nazwę „Na Zbóju” (choć za czasów komunistycznych właśnie

Kraków, więzienie Montelupich



Aleksandra Kostki Napierskiego), a prowadził do niego ul. Tatrzńska (tak nazwana od 1932 r.), którą wcześniej prowadzono skazanych na różne kary, nie tylko karę śmierci.

Za czasów komunistycznych wieszano skazanych na terenie Zakładu Karnego przy Montelupich, gdzie zresztą – co ważne – wykonano ostatni w Polsce wyrok śmierci (21 kwietnia 1988 r. o godz. 17.10 – został stracony za gwałt i morderstwo osadzony tu Andrzej Czabański).

Warto odnotować, że wcześniej postawiono w tym miejscu austriackie więzienie garnizonowe, później utworzono także areszt śledczy, o złej reputacji, zwłaszcza podczas II wojny światowej (przetrzymany tu czasowo między innymi krakowskich profesorów w wyniku przeprowadzonej akcji pacyfikacyjnej „Sonderaktion Krakau”) oraz w czasach stalinowskich (gdzie licznych morderstw dokonał ludowy wymiar sprawiedliwości).

Z kolei we Lwowie ponurą sławą cieszyły się tzw. „Brygidki”, więzienie, mieszczące się przy ul. Kazimierzowskiej (obecnie Horodecka). Był to wcześniej klasztor żeńskiego zakonu św. Brygidy, pochodzący z 1614 r., w czasach austriackich (1784) zamieniony na więzienie kryminalne (w okresie międzywojennym także polityczne). Warto zauważyć, że zarówno Brygidki, jak i więzienie na Montelupich – jako miejsca martyrologii narodu polskiego – zostały upamiętnione wzmianką na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie (chodzi o napis: MONTE-LUPICH – BRYGIDKI – ZAMEK LUBELSKI /1939 – 1945/). Podobny ponury charakter miało więzienie zamkowe we Lwowie, które początkowo mieściło się na Zamku Niskim. W bramie tego obiektu ulokowano więzienie

składające się niejako z dwóch części. Jedno nazywano ciemnicą, bo światło do niego docierało tylko z jednego okienka i drugie „(–) z kratą w murze na dziedzińcu patrzącą”¹. Według lustracji zamkowych zauważono, że mury były tam „(–) spróchniałe i niebezpieczne, że nawet przed kilku lat więźnie, przebiwszy mur, uciekli”. Więzienia znajdowały się także w ratuszach, ale odbywano w nich krótkotrwałe kary wolnościowe. W Krakowie istniał od XVII w. zwyczaj związany z triduum paschalnym, kiedy to członkowie arcybractwa Męki Pańskiej udawali się do tegoż więzienia i oswobadzali skazańca, który musiał przyrzec poprawę przed obrazem Matki Boskiej Bolesnej w kościele Franciszkanów. Więzienia lub inne miejsca odosobnienia posiadały własne nazwy: jak we Lwowie: „Dorotka”, „Wesoła”, „Nad Aniołem”, „Szołka”, „Szalnia”, „Biała”, „Prażnyk”, „Heliażynka”, „Za Gratom”, „Awendyczka”, „Tatarnia”, „Nad Skarbem” czy krakowskie wieże „Złodziejska”, „Senatorska”, więzienie „Święty Michał”. Lwów, dorównując Krakowowi, miał swoją Wieżę Hultajską i Wieżę Szlachecką. W wieżach umieszczano szlachtę skazaną na niebyt surową wieżę górną lub znacznie bardziej dolegliwą wieżę dolną, a zasięście w niej nie przynosiło ujemy na honorze. Lwowska Wieża Szlachecka posiadała pięć pięter, Hultajska cztery, ale jeśli przyszło odbywać karę wieży dolnej – schodzono do podziemi, gdzie sejm Rzeczypospolitej zabronił stawiania pieców. Była więc to kara bardzo dotkliwa. Mniejszości, jak ormiańska czy żydowska, posiadały własne areszty. Ta ostatnia społeczność – przy sądzie kahalnym.

Do odbycia krótkotrwałych kar pozbawienia wolności służyły narzędzia nazywane kunami. To żelazne wrzeciądże, które zakładano na szyi skazanego i prowadzono do miejsca publicznego, np. przed ratusz, pod pręgierz, do kościoła, gdzie sprawca odbywał zazwyczaj kilkugodzinną odsiadkę. Dwie takie kuny zobaczyć można przy wejściu do krakowskiego Kościoła Mariackiego od strony kościoła św. Barbary. Próbowano ratować tego typu zabytki przed zniszczeniem. W czasach galicyjskich niektóre z nich ocalał Jan Matejko, który wykupił od robot-

¹ Franciszek Jaworski, *Lwów stary i wczorajszy*, Lwów 1911, s. 31.

ników pracujących w krakowskim ratuszu z terenu *tortorni*, czyli miejsca przesłuchań, zarówno kajdany, jak i walek do miażdżenia ciała, obręcz do miażdżenia kości biodrowych, obcęg egzekucyjne, a nawet tzw. but hiszpański. Z kolei narzędzia z lwowskiego ratusza подарowano naszemu artyście w 1869 r. podczas jego podróży do Lwowa. Wiemy również o kunach znajdujących się na dziedzińcu zamkowym.

Kraków miał również inne miejsca straceń (było ich więcej niż we Lwowie). To przede wszystkim co najmniej dwa miejsca na Rynku, dalej wspomniane już więzienie św. Michała, znajdująca się na Wawelu wieża Lubranka – miejsce egzekucji przez honorowe ścięcie dla szlachty, wspomniane szubienice na Pędzichowie czy na Montelupich. Nad Lwowem dominowała wspomniana Góra Straceń, ale wyroki – jak przez ścięcie – wykonywano również na płycie Rynku. Bywało, że części skazanych wieszano na słupach przy wjeździe do miasta.

CMENTARZ ŚCIĘTYCH, KAPLICE ŻŁOČYŃCÓW

Do listy zniszczonych zabytków dawnej kultury prawnej w czasach austriackich i Rzeczypospolitej Krakowskiej zaliczyć należy także kościół św. Gertrudy w Krakowie, znajdujący się na miejscu tzw. *cmentarza ściętych*. Było to unikatowe w skali Europy miejsce pochówku osób straconych w wyniku wyroku sądowego władz Krakowa. Wyjątkowość tego miejsca brała się z faktu grzebania więźniów w poświęconej ziemi, a nie jak powszechnie do końca XVIII w. na miejscu straceń, płytko pod powierzchnią (tego typu pochówki nazywano nieczystymi).

Z kolei warto odnotować, że patrocinium kościoła – odwołujące się do św. Gertrudy – nie jest przypadkowe, jako że święta ta opiekowała się – według ludowej tradycji – duszami straconych przez pierwsze dni ich pobytu w zaświatach. Do dziś pozostała tylko nazwa ulicy, nosząca wezwanie tej wyjątkowej świętej. Podczas zmian urbanistycznych w czasach Rzeczypospolitej Krakowskiej zlikwidowano nie tylko cmentarz (plantując go i przy okazji rozbierając również kościół) – podobnie uczyniono z basztą katowską (chodzi o dom krakowskiego kata na terenie dzisiejszych Plant), a także pomieszczenie dla jego pomocników, czyli



Basztę Ceklarzy. Domu kata lwowskiego należy szukać między murami Bramy Hallickiej, w miejscu, z którego wcześniej eksmitowano Żyda Hombritha.

Pewną odwagą wykazały się władze kościelne, które nie zlikwidowały tzw. *kaplicy złoczyńców* w Kościele Mariackim, która nosi dziś wezwanie św. Antoniego (mieści się po lewej stronie od wejścia głównego do świątyni). Podobną rolę takiego miejsca pojednania skazanych pełniła we Lwowie cerkiew uspienska. W krakowskiej kaplicy – według tradycji – miejscowi franciszkanie przygotowywali skazańców do ich ostatniej drogi, udzielając odpowiednio spowiedzi i sakramentu komunii.

GALICYJSKIE ZNAKI GRANICZNE

Z wartych odnotowania zabytków archeologiczno-prawnych należy wspomnieć również o znakach granicznych. W dawnym zaborze austriackim są one rozsiane po różnych miejscach, a do ciekawszych należą okolice niewielkiego miasteczka Strumień na Śląsku Cieszyńskim. Tam przy dawnej granicy austriacko-pruskiej linię demarkacyjną wyznaczały kopce graniczne, wały i stosowne znaki drogowe, które częściowo zachowały się do dziś. W innych częściach ck monarchii raczej na próżno ich szukać, ponieważ zostały zniszczone bądź usunięte (poza pojedynczymi eksponatami). Warto pamiętać, że Austriacy stawiali



Zachowana rzeźba Temidy (a za nią katedra) z przegrzeżnia lwowskiego

znaki graniczne również pomiędzy poszczególnymi krajami c.k. monarchii. Takie znaki zachowały się chociażby w okolicy Chybia przy granicy Galicji i Śląska Cieszyńskiego, a w niektórych miejscowościach zachowały się dawne znaki drogowe, które często pokazywały drogę z konkretnej miejscowości do stolicy cesarstwa – Wiednia. Stanowiły w ten sposób swoisty symbol jedności tak państwa, jak i prowincji. Taki znak zachował się chociażby we wsi Zabrzeg na Śląsku Cieszyńskim, w pobliżu granicy z dawną Galicją. Najczęściej słupy te informowały cesarską pocztę o przebytych już kilometrach.

Przykuwał też uwagę styk granic – tzw. *Trójkąt Trzech Cesarzy*, znajdujący się w pobliżu Mysłowic. Po kongresie wiedeńskim zbiegały się tu granice trzech imperiów: habsburskiego (choć najpierw Rzeczypospolitej Krakowskiej, czyli Wolnego Miasta Krakowa), państwa carów i po 1871 r. Cesarstwa Niemieckiego jako następcy kró-

lestwa Prus. Wspomniana wyżej Rzeczpospolita Krakowska – o dużych aspiracjach i niewielkich możliwościach – została zlikwidowana w 1848 r., na co złożyły się zarówno nieudane powstanie krakowskie, jak i tak samo nieudana Wiosna Ludów, a wówczas schedę po niej przejęła Austria. Zatem nazwa *Trójkąt Trzech Cesarzy* jest określeniem późniejszym, związanym już z procesem zjednoczenia Niemiec. W to osobliwe miejsce organizowano w czasach zaborów, zwłaszcza z Krakowa, liczne wycieczki.

Tak jak przy *Trójkącie Trzech Cesarzy* granicę stanowiły: Przemsza, Biała i Czarna Przemsza, tak dla Krakowa rzeką graniczną stała się Wisła, i to już po pierwszym rozbiórze (1772), zresztą nie na długo. Warto pamiętać, że cesarz Józef II, megaloman i niezrównany zwolennik oświeconego absolutyzmu, postanowił wówczas zbudować po „austriackiej stronie” Krakowa (była to tzw. Ciswistulana) specjalnie nowe miasto, nazywane od jego imienia „Jozefstadt” (bardziej dziś znane jako Podgórze) jako przeciwwagę dla wciąż jeszcze silnych wpływów Krakowa. Po latach jego miasto zostało przyłączone do tworzącego się tzw. *Wielkiego Krakowa*, notabene wytworu galicyjsko-austriackiej urbanistyki przełomu XIX–XX w. Nie był to bynajmniej wyjątek. Już wcześniej, zbyt nie ufający patrycjatowi krakowskiemu Kazimierz Wielki, pomny na trudności ojca w utrzymaniu miasta (bunt wójta Alberta, wystąpienie biskupa Jana Muskaty) wybudował miastu konkurencję, którą jako nowo lokowany organizm miejski nazwał swoim imieniem. Dziś Kazimierz jest częścią Krakowa. I wreszcie powojenni komuniści – nie mogąc i nie chcąc tolerować tzw. „konserwy krakowskiej” – na żyznych podkrakowskich polach wybudowali kombinat Nowa Huta z całym robotniczym zapleczem, które współcześnie stało się częścią grodu Kraka.

Lwów takich perypetii nie miał może dlatego, że brakowało mu naturalnej konkurencji, będąc jednocześnie miastem królewskim, jak i siedzibą arcybiskupstwa.

Z zachowanych galicyjskich i nie tylko znaków granicznych stosunkowo dobrze znany jest kamień graniczny podkrakowskiej jurydyki Pędzichów, która graniczyła z miasteczkiem Kleparz (dziś dzielnica Krakowa). Z ciekawszych kamieni granicznych

Kraków, kamień graniczny między Pędzichowem a Kleparzem



można dziś także zobaczyć w Krakowie te, które wyznaczały granice zamku na Wawelu, a które współcześnie wyeksponowano na nowo otwartej wystawie – lapidarium na zamku krakowskim.

Słów kilka o urządzeniach powiązanych z prawem, a znajdujących się przy wjeździe do miast i na rogatkach, czyli mytach. Urządzenia takie (kojarzone powszechnie jako budynki „z podnoszonym szlabanem”) w Galicji wykorzystywano na pobieranie lokalnego myta. Opłaty mytnicze (za co otrzymywało się stosowny kwit), były przedmiotem wielu austriackich i galicyjskich regulacji, a w konsekwencji przetargów, i to już od czasów Marii Teresy (publikowane były w wydawanym we Lwowie Dzienniku Prawnym, tzw. *Pillierianie*), które – jak wynika ze źródeł – wygrywała głównie ludność pochodzenia żydowskiego. Do obowiązków mytnika należało utrzymanie drogi, przede wszystkim z opłat pobieranych „na mycie”. W Krakowie najbardziej spektakularny wydaje się być dawny budynek myta (w dzisiejszym centrum) przy ulicy Piłsudskiego.

SIEDZIBY WŁADZ, RATUSZE, MIEJSCA OGŁASZANIA AKTÓW PRAWNYCH

Miejscem, gdzie ogłaszano akty prawa i ferowano wyroki, był przede wszystkim ratusz. Warto odnotować, że oba miasta lokowane były na prawie magdeburskim: Kraków w 1257, a Lwów w 1365 r. We Lwowie pierwszy ratusz wykonano z drewna, posiadał halę targową i izbę radną. Budynek ten jednak spłonął. W 1382 r. pojawił się już nowy, gotycki, murowany z cegły i pokryty dachówką. Również w nim obradował samorząd miejski i podejmowano gości (szczególnie hucznie raz w roku starostę lwowskiego) oraz rozstrzygano spra-



wy sądowe. Ratusz posiadał nawet w jednej z przybudówek kaplicę, w której modlili się przed posiedzeniami rajcowie miejscy. O znaczeniu rytu prawnego jako elementu kultury prawnej Lwowa niech świadczy fakt, że w 1414 r. wykonano dla rajców wielką kamienną misę przed salą posiedzeń, przy której dokonywali rytualnej ablucji rąk na znak całkowitej bezstronności w sądownictwie.

Ze względu na rozrastające się ciągle miasto już po 1489 r. przystąpiono do rozbudowy siedziby miasta (kamień węgielny położył król Jan II Olbracht – stąd nowy ratusz nazywano „olbrachtopskim”). Prace zakończono w 1504 r.

W celach ulepszenia komunikowania się w mieście władze miejskie wprowadziły zwyczaj ogłaszania przez hejnalistę każdej rozpoczętej godziny dnia, a podczas pożaru:

- uderzenia w dzwon,
- wystawiania w ciągu dnia czerwonej chorągwi,
- w nocy zaś zapalania czerwonej latarni.

Kolejny raz przebudowano ratusz w 1615 r., tyle że w stylu renesansowym, a wzniesiona wtedy wieża w 1826 r. niestety runęła. W związku z powyższym w następnym roku rozpoczęto budowę nowego ratusza, tym razem w stylu klasycystycznym, który ukończono w 1835 r. Jednak podczas bombardowania austriackiego w 1848 r. ratusz został w dużym stopniu zniszczony, jego odbudowa zajęła zaś kolejny rok.

Krakowski ratusz był dużo starszy od lwowskiego, zbudowany z kamienia w formie dwóch kondygnacji, które powiększono podczas rozbudowy miasta o trzecią. Przy ratuszu postawiono wieżę, a przestrzeń pomiędzy nią a ratuszem stanowił dziedziniec, przy którym umieszczono cele więzienne, a nawet tracono przestępców, którzy mogli być przez swoją egzekucję doprowadzić do



Kraków – Planty, miejsce po dawnej Baszcie Katowskiej



tumultów miejskich. O znaczeniu grodu Kraka świadczyła prawna symbolika kartuszy herbowych umieszczonych przy wejściu do ratusza – to herby: Korony, Wielkiego Księstwa Litewskiego i właśnie samego Krakowa. Miasto posiadało w ratuszu swoją „Izbę Pańską”, która mieściła się na drugiej kondygnacji i w której odbywały się sądy mieszczaństwa krakowskiego. Ponadto właśnie w ratuszu wiele instytucji posiadało swoje izby (mieliśmy więc izby: ławniczą, wójtowską czy kupiecką). W podziemiach wieży umieszczono wspomnianą już „tortornię”. Pikanterii temu miejscu dodaje fakt, że oddzielał ją od znanego z przebywania w niej półświatka krakowskiego karczmy „Indyje” (Piwnica Świdnicka) zaledwie niewielki mur, reprezentujący dwa światy: sprawiedliwości i przestępczy. Ratusz podlegał licznym przeróbkom i rozbudowie, ale nie jest to tematem niniejszych rozważań. W 1817 r. został on ze względu na zły stan techniczny poddany rozbiórce, a portal i drzwi do „Izby Pańskiej” przekazano Uniwersytetowi Jagiellońskiemu. Pomimo deklaracji o budowie nowego ratusza (wybudowano odwach, który zburzono po II wojnie światowej) nie został on jednak zrealizowany. Dla potomnych pozostała jedynie Wieża Ratuszowa.

W czasach autonomii miasta Krakowa – której przejawem od 1815 r. był tzw. Sejm Rzeczypospolitej Krakowskiej – siedziba władzy ustawodawczej mieściła się w okazałym gmachu przy ul. św. Anny 1 niedaleko Plant (dziś Collegium Medicum UJ). Z kolei budynek senatu mieścił się w kompleksie pojezuickim Collegium Broscianum, na wschodnim krańcu dzisiejszej ul. Senackiej.

We Lwowie mieliśmy z kolei siedzibę władz stołecznych Galicji. Po pierwsze to



siedziba namiestnika (przy Walach Hetmańskich). Namiestnik galicyjski wywodził się od wcześniejszego urzędu gubernatora. Pierwszy z gubernatorów zasłynął przyjęciem hołdu stanów galicyjskich, gdzie miejscowa szlachta, znajdując się w kościele jezuickim, zginała kolano przed portretem Jaśnie Oświeconej Imperatorowej Marii Teresy, który to obraz umieszczono na szkarłatnym fotelu w centrum świątyni. Od 1861 r. wprowadzono w Galicji autonomię, a namiestnik stał się głównie przedstawicielem rządu. Brał także udział w pracach sejmiku i miał wpływ na obsadę stanowisk urzędniczych. Urzędował w osobnym pałacu.

Namiestnictwo dzieliło się na dwadzieścia trzy departamenty, które zajmowały się sprawami poruczonymi przez rząd. W okresie I wojny światowej namiestnictwo we Lwowie przeniesiono do Białej, jako że Lwów zajęły wojska rosyjskie. Natomiast najważniejszym organem autonomii był sejm krajowy. Miał siedzibę w teatrze skarbkowskim. Pod koniec dziewiętnastego wieku – kierując się prestiżem – wybudowano nowy gmach sejmiku. Obydwa budynki zachowały się do dziś. Sejm był symbolem władzy w Galicji. Dziś mieści się w nim uniwersytet. Tam też znalazł siedzibę Wydział Krajowy – organ wykonawczy sejmiku, przypominający kompetencjami rodzaj rządu.

Przedstawione tu zabytki archeologii prawa rzecz jasna nie wyczerpują tematu, ale nie to jest celem tej pracy. Jest nią raczej inspiracja, by powiększać wiedzę na temat tych niezwykłych, czasami jednak trudnych do akceptacji (z różnych powodów) zabytków, w myśl maksymy Franklina Delano Roosevelta, że „(–) prawdziwym zabezpieczeniem demokracji jest edukacja”.

Piotr Boron

JEGO MAGNIFICENCJA

PROF. AUGUST WIKTOR WITKOWSKI Z BRODÓW

Jego nazwisko – odmieniane jakże dziś często przez wszystkie przypadki – najczęściej nie dotyczy osoby, lecz V Liceum Ogólnokształcącego w Krakowie przy ul. Studenckiej 12, utrzymującego się od dawna na szczytach rankingów polskich szkół średnich, zwanego od 1921 roku oficjalnie VIII Gimnazjum Państwowym Matematyczno-Przyrodniczym imienia Augusta Witkowskiego w Krakowie, a potocznie – od nazwiska swego Patrona – „Witkowskim” i przynoszące mu chwałę po śmierci. W swej kategorii wysoko plasuje się także Zespół Szkół Drogowo-Geodezyjnych i Licealnych im. prof. Augusta Witkowskiego w Jarosławiu. Obie placówki motywują się taką samą dewizą, pobudzającą do zdobywania wiedzy słowami Patrona: „Dużo wiedzieć jest rzeczą piękną, ale nierównie ważniejszą jest umieć dowiedzieć się czegoś”. W swoim czasie (lata 1930–57) był też patronem II Liceum Ogólnokształcącego w Skarżysku-Kamiennie, ale szkoła obrała sobie za nowego patrona Adama Mickiewicza. Przybliżmy więc szerokiemu gronu Czytelników postać samego Profesora, a w roku akademickim 1910–11 Rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, który imponuje tyleż dokonaniem w swej dziedzinie, jak i zasługuje na szczytne miano człowieka renesansu w najlepszym tego słowa znaczeniu. Zasygnalizujemy choćby niektóre pola jego twórczości.

Zatem był przede wszystkim fizykiem, ale pisywał wiersze, a nawet utwory muzyczne (jeden z utworów ów autorytet nauk ścisłych nazwał dowcipnie „Mała etiuda na duży fortepian”). Był znawcą literatury, ale pozostały po nim także dobre dzieła plastyczne (jak np. obrazy olejne). Niektórzy uważali go przede wszystkim za filozofa, choć przecież jego karierę kojarzy się zwykle tylko z fizyką, bo pełnił funkcję kierownika Zakładu Fizycznego w Katedrze Fizyki Doświadczalnej, a zakład ten – wybudowany jego staraniem w latach 1905–11 – otrzymał jego imię 28 stycznia 1913 roku.

Wybaczenie, Czytelnicy, wreszcie i ten osobisty mój wtręt autorski, ale dane mi było



być zarówno uczniem V Liceum im. Augusta Witkowskiego, jak i później studentem historii, a siedzibą Instytutu Historii jest właśnie słynne Collegium Witkowskiego, ulokowane przy ul. Gołębiej 13 – patrząc od „dębu niepodległości” – na lewo od Collegium Novum. Gdy jeszcze po studiach wróciłem do macierzystego liceum jako historyk, mogę dziś naliczyć pół wieku refleksji wokół Patrona, imponującego holistycznym traktowaniem otaczającej nas rzeczywistości, która jest jedna, choć sztucznie podzielona na dziedziny wiedzy. Prof. Witkowski należy do tych ostatnich, którzy umieli pojmować ją całościowo.

KRESOWIAK

Urodził się w rodzinie urzędnika bankowego 12 października 1854 roku w miejscowości Brody na północny-wschód od Oleśka i Podharców. Miasteczko, należące od dawien dawna do Sieniawskich, Koniecpolskich i Żółkiewskich, otrzymało w 1584 roku prawa miejskie od króla Stefana Batorego jako Lubicz (miasto nazwano od herbu Żółkiewskich), ale zwane było potocznie Brodami. Ufortyfikowane przez hetmana wielkiego koronnego Stanisława Koniecpolskiego

z nowoczesną w stylu holenderskim pięcioletnią bastionową cytadelą, otoczoną fosą, było świadkiem śmierci hetmana 11 marca 1646 roku i jego pierwszego pogrzebu. W dwa lata później uległo siłom Chmielnickiego i zostało spalone. Kolejnym właścicielem Brodów był król Jan III Sobieski, a Potoccy postawili tu w połowie XVIII wieku piękny barokowy pałac. Pod panowaniem Habsburgów Brody cieszyły się jako jedno z dwóch miast w Galicji (obok Krakowa), a czterech w całej monarchii habsburskiej (obok Triestu i Fiume) statusem wolności handlowej. Bliższe granicy rosyjskiej rozkwitło szczególnie w dobie wojny krymskiej (1853–6). Bardzo ważną rolę odgrywała tutejsza stacja kolejowa, będąca równocześnie urzędem celnym, a jej odpowiednikiem po stronie rosyjskiej był Radziwiłłów. Zdominowane liczebnie przez ludność żydowską, było różnorodne. Dokładnie w roku urodzin Augusta Witkowskiego Brody stały się miastem powiatowym.

W Brodach urodziło się wielu znanych ludzi. Wśród nich na pierwszym miejscu wymienić należy Izraela Zollera, który przez studia filozoficzne w Wiedniu i Florencji trafił do Rzymu, a tam został głównym rabinem. Przeżywszy II wojnę światową dzięki papieżowi Piusowi XII i doznawszy objawienia, przeszedł w kilka miesięcy po wyzwoleniu Miasta na katolicyzm, co odbiło się w świecie szerokim echem i rozsławiło prawdę, że papież uratował w czasie wojny wielu Żydów. Inny Brodzianin, Ryszard Czubaczynski, zasłynął jako autor powojennych przebojów

piosenkarskich. August Wiktor Witkowski otworzył długą listę wybitnych profesorów, którzy z Brodów poszli w szeroki świat. Pułkownik Włodzimierz Tyszkiewicz był cenionym oficerem w międzywojniu, a płk. Tadeusz Runge był w powstaniu warszawskim dowódcą zgrupowania „Radosław”. Stopnie generalskie osiągnęli: Kazimierz Topoliński, Edward Gruber i ks. Karol Bogucki. Z Brodów pochodził też wieloletni prezes (tzw. „starszy”) Krakowskiego Bractwa Kurkowego Zdzisław Maj.

DROGA KARIERY

August Witkowski pierwsze kroki edukacyjne stawiał w rodzinnych Brodach. Tam ukończył szkołę realną i gimnazjum. Następnie przeniósł się do Lwowa, gdzie zdał egzaminy maturalne w 1872 roku. We Lwowie wstąpił do Akademii Technicznej (która rozpoczęła działalność w 1844 roku), czyli przyszłej Politechniki Lwowskiej (nazwę zmieniono w 1877 roku). Tam na Wydziale Inżynierii uzyskał dyplom inżyniera w 1877 roku i został zatrudniony jako asystent prof. Dominika Zbrożka na Wydziale Geodezji. Równocześnie studiował matematykę i fizykę na Uniwersytecie Jana Kazimierza, zwanym w latach 1817–1918 Uniwersytetem Franciszkańskim.

Dawszy się poznać jako umysł wybitny, uzyskał od ówczesnych najwyższych władz wykonawczych samorządu galicyjskiego, czyli Wydziału Krajowego, stypendium zagraniczne w Berlinie, gdzie przez dwa lata

pomnażał wiedzę pod kierunkiem sławnego prof. Gustava Kirchhoffa i doskonalił się w pracach laboratoryjnych u prof. Hermanna Ludwiga Ferdinanda von Helmholtza, twórcy zasady zachowania energii i człowieka wszechstronnego naukowo. Wydaje się, że to on zafascynował najbardziej Augusta Witkowskiego i swą postawą zachęcił do rozwijania zainteresowań w wielu kierunkach. Następnie uzyskał jeszcze roczne stypendium w Szkocji, gdzie jego mentorem był twórca drugiej zasady termodynamiki Wil-



Collegium Witkowskiego, wikipedia

liam Thomson (znany od 1892 roku jako lord Kelvin), upamiętniony w nazewnictwie skali temperatur określającej zero absolutne. W roku 1881 objął stanowisko docenta fizyki w Wyższej Szkole Rolniczej w Dublinach.

Po powrocie do Lwowa błyskawicznie uzyskał habilitację (w 1882 roku) i w roku 1884 został profesorem Politechniki Lwowskiej, w 1887 roku otrzymał zaś tytuł profesora zwyczajnego.

Zbiegiem okoliczności, w 1888 roku, otrzymał od władz Uniwersytetu Jagiellońskiego propozycję objęcia Katedry Fizyki po tragicznie zmarłym w wyniku wypadku laboratoryjnego prof. Zygmuncie Wróblewskim. Przyjął natychmiast atrakcyjną ofertę i przeniósł się do Krakowa. W roku 1892 otrzymał tytuł doktora *honoris causa* w dziedzinie filozofii od Uniwersytetu Jagiellońskiego, a w 1912 także swej macierzystej Politechniki Lwowskiej. W 1893 roku został członkiem Akademii Umiejętności. W 1900 roku był delegatem na paryskiej konferencji fizyków z całego świata. W latach 1910–11 sprawował funkcję rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Wśród odznaczeń, które otrzymał za życia, na czoło wybija się przyznany przez cesarza Franciszka Józefa I Order Korony Żelaznej – jedno z najwyższych odznaczeń monarchii austro-węgierskiej. Pośmiertnie, 11 listopada 1936 roku, Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej odznaczył go Krzyżem Komandorskim Polonia Restituta.

NIEKTÓRE PUBLIKOWANE OSIĄGNIĘCIA NAUKOWE

Na wstępie wskazań i wylczeń osiągnięć należy koniecznie podkreślić, że prof. August Witkowski był wyjątkowej klasy erudytą. Zarówno studenci, jak i inni słuchacze jego wykładów podziwiali jego szeroki zasób słownictwa, stylistykę i zaangażowanie. Jego krasomówcze wykłady popularyzujące wiedzę o świecie były chętnie publikowane przez czasopisma. Można stwierdzić, że był kapitalnym pedagogiem, który – kompetentny w każdym calu – tryskał swadą i polotem. Określenie, że był – jak sam siebie określił – najlepszym kompozytorem wśród fizyków i najlepszym fizykiem wśród kompozytorów, można trawestować także na: „był najlepszym humanistą wśród specjalistów nauk ścisłych”.

Jego pierwsza publikacja ukazała się jeszcze we Lwowie w czasach studenckich, gdy zafascynowany wykładami prof. Wawrzyńca Żmurki napisał w 1875 roku z myślą o uczących się kolegach *Zasady geometrii analitycznej w przestrzeni*. Ten swoisty bryk opublikowało Towarzystwo Bratniej Pomocy Słuchaczy Akademii Technicznej. W ogóle prowadził wiele sumiennych notatek z zajęć, dzieląc się nimi z kolegami, którzy nie nadążali za wykładami. Przebywając na stypendium w Berlinie, zgłosił do periodyku „Annalen der Physik und Chemie” swój artykuł o prądach polaryzacyjnych, który wydano w roczniku 1880. Z kolei prace z lordem Kelvinem zaowocowały publikacją *O wpływie odkształcania na przewodnictwo elektryczne* w naukowym czasopiśmie „Transactions of the Royal Society of Edinburgh”. Obie prace w językach niemieckim i angielskim, a następnie kilka po francusku dowodzą jego znakomitej znajomości języków obcych z bardzo dobrym słownictwem fachowym.

W Dublinach w 1881 roku wydał *O cieple powstającym przy zwilżaniu ciał stałych* i *O kilku przypadkach ruchu cieczy zależnych od spójności*, a następnie podręcznik meteorologiczny *Wiadomości początkowe z geografii fizycznej i meteorologii* (Warszawa, 1884).

W Krakowie rozwinął w pełni tak działalność badawczą, jak i komunikowanie o efektach badań, co zaowocowało serią książek w 1891 roku: *Thermomètre électrique pour les basses températures*, *Sur la dilatation et la compressibilité de l'air atmosphérique* (wyd. UJ), *O mierzeniu niskich temperatur* i *O rozszerzalności i ściśliwości powietrza* (oba wyd. Akademii Umiejętności). W rok później wraz z prof. Karolem Olszewskim – wcześniej najbliższym współpracownikiem prof. Zygmunta Wróblewskiego – wydał *Propriétés optiques de l'oxygène liquide*, a w 1894 roku Uniwersytet Jagielloński wydał ich kolejną pracę *Sur la dispersion de la lumière dans l'oxygène liquide*.

W latach 1892–1912 warszawska księgarnia E. Wende i S-ka publikowała jego słynny trzytomowy podręcznik *Zasady fizyki*, który go rozślał wśród studentów.

W kolejności chronologicznej jego drobek kolejnych lat przedstawia się następująco (a to tylko niektóre dzieła): *O własnościach termodynamicznych powietrza*

(1896), *O oziębianiu się powietrza wskutek rozprężenia nieodwracalnego* (1898), *O prędkości głosu w powietrzu zgęszczonym* (1899), *O podstawach fizycznych harmonii* (1899), *Spostrzeżenia nad elektrycznością atmosferyczną w Zakopanem* (1902), *Tablice logarytmowe i goniometryczne czterocyfrowe* (1903), *Tablice matematyczno-fizyczne* (1904), *Sur la dilatation de l'hydrogène* (1905), *O rozszerzalności wodoru* (1905), *Elektryczność i magnetyzm* (1905), *O zasadzie względności* (1909), *Teoria elektromagnetyczna światła* (1910)...

Już po jego śmierci, w 1916 roku ukazało się pierwsze wydanie podręcznika przygotowanego wspólnie z Konstantym Zakrzewskim pt. *Zarys fizyki* oraz liczne wznowienia jego innych dzieł, a przede wszystkim trzatomowych *Zasad fizyki*.

PROFESORA OPISANIE

Do dziś najlepsze pozostaje wspomnienie pośmiertne prof. Augusta Wiktora Witkowskiego autorstwa prof. Władysława Natansona (1864–1937), wydane w 1913 roku w drukarni krakowskiego *Czasu*. Charakteryzuje je nie tylko solidność przygotowania faktografii, ale i kwiecista, a patetyczna retoryka, której zabytki bywają dziś już nie wzorem, ale tylko wyrzutem sumienia dla współczesnych autorów. Zasmakujmy więc już na wstępie w stylu prof. Natansona, składając tym samym hołd prof. Witkowskiemu, bo cytowany fragment dotyczy naszych najślawniejszych badaczy właściwości wodoru w niskich temperaturach:

„Prace wybitnego badacza noszą na sobie zazwyczaj piętno jego indywidualności. Wróblewski każdą napotkaną trudność zwykł był przełamywać, rzucając w nią impet gorącego temperamentu. Olszewski umie przedziwnie rozplątywać węzły zagadnień; obchodząc się bez rozległych i zawitych urządzeń, osiąga cel w sposób wytworny najprostszymi środkami. Witkowski szedł odmiennymi, własnymi drogami. Krainę, którą już zastał otwartą, postanowił przemierzyć, po eksploratorach, on był jej kartografem”.

Prof. Natanson, będąc sam wybitnym fizykiem, umiał doskonale rozumieć zalety swych poprzedników z katedry fizyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, a kontynuując ich działalność osobiście, tym lepiej wnikał w ich cechy nie tylko jako naukowców,

ale i ludzi. Mając zatem w pamięci tę historyczną charakterystykę, sporządzoną pod wrażeniem uroczystego pogrzebu rektora Witkowskiego z udziałem tysięcy mieszkańców Krakowa i przybyłych z całego świata naukowców, odkrywamy na nowo z każdym pokoleniem jego postać w świetle nowych badań historycznych i współczesnych filtrów zmieniającej się mentalności.

Jak bardzo zmienia się spojrzenie na postać prof. Augusta Witkowskiego, niech świadczą co najmniej trzy różne kwestie, postrzegane w różnych czasach jako najważniejsze. Rzecz charakterystyczna: ten wybitny fizyk, z którego podręczników, a przede wszystkim *Zasad fizyki* (trzy tomy wyd. Warszawa 1892–1912 i wznowienia) i *Zarysu fizyki* (1916 i wznowienia) uczyły się pokolenia Polaków, postrzegany był przede wszystkim jako specjalista w swej dziedzinie, umiejący dzięki swemu talentowi pedagogicznemu i niezrównanej erudycji (w której nie ustępował polonistom) najlepiej wyjaśnić reguły nauki, w czasach swego „rektorowania” odbierany był przede wszystkim jako administrator, a wręcz konserwatywny polityk, który wziął na siebie ciężar stawiania oporu intensywnej fali lewicowych ruchów akademickich. To przecież on w 1911 roku jako rektor opowiedział się wyraźnie po stronie ks. prof. Kazimierza Zimmermanna. Skoro więc przez pryzmat tzw. „zimmermaniady” (to pisownia prawidłowa!) był postrzegany przez kilka następnych lat, warto przypomnieć fakty z tym związane. Tym bardziej, że biografowie prof. Augusta Witkowskiego nie poświęcali im wiele uwagi lub wcale (o zgrozo!) ignorowali. Aby zaprezentować szersze tło i różne spojrzenia, warto poświęcić tej sprawie osobny rozdział, uzupełniając inne opracowania biograficzne.

TAK TEŻ GO WIDZIANO...

Ks. Kazimierz Zimmermann pochodził z Wielkopolski, gdzie kontynuował dzieła wybitnego działacza społeczno-patriotycznego ks. Piotra Wawrzyniaka, a dzięki wciąż poszerzanej wiedzy z nauk społecznych zyskiwał coraz większy autorytet na niwie naukowej. Działał w Poznańskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk i redakcji Księgarni św. Wojciecha. W 1908 roku objął powstałą na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego Katedrę Chrześcijańskich

Nauk Społecznych, a w dwa lata później (we wrześniu 1910 roku) otrzymał od cesarza Franciszka Józefa tytuł profesorski. W roku akademickim 1910/11 rozpoczął wykłady z socjologii chrześcijańskiej, a duch jego nauczania wzbudził w lewicowych kręgach studenckich sprzeciw tej miary, że 28 stycznia 1911 roku ogłosili strajk powszechny, apelując do studentów odbywających zajęcia w Collegium Novum i Collegium Phisicum, by zbojkotowali wszelkie wykłady. Studentom przyszła w sukurs socjalistyczna gazeta „Naprzód”, określając wykłady z socjologii jako próbę klerykalizacji uczelni, bo według nich przysięga antymodernistyczna księdzka nie była do pogodzenia ze światopoglądem naukowym.

Nakreślając napiętą sytuację, sięgnijmy do wcześniejszych wydarzeń i posłużmy się przede wszystkim uniwersyteckim źródłem pt. *Zimmermaniada*. [...] *akta sprawy strajku na Uniwersytecie Jagiellońskim z powodu x. [Kazimierza] Zimmermanna oraz wykaz akademików, którzy otrzymali z powodu udziału w tymże naganę, lub zostali relegowani*. 1910–1911 r. *Materiały policji krakowskiej z załączeniem wycinków prasowych, odezw powielanych i drukowanych...*

Jak wynika ze zgromadzonych przez Józefa Korzeniowskiego wycinków prasowych (BJ, Rkp 6249 III), prof. Zimmermann miał tygodniowo trzy godziny wykładów socjologicznych pt. *Polskie organizacje gospodarcze i społeczne w Wielkopolsce dla kleryków*, a jedną godzinę zaferował *publicum* i to właśnie ona zezłościła socjalistów. Żądania niektórych lewicowych organizacji (a odmienne stanowisko zajmowała prawicowa „Polonia” oraz Sodalicja Mariańska) wobec rektora z lat 1909/10, a następnie prorektora prof. Józefa Łazarskiego, by zawiesić wykłady prof. Zimmermanna, nie przyniosły skutku, bo ten jako prof. medycyny tłumaczył im, że przede wszystkim nie chce wyrokować w dziedzinie, która nie jest mu bliska naukowo. Areną walk o poglądy prof. Zimmermanna stały się więc jego sale wykładowe, na których jego zwolennicy okazywali mu poparcie, a przeciwnicy usiłowali zagłuszyć wykłady. Dochodziło też do dewastacji sprzętu przez działaczy lewicowych. Socjaliści demonstrowali następnie pod pomnikiem Adama Mickiewicza. Związek Katolicko-Narodowej Młodzieży Uniwersytetu Jagielloń-

skiego „Polonia” wydał 16 listopada 1910 roku oświadczenie o konieczności zorganizowania się przeciw lewicowym ekscesom, a Akademicka Sodalicja Mariańska ogłosiła:

„Koledzy i koleżanki! Zaszedł fakt niesłychany w dziejach Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pogwałcono zasadnicze prawo absolutnej wolności wykładu profesora. Część młodzieży nie dopuściła wczoraj do wykładu ks. prof. Zimmermanna. Postępowaniem swoim, wysoce niekulturalnem i hańbiącym godność akademicką wywołała ta część młodzieży szereg brutalnych scen uwłaczających powadze pierwszej polskiej Wszechnicy. Gwizdania, dzikie krzyki i śpiew *Czerwonego sztandaru* – oto środki, którymi posługuje się wolnomyślna młodzież w uplanowanej walce z wolnością słowa i przekonania. W imię wolności nauki, w imię wolności przekonania potępiamy najenergiczniej tego rodzaju postępowanie i stanowczo protestujemy przeciw niegodnym zamachom, zdążającym do ograniczenia zupełnej swobody wykładu uniwersyteckiego”.

W odpowiedzi na to Zjednoczona Młodzież Postępowa oświadczyła: „Chrześcijańsko-socjalny agitator nie ma prawa mówić w imieniu nauki. (...) «Nauka» głoszona przez księży, «nauka» klerykalna jest uświęceniem gwałtu przemocy i niewoli, chce ona ludziom i narodom gnębiącym odebrać wszelką nadzieję wyzwolenia”.

Na oświadczeniach się nie skończyło. 29 XI 1910 roku znów doszło do próby zakłócenia wykładu prof. Zimmermanna, a 6 grudnia interweniował przeciw śpiewom i krzykom prorektor Łazarski, po czym wiec przeniósł się pod Collegium Novum. Konflikt zataczał coraz szersze i wyższe kręgi, a socjalistyczny poseł do Izby Posłów Ignacy Daszyński, zadawszy sobie trud analizy całej twórczości ks. Zimmermanna, skierował 15 grudnia do Ministra Oświaty interpelację, w której umieścił zbiór co bardziej znamiennych przykładów myślenia swego przeciwnika. Z kwestii merytorycznych na czoło wysuwa się cytata, dotyczący klerykalnej strategii wielkopolskiego duchowieństwa w walce z socjalizmem w Prusach. Ks. prof. Zimmermann ewidentnie chlubi się w nim większą skutecznością, niż to miało miejsce w Galicji: „W Galicji dopuścili miarodajne czynniki do powstania i szerzenia się socjalizmu, a i dzisiaj obok najpiękniejszych

wzorów podjęcia akcji społecznej ze strony episkopatu, istnieją przyczyny gorzkiego smutku nad znanym tłumieniem tej akcji na znacznych obszarach Galicji”. I dalej rozważa poseł Daszyński: „*Skąd zło pochodzi*, zapytuje się ks. Zimmermann i wyprowadza konkluzję, że winną jest nieudolna taktyka kapłanów galicyjskich. W jego kraju [Wielkopolsce] dzieje się inaczej...”

Na poufnym zebraniu 15 stycznia 1911 roku młodzież lewicowa zaplanowała strajk generalny, a 28 stycznia liczni działacze rozpoczęli akcję, agitując do bojkotu i blokując dostęp do sal wykładowych. Nazajutrz młodzież prawicowa na zebraniu poufnym podjęła decyzję o aktywnej ochronie zajęć akademickich. 30 stycznia od wczesnych godzin rannych (ok. 4.00) zaczęły się pod salami przepychanki. Działacze lewicowi drutami i łańcuchami skrępowali klamki oraz kraty bram wejściowych. Następnie ruszyli do sal, w których już zaczęły się zajęcia, a ponieważ prawicowcy chronili wykład prof. Łosia, zamknąwszy salę, kilku napastników używszy ławki, rozbili drzwi jakby taranem i zmusili wykładowcę do przerwania zajęć. O godz. 12.00 w Sali Mikołaja Kopernika rozpoczęli wiecowanie i uchwalili, że chcą strajkować „jak najdłużej”. Budynek uniwersytecki otoczył kordon policji i wojska. Zebrany Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego relegował dwu przywódców strajku, a wobec 246 ogłosił, że zostaną usunięci w razie jakiegokolwiek dalszych zajęć. Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego praktycznie nie był wymieniany z nazwiska przez komentującą wypadki prasę, co tłumaczyć można gwałtownie pogarszającym się stanem zdrowia Augusta Witkowskiego. Niewielka notatka prasowa informowała jednak, że to on przekazał społeczności akademickiej i podtrzymał 8 lutego rektorskim obwieszczeniem wykonawczym decyzję Ministerstwa Oświaty, że z dniem 30 stycznia Uniwersytet został zamknięty do 27 marca, co lewicowi studenci przyjęli z dużym niezadowoleniem, ale byli bezradni w kontynuacji strajku, spór zaś przeniósł się do prasy.

KONSERWATYSTA

Prof. August Witkowski był z zasady przeciwny angażowaniu się kobiet w pracę zawodową. Wychodził z założenia, że jest ona ponad ich siły, a struktura społeczna

przydzieliła im inne obszary – nie mniej ważne, ale odpowiadające ich naturalnym predyspozycjom. Takie były poglądy nie tylko prof. Witkowskiego, a bodaj najbardziej zasłynęło w tych czasach podobne względem karier zawodowych kobiet stanowisko prof. dr. Henryka Jordana i gen. WP prof. dr. Ludwika Rydygiera. Notabene, wszyscy byli bardzo życzliwi dla współpracujących z nimi niewiast, a one ich szanowały. Alicja Ziolo w swej książce *Krakowianki* (Wydawnictwo WAM, 2024) na s. 84–85, powołując się na list Odonu Bujwida do Marii Skłodowskiej-Curie z 1923 roku, cytuje: „Mija 28 lub 29 lat od czasu, gdy żegnając niegościnnie Kraków, udała się Pani do Paryża. Przez usta prof. Witkowskiego, obojście nawet przychylnego zamiarom Pani, nastąpiła wówczas odmowa na asystentkę katedry fizyki, gdyż Uniwersytet Krakowski nie przyjmował wówczas kobiet nawet na studia”. Dopiero w następnym roku przyjęte zostały na Wydział Filozoficzny Janina Kosmowska, Jadwiga Sikorska i Stanisława Dowgiałło, zachęcona przez Kazimierę Bujwidową, która dążyła do tego z przekonania i ambicji.

O szacunku, jakim darzyła prof. Augusta Witkowskiego Maria Skłodowska-Curie, niech świadczy choćby fragment listu, jaki przesłała z Paryża na wieść o jego śmierci na ręce ówczesnego rektora UJ: „Szanowny Panie Rektorze! Otrzymałszy wiadomość o niespodziewanym zgonie Profesora Witkowskiego, pragnę wyrazić szczerzy żal, jakim jestem przejęta z powodu tak wielkiej straty poniesionej przez Uniwersytet Krakowski i społeczeństwo polskie. Ceniłam wysoko zasługi Profesora Witkowskiego jako uczonego i jako człowieka i łączę się z licznym gronem tych, którzy nad tą stratą boleją. Wyrażam głęboki szacunek i poważanie”.

ZE STULETNIJ PERSPEKTYWY

Prof. August Witkowski pracował naukowo do swych ostatnich dni życia. Jeszcze 17 stycznia 1913 roku prowadził badania i sporządzał z nich notatki, a zmarł 21 stycznia. Jego pogrzeb na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie zgromadził tłumy przyjaciół jego wiedzy i charakteru. Po latach, gdy opadły emocje światopoglądowe, postać prof. Augusta Witkowskiego jaśnieje na firmamencie nauki polskiej.

Mariusz Olbromski

Wiersze z cyklu: **ALBUM KRZEMIENIECKI**

GDY DZIEŃ SIĘ BUDZI

Marysi

O szarówce budzą się ptasie arie i symfonie
wilgi na Czerczy, kosy na Górze Krzyżowej,
na cmentarzach, w dawnym Bessera ogrodzie
tyle dźwięków, rytmów, nawoływań przeróżnych
zanim słońce w mleku mgieł z wolna zapłonie całe
miasto się jawi urzekającą filharmonią.

Pośród rośnych ścieżek, kwiatów woni dobrze
jest w zasluchaniu zadziwionym krążyć zanim
odezwą się w dole dzwony, zgasną latarnie,
a dzień wieże świątyni i miasta oblicze odsłoni.

Jakże idąc nie kąpać serca w tchnieniu bożym
w kryształach śpiewów, ich kruchych nawrotach
w lotnej topofonii sonat, pieśni natchnionych.
Zanurzyć się jak w źródle w cudach ulotnych,
chłonąć muzykę sfer też w tonach przyrody.

VI 1996

WSKRZESZANIE

Dorocie Janiszewskiej-Jakubiak

Wiele grobowców z ruin podniesionych
i rzeźb na opuszczonych cmentarzach,
świątyni, licznych budowli będzie pamiętała
o twych decyzjach i staraniach
aby dziedzictwo wieków trwało nadal.

Tak wielu ksiąg odkrywczych byłaś akuszerką
które przez lata w trudzie powstawały
na nowo ożywiając pamięć o świetnościach.
Co miało być zatarte – z mroku powstawało.

Mijały lata, trwały żmudne prace....
A z morza zniszczeń nowy ląd się jawił:
plejady twórców, ich dzieł i historii naszej
na dawnych Kresach, od dziejów zarania.

Tak czasem z cennej rzeźby pałacowej
w szale niszczenia całość pokruszonej
żmudnym staraniem kształt jej znów powstaje.
Porusza pięknem, świata jest ozdoba.
osobny jeszcze blask i wymiar mu nadaje.



WERNISAŻ

Prof. Lechowi W. Szajdakowi

Co w zapomnieniu miało zostać
nagle przedziwnie tu odkryte.
Zdumiewa tęczą lotną wierszy,
płyńcie strumieniem zachwytu.

Pociąga czułym zanurzeniem
w magię wołyńskich przestrzeni.
I przytuleniem słowem serdecznością
wielu postaci ze wsi i miasteczek,
próbami uchwycenia aury ziemi.

Ile liryzmu ta żyzna kraina zrodziła
jak łany wielu zbóż rozchwianych
w kłosów poszeptach na wietrze.
Ile strof zaszumią wtedy zapisanych
w Łucku, Kiwercach i w Krzemieńcu,
którymi można żywić teraz serce.

Co niby nikłe – dziś jest jakże ważne.
Co mało sławne – wraca w te
zaszczyty – że nowe pokolenia będą
czerpać z tego skarbcza
i fenomenem tym ozłocą myśli.

Stawisko, IX 2017

Po otwarciu wystawy „Portret z wierszy i pamięci”, pierwszej w dziejach kultury polskiej poświęconej Grupie Poetyckiej Wołyn w Stawisku, w dniu 17 września, 2017.

Żydowska strona kresowego miasteczka

Z Olgą Mielnikiewicz rozmawia Aleksandra Solarewicz.

„Jazda przez Weldzisz ma najwięcej uroku w piątek wieczorem. Bo wówczas wszystkie prawie okna mijanych po obu stronach drogi domków jaśnieją od żarzących się... świeczek szabasowych. Prawda – jaka to oryginalna i swojska iluminacja?” – pisał w latach 30. mój pradziadek. Pejzaż naszych Kresów współtworzyła duża społeczność żydowska. O tym z Olgą Mielnikiewicz, wydawczynią portalu Wirtualny Sztetl, rozmawia Aleksandra Solarewicz.

Kto zna niemiecki, a nie zna języka jidysz, to sobie skojarzy, że sztetl to jest miasteczko. Więc proszę powiedzieć, czy każde miasteczko można nazwać sztetlem? Każde dawne, przedwojenne?

To jest bardzo ciekawe zagadnienie. Samo słowo „sztetl”, które znaczy po prostu *miasteczko*, pochodzi z języka jidysz. Sztetl jednak to nie jest – jak czasem niektórzy myślą – wyizolowana enklawa, gdzie mieszkali tylko i wyłącznie Żydzi. Istniało zazwyczaj miasto, większe lub mniejsze, ale stanowiące pewien wielokulturowy konglomerat, gdzie Żydzi byli mniejszością czy większością. Tworzyli swoją gminę wraz z jej typowymi elementami, czyli synagogą, cmentarzem, łaźnią, szkołą – podobnie jak chrześcijanie mieli kościół czy cerkiew, często stojące niedaleko siebie. Był też rynek, gdzie handlowali i Żydzi, i nie-Żydzi, były sklepiki, z których korzystali także chrześcijanie. Zatem było to po prostu miasto, które tworzyły różne społeczności; na dawnych Kresach: Polacy, Żydzi, Ukraińcy, Białorusini, Ormianie i inni. *Sztetl* to żydowska perspektywa, żydowski spójrzanie na takie miasto. Powiedziałabym nawet, że mamy błędne wyobrażenie o sztetlu jako o miejscu wyłącznie żydowskim.

Bo wiele osób kojarzy go sobie z obrazkiem poetyckim u Słonimskiego: „Nie ma już tych miasteczek...” z jego *Elegii miasteczek żydowskich*.

To jest też oczywiście zrozumiałe, że zwłaszcza po Zagładzie, kiedy społeczności

zostały wymordowane i znikły z miast i miasteczek, pojawiła się nostalgia, żal i smutek. Powstał, także u Żydów, pewien wyidealizowany obraz dawnego świata, podkreślający zarówno żywotność wspólnoty, jak też jej idylliczną koegzystencję, niekiedy z pominięciem szczegółów sąsiedztwa z innymi mieszkańcami. A rzeczywistość była bardziej złożona. Nie zawsze pogodna, często mało wspólnego mająca z idyllą.

Nasz portal Wirtualny Sztetl stara się niejako wypełnić tę lukę po Żydach, ale też opisać ten miniony świat miasteczek rzetelnie, zgodnie z historyczną faktografią. Zajmujemy się dokumentowaniem i opisem historii i kultury społeczności żydowskich z terenów leżących w historycznych granicach I i II Rzeczypospolitej.

To w sztetlu nie było 100% Żydów?

Nigdy tak nie było, wyłączając takie bardzo rzadkie wyjątki, jak kolonie rolnicze. Żydzi zawsze byli częścią społeczności, choć w niektórych okresach historycznych mogli stanowić połowę lub większość mieszkańców w danym miasteczku. Spis z 1921 r. podaje kilkanaście takich miejscowości, gdzie 100 albo prawie 100% stanowili Żydzi. To m.in. Iwaniki, Kolonia Synajska, Zofijówka, położone na Wołyniu i Polesiu. Jednak osady te istniały zawsze w kontekście szerszego, rolniczego otoczenia. Jeśli chodzi o Kresy Wschodnie RP, to według tego spisu największe liczebnie społeczności żydowskie były w Równem, Stanisławowie, Kołomyi, Lwowie, Grodnie, Pińsku, Brześciu nad Bugiem oraz w Wilnie. Mamy na ten temat ciekawy artykuł w naszym portalu.

Kiedyś przejeżdżałam przez Roztocze, po którym oprowadzał mnie kolega-przewodnik. Nagle wskazał starą budowlę i powiedział: „O, masz typowe kresowe miasteczko: kościół, cerkiew, synagoga”. To jest dokładnie to, o czym Pani mówi.

Roztocze to rejon pogranicza i faktycznie możemy do dziś zobaczyć tu kościół, cerkiew i synagogę w niedalekiej odległości od siebie; jednak ta ostatnia istnieje już tylko jako

budynek, obiekt historyczny, a nie miejsce wypełnione Żydami śpieszącymi na modlitwę. I to tylko jeśli wcześniej został wpisany do ewidencji zabytków i odnowiony lub jest użytkowany w jakichś innych celach przez obecnych mieszkańców, często np. sklep.

Po Zagładzie zniknęli Żydzi, ale też wiele materialnych śladów ich obecności, jak synagogi, mykwy, nagrobki na cmentarzach i inne. Przywołując jeszcze raz wspomnianą przez panią Roztocze, warto wspomnieć o ciekawym miasteczku Józefowie Biłgorajskim, w którym Żydzi stanowili 70% mieszkańców pod koniec XVIII wieku. Zabytkowa synagoga zachowała się do dziś, została odnowiona i użytkuje ją biblioteka. Z Józefowa pochodził jeden z najsłynniejszych chasydskich cadyków, zwany Widzącym z Lublina.

I dlatego dzisiaj sztetl jest właśnie „wirtualny”. Co można znaleźć w Wirtualnym Sztetlu?

Jest to swego rodzaju internetowa encyklopedia wiedzy opisująca historię społeczności żydowskich od momentu pojawienia się pierwszych Żydów do czasu Zagłady, czasem też sięgającą okresu po 1945 r., uzupełniona o dokładne opisy cmentarzy, synagog, domów modlitwy i obiektów zarządzanych przez gminę, takich jak mykwy, domy starców, sierocińce. Zawiera bazy genealogiczne i bazy danych zbudowane w oparciu o wydawnictwa statystyczne, np. rejestry handlowe, spisy instytucji oświatowych i dobroczynnych, organizacji i partii politycznych.

No właśnie, to te bazy naprowadziły mnie na Wirtualny Sztetl.

Nasz portal to w zasadzie wielka baza wiedzy i danych. Mamy też bogatą biografistykę, słownik pojęć judaistycznych oraz imponującą ikonografię. Są to często niepublikowane dotąd materiały, w tym tysiące przedwojennych fotografii, które pozyskujemy lub otrzymujemy od osób prywatnych czy instytucji. Sami również weryfikujemy stan zabytków żydowskich w terenie podczas corocznych wyjazdów dokumentacyjnych.

Mamy w portalu unikatową kolekcję około tysiąca relacji

spisanych przez polskich Żydów ocalałych z Zagłady wraz z rodzinnymi archiwalnymi zdjęciami, wcześniej niepublikowanymi, które udostępniamy sukcesywnie. To bardzo cenny zasób wiedzy o przedwojennych miasteczkach. Odwiedza nas bardzo dużo czytelników, kilkaset tysięcy rocznie. Ostatnio bardzo aktywne stały się boty służące do trenowania dużych modeli językowych; oznacza to, że nasza wiedza staje się dostępna także za pośrednictwem AI. Sztetl to największy portal o historii Żydów w Polsce.

Pani Olgo, jakie sztetle kresowe macie w swoim archiwum wirtualnym?

Jeżeli mówimy o dawnych sztetlach tzw. kresowych, to dla nas w redakcji Wirtualnego Sztetla oznacza to miejscowości znajdujące się na terenie dzisiejszej Ukrainy, Białorusi, Litwy, Łotwy, czyli na ziemiach, które historycznie wchodziły w skład Rzeczypospolitej. Zajmujemy się też obecnym obwodem królewieckim, który stanowi obszar niezwykle zaniedbany pod względem badawczym. Jeśli chodzi o obecne tereny Ukrainy, mamy na razie opisane niektóre „sztetle” dawnych województw: stanisławowskiego, lwowskiego, wołyńskiego, tarnopolskiego, a także pojedyncze z szerzej widzianego Podola. To zarówno duże miasta, takie jak Lwów, Równe, Stanisławów, Winnica, Humań, jak i mniejsze: Drohobycz, Rohatyn, Bolechów, Bursztyn, Kałusz, a nawet całkiem małe: Bolszowce i Bukaczowce – wymieniam tu przykładowo tylko te, które sama odwiedziłam w 2019 roku. Ogólnie w całym portalu mamy opisanych ponad 1400 dawnych gmin żydowskich. Jeśli chodzi o tereny obecnej



Bolszowce przed 1915 r., polona.pl



Białorusi, Ukrainy, Litwy, Łotwy i Rosji, jest ich dzisiaj 376, czyli mniej więcej jedna czwarta wszystkich miejscowości ujętych w portalu.

Czyli opracowaliście miejscowości, gdzie istniały gminy żydowskie, oraz wioski, gdzie Żydów mieszkało kilku do kilkudziesięciu?

Tak, można tak to ująć, choć nie w każdym miasteczku, w którym mieszkali Żydzi, była gmina żydowska. My zajmujemy się głównie dokumentacją większych skupisk, czyli takich, w których istniał cmentarz, synagoga, mykwa, urzędował rabin. Docelowo chcemy opisać wszystkie siedziby żydowskich okręgów metrykalnych pod zaborem austriackim, co oznacza też wszystkie gminy żydowskie na terenie byłych województw lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego, a z byłego zaboru rosyjskiego – skupiska wytypowane na podstawie *Skorowidza miejscowości Rzeczypospolitej Polskiej* z 1921 r. oraz *Spisu ludności na terenach administrowanych przez Zarząd Cywilny Ziem Wschodnich* z 1919 roku. To jeszcze długa i trudna droga, tym bardziej że w obecnej sytuacji politycznej badania terenowe możemy prowadzić jedynie na Litwie.

W Wirtualnym Sztetlu znalazłam nazwiska sąsiadów mojej ciotki, Polki, która do 1945 roku mieszkała w Rohatynie. Jej rodzina ma przypadkowo zdjęcie pod jakimś domem, gdzie da się odczytać szyld: „Maca”. Proszę powiedzieć, czy te kresowe sztetle czymś się wyróżniały?

Chciałabym uniknąć przedstawiania trochę takiego stereotypowego obrazka sztetla, który zakonserwowały literatura i film, jak np. znany wszystkim *Skrzypek na dachu*. Ale pewnie nie do końca się uda (śmiech). Tam, gdzie była społeczność żydowska, miasteczko wyglądało podobnie – obok kościołów i cmentarzy chrześcijańskich i prawosławnych były synagogi i żydowskie cmentarze; choć synagoga nie jest, wbrew utartemu stereotypowi, odpowiednikiem świątyni. W środku miasta był rynek, a na rynku handlowali Żydzi i chrześcijanie; sklepik żydowski był obok chrześcijańskiego. Szyldy sklepików wywieszano w językach urzędowych, czasem w jidysz – to zależy od okresu i regionu. Można było zobaczyć mężczyzn i chłopców w tradycyjnych strojach idących do synagogi, domu modlitwy lub szkoły religijnej. W społecznościach ortodoksyjnych życie toczyło się zgodnie z rytmem kalendarza żydowskiego, który wyznaczały święta, wypadające w innym czasie niż chrześcijańskie. W piątek wieczorem Żydzi rozpoczynali szabat – na czas świętowania ich aktywność niemal zamierała ze względu na szereg zakazów.

Wygląd miasta, jak i styl życia zmieniały się z czasem i pod wpływem rozwoju społeczno-ekonomicznego, przemian społecznych i politycznych, także np. po okresie żydowskiego oświecenia, tj. *haskali*, ruchów asymilacyjnych czy pod koniec – syjonizmu. Życie Żydów zasymilowanych z większych miast różniło się znacznie od ortodoksyjnych skupisk na prowincji.

Na dawnych Kresach podstawowa struktura społeczności żydowskiej i zasadniczo sposób życia znacząco nie różniła się od tej w innych częściach Polski, no może z wyjątkiem dialektu języka jidysz.

O, to i język był inny?

Kresy nie były wyjątkiem, jeśli chodzi o zróżnicowanie języka. Żydzi z Litwy, tzw. litwacy, mówili inaczej niż np. Żydzi z Galicji. Jidysz w ogóle jest takim językiem, który

włącza słownictwo danego regionu. Podobnie jak w języku polskim – mamy różne odmiany lokalne.

A w jaki sposób Państwo zbierają informacje na temat tych sztetli? No bo tych żyjących, którzy jeszcze pamiętają, to już chyba za dużo nie ma. To są już prawie stulatki...

To ciekawe zagadnienie. Muszę tu nawiązać do początków portalu Wirtualny Sztetl.

15 lat temu, a portal obchodził w ubiegłym roku 15-lecie istnienia, był to projekt społecznościowy, inspirowany Wikipedią. Każdy zalogowany użytkownik mógł dodawać swoje treści. W związku z tym portal został wypełniony informacjami i zdjęciami przez entuzjastów, lokalnych aktywistów, niebędących jednak badaczami czy historykami, zwłaszcza bazującymi na archiwach. Dlatego w pewnym momencie możliwość edytowania treści dla czytelników została zamknięta. W tej chwili sami opracowujemy, weryfikujemy, uzupełniamy artykuły lub zamawiamy je u specjalistów.

Czy posiadacie bieżący dopływ wiadomości bezpośrednio z Kresów (mam na myśli ziemie utracone przez Polskę po Jałcie)?

Niezbýt często, ale zdarzają się czytelnicy, którzy do nas piszą; współpracujemy też z instytucjami kultury z Ukrainy, Litwy, Łotwy. Nie możemy dziś swobodnie pojechać na Białoruś czy Ukrainę, więc siłą rzeczy musimy chwilowo bazować na czytelnikach i badaczach oraz nowych opracowaniach stamtąd. Ostatnio przy pomocy badaczki ze Zbaraża dokonaliśmy uzupełnienia opisu tamtejszego cmentarza. Zatrudniamy w muzeum Ukrainki i Białorusinki, które również są dla nas wsparciem. Jesteśmy zawsze wdzięczni za to, że czytelnicy do nas piszą i przesyłają materiały. Możemy je po weryfikacji opublikować, jeśli spełniają nasze kryteria jakości.

Czy macie kontakt z mieszkańcami dawnych sztetli?

Z osobami urodzonymi przed wojną już raczej nie. Niestety to pokolenie już odeszło lub odchodzi. Natomiast z dziećmi i wnu-



Synagoga w Tarnopolu (1910)

kami jak najbardziej. Korzystają z naszego portalu, piszą do nas, czasem korygują informacje czy uzupełniają naszą wiedzę. Czasem przychodzą też osobiście. Poszukują informacji o swoich przodkach i wszelkich informacji o terenach, skąd pochodzili. Nierzadko przekazują pamiątki, dokumenty, zdjęcia archiwalne. Czasami nagrywamy świadectwa takich osób do naszej kolekcji historii mówionej. Potomkowie Żydów urodzonych w Polsce traktują nasz portal jako przewodnik po „starym kraju”. Czasem dzięki zdjęciom z portalu, np. macew (mamy bazę nagrobków żydowskich), odnajdują grób swoich przodków.

A co, jeśli ktoś chce po prostu zbudować drzewo genealogiczne?

W muzeum mamy pracowników specjalizujących się w genealogii, kwerendach archiwalnych i możemy udzielić wsparcia w podstawowej kwerendzie. Nie świadczymy jednak usług genealogicznych.

Wygrzebujecie pamiątki z popiołów. A czy Polacy, spowinowaceni tak jak ja z lwowianką Heleną Miszel, o której pisałam, też się interesują i nadsyłają ciekawostki?

Tak, obserwujemy wśród czytelników coraz większe zainteresowanie historią lokalną, rodziny, sąsiadów, miasteczka. Przed wojną przecież ich dziadkowie, pradiadkowie mieli sąsiadów-Żydów, kupowali w żydowskich sklepikach, chodzili do szkoły z Żydami. Widzimy również spore zainteresowanie, aby społeczność żydowską w różny sposób upamiętniać.

Znam mnóstwo takich sąsiedzkich historii, nagrałam, spisałam...

Nasi czytelnicy też chcą się dzielić swoimi badaniami, wynikami swoich poszukiwań archiwalnych. Chcą, by ich miasteczko było opisane zgodnie ze stanem faktycznym, informują o odnowionych zabytkach i wydarzeniach, upamiętnieniach, nadsyłają materiały i zdjęcia. To na ogół nauczyciele, bibliotekarze, działacze społeczni, regionaliści. Co roku muzeum też przeprowadza konkurs na Nagrodę POLIN dla osób i organizacji działających na rzecz zachowania pamięci o historii polskich Żydów. Takich osób jest całkiem sporo, podobnie jak odbywających się upamiętnień. Powstają nowe izby pamięci, muzea, wystawy. Ukazuje się sporo publikacji regionalnych i lokalnych.

Jeżdżiliście też na Kresy?

Tak. Od roku 2016 r. kiedy zaczęliśmy wyjazdy dokumentacyjne, do dziś mamy przebadanych ok. 120 miejscowości na Ukrainie, Białorusi, Litwie, Łotwie i w obwodzie królewieckim. Niestety, jak wspominałam, obecnie kontynuacja tych prac jest możliwa tylko w małym stopniu. Ostatni raz, tuż przed pandemią koronawirusa, czyli w 2019 r., pojechałam na Ukrainę, w okolice Stanisławowa; dokumentowałam kilka miejscowości, tj. Rohatyn, Kałusz, Bursztyn, Bolechów, Doline, Bolszowce, Bukaczowce...

Proszę opowiadać!

Przed wyjazdem zrobiłam plan i dokładną kwereńdę. Na miejscu pierwsze kroki kierowałam do danego muzeum, izby pamięci, a jeśli ich w miejscowości nie było – do lokalnych organów administracji. Byłam tam zawsze bardzo serdecznie przyjmowana. Bursztyn, Kałusz, a zwłaszcza Bukaczowce i Bolszowce to raczej małe miejscowości, ale przetrwały tam materialne ślady dziedzictwa, jak cmentarze czy synagoga, a także ślady getta. W Bukaczowcach, oprócz mocno zarośniętego cmentarza zachowały się zniszczone budynki domu modlitwy i mykwy oraz domy żydowskie. Dzięki temu, że udałam się do tamtejszej siedziby rady wiejskiej, skontaktowano mnie z osobą, której mama pamiętała wszystkich żydowskich sąsiadów i zostawiła notatki, gdzie kto mieszkał – z imienia i nazwiska. I ta starsza pani wędrowała ze mną przez całe miasteczko, pomagając w dokumentacji. Jeszcze pod koniec pobytu w tamtejszym domu kultury,

który był wcześniej domem modlitwy, kilka pań na czele z dyrektorką ugościło mnie ciastem i herbatą. Wszędzie gdzie dotarłam, otrzymywałam bezcenne wsparcie. Byłam też w Rohatynie...

No właśnie, Rohatyn....

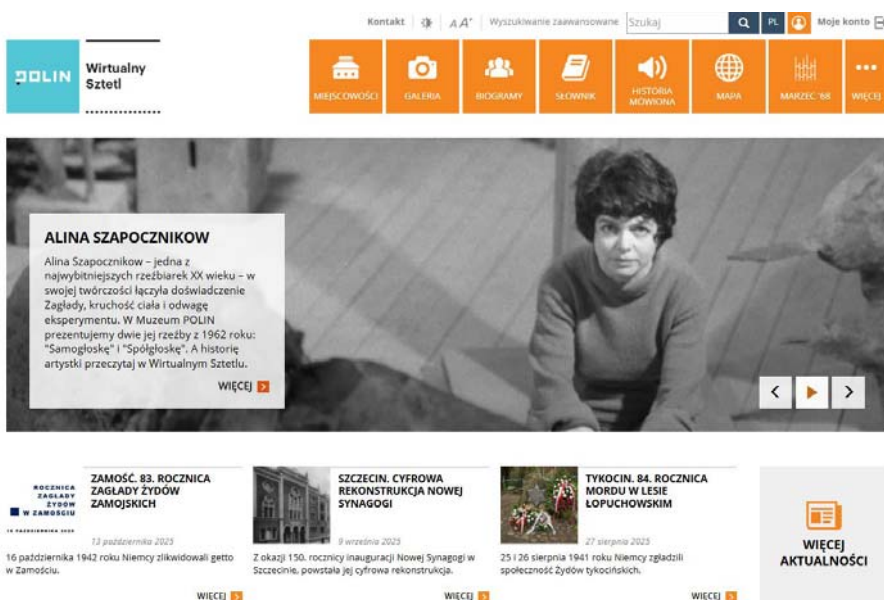
Muszę powiedzieć, że tam bardzo aktywnie działa potomkini Żydów z Rohatyna, Marla Raucher-Osborn. Spędza dużo czasu na Ukrainie, animuje lokalne gremia, szkoły, wolontariuszy. Odchwaszczają i koszą cmentarze, odrestaurowują nagrobki. W Rohatynie przekonałam się naocznie, że to dziedzictwo jest zadbane, właśnie za sprawą inicjatyw oddolnych. Takie inicjatywy są też w innych miasteczkach. Z kolei w Zbarażu były dwa cmentarze, jeden z nich również jest opisany dzięki zaangażowanej badaczce pracującej w lokalnej instytucji kultury. Niedawno odczytali inskrypcje z macew i stworzyli stronę internetową z listą nagrobków.

Jak to jest z restauracją zabytków? We Lwowie podjęto wysiłki, by częściowo zrekonstruować synagogę Żółtą Różę, zniszczoną przez Niemców w 1942 r. Czy gdzieś jeszcze?

Nie mam dostatecznie aktualnej wiedzy, jeśli chodzi o tereny dawnych Kresów. Jeśli chodzi o Ukrainę, to sądzę, że odbudowa zabytków żydowskich w chwili obecnej nie jest priorytetem z racji toczącej się wojny. Trzeba pamiętać, że koszty takich rewitalizacji zabytków są często duże. W Polsce pozyskujemy na to np. środki unijne, które nie są dostępne dla Ukrainy. Choć jest też wiele oddolnych lokalnych inicjatyw, działających dzięki prywatnym darczyńcom.

Wiemy, co teraz mieć w sobie Wirtualny Sztetl. A co Pani by chciała, aby ludzie mogli w nim znaleźć w przyszłości?

Chcielibyśmy, aby czytelnicy mogli znaleźć pełną, rzetelną wiedzę na temat każdej przedwojennej gminy żydowskiej, dobrze opisaną ikonografię oraz informacje o aktualnym stanie zabytków. Celem Muzeum Historii Żydów Polskich jest także dokumentowanie i upowszechnianie wiedzy, zatem chcielibyśmy, żeby Wirtualny Sztetl był pierwszym źródłem internetowym dla każdego, kto szuka informacji o historii i kulturze polskich Żydów.



Są w nim też nagrania, prawda?

Same nagrania, które można odsłuchać, tzw. wywiady historii mówionej, są na oddzielnym kanale Youtube @HistoriaMowionaPOLIN. Na portalu Wirtualny Sztetl znajdziemy indeks opracowanych wywiadów, zdjęcia i streszczenia wywiadów. Mamy w kolekcji świadectwa ocalałych z Zagłady, przedstawicieli drugiej i trzeciej generacji, emigrantów marcowych, przedstawicieli społeczności żydowskiej w Polsce. Jako przykład wywiadu z osobą urodzoną na dawnym Kresach, a konkretnie w Borysławiu, mogę przywołać relację Szewacha Weissa, który ocalał jako dziecko, ukrywany przez sąsiadów. Jest ona dostępna na kanale YouTube. Takie relacje wzbogacają obraz przedwojennej, wojennej i powojennej sytuacji Żydów, są zapisem pamięci.

Rozmawialiśmy dotąd głównie o Sztetlu, więc o zbiorach cyfrowych. Ja do Muzeum Polin oddałam recepty dr. Wiktora Reissa, lwowskiego okulisty, a do samego Sztetla – cyfrowe kopie fotografii. W domu nie ma pożytku z takich drobiazgów (chyba że ktoś sam jest badaczem tematu). Dla kontrastu, w muzeum zakonserwują je, wyeksponują i będzie pożytek, radość. Współpracuję w ten sposób z wielu muzeami. A wiem, że w wielu domach takie rzeczy niszczyją lub są wyrzucane...

Tak, to misja każdego muzeum. Jeśli ktoś ma pamiątki, archiwalia, dokumenty, zdjęcia i szuka odpowiedniej instytucji, która by o to zadbała, to zachęcamy do kontaktu z nami. Oczywiście kolekcjonujemy pamiątki związane z polskimi Żydami.

Ratujemy, co się da! Co najchętniej Państwo przyjmują do swoich zbiorów? Co można oddać do Muzeum Polin i Wirtualnego Sztetla?

Nasz muzealny dział zbiorów przyjmuje pamiątki, tj. obiekty materialne, dokumenty, przedmioty od prywatnych darczyńców – zawsze indywidualnie rozpatrując, czy i co włączyć do kolekcji. Do Wirtualnego Sztetla przyjmujemy skany cyfrowe zdjęć i dokumentów z archiwów prywatnych i rodzinnych, do których byśmy prawdopodobnie sami nie dotarli. Digitalizacja oznacza, że nie trzeba zostawać się rodzinną pamiątką. Cenne jest wszystko, co uzupełnia historię społeczności żydowskiej czy biografistykę. Na przykład, właśnie tak, jak Pani, pisząc artykuł o swojej cioci, lekarce, obrończyni Lwowa, przekazała cyfrowe zdjęcia ze szpitala w Nowym Sączu, w którym ona potem pracowała. To bardzo cenne i otwierające nowe perspektywy wydawnicze i edukacyjne. Za to jesteśmy zawsze wdzięczni.

Zapraszamy do odwiedzenia naszego portalu www.sztetl.org.pl

Koleje Galicji

W tekście zebrałem garść ciekawostek związanych z kolejami na obszarze Galicji (głównie Małopolski). Mapa sieci kolejowej RP nadal nie pozostawia żadnych wątpliwości co do tego, jak przebiegały granice zaborów. Czy dożyjemy chwili zatarcia się tych śladów na mapie naszego kraju? Kolej w byłym zaborze austriackim, choć poddana od połowy XIX w. zmiennej polityce władz monarchii, nie wypada jeszcze najgorzej, choć niestety wciąż widać na tej mapie ciążenie do metropolii wiedeńskiej. Gorzej było jednak w zaborze rosyjskim, w którym władze starały się minimalizować sieć kolejową ze względów strategicznych.

Wiek XIX to wiek kolei, która powstawała w wyniku ewolucji transportu konnego oraz pozytywnych doświadczeń wynikających z odpowiedniego dostosowania tras przewozu ładunków. Najpierw koleiny powstawały samorzutnie, potem – tworzone je celowo, np. na słabszych gruntach układając drewniane belki dokładnie w rozstawie szyn, potem uzupełniając drewno metalem. Wiele takich eksperymentów towarzyszyło rewolucji przemysłowej, wymagającej wzrostu przewozów towarowych w kopalniach, hutach, fabrykach. Najpierw były pociągi ciągnięte przez konie. Pamiątką po tej epoce jest europejski rozstaw szyn – mieści się między nimi koń... Potem lokomobila parowa próbowała poruszać pojazdy, lecz było to możliwe tylko na krótki dystans.

Pierwsze udane próby zbudowania pojazdu wyposażonego w silnik parowy miały miejsce już na początku XIX stulecia. Parowóz Trevithcka przewiózł w 1802 r. około 10 ton na odległość 3,2 km. W 1814 r. Jerzy Stephenson zbudował swój pierwszy parowóz Blucher, prowadzący w kopalni 8 wózków (wagoników) o łącznej wadze 30 ton z prędkością 6,5 km na godzinę. Umownie za początek komunikacji kolejowej przyjmujemy wybudowanie linii użytku publicznego między Stockton i Darlington. 27 września

1825 r. linię otwarto, a pierwszy pociąg poprowadził zaprojektowany przez Stephensa parowóz Locomotion nr 1, ciągnący 24 wagony z prędkością do 24 km na godzinę. W pociągu, ważącym 90 ton, prócz towarów jechało też ok. 300 podróżnych.

Nie czekaliśmy długo na to, by kolej pojawiła się na ziemiach dziś polskich. 22 maja 1842 r. ruszył pierwszy pociąg z Wrocławia do Oławy. Po pięciu latach na terenie Galicji powstała pierwsza linia kolejowa uruchomiona na podstawie upoważnienia polskich władz. To zbudowana w roku 1847 linia z Krakowa do Mysłowic. Towarzystwo Kolei Krakowsko-Górnosławskiej, które otrzymało koncesję na tę linię od Senatu Rzeczypospolitej Krakowskiej, uzupełniło ją rok później o odnogę do Maczek (granicy). W 1850 r. przedsiębiorstwo to zostało włączone w skład Austriackich Kolei Państwowych; dysponowało wówczas 8 parowozami, 18 wagonami osobowymi i 80 wagonami towarowymi i 67 kilometrami linii kolejowej.

W 1848 r. uruchomiono Kolej Warszawsko-Wiedeńską – ze stolicy zaboru rosyjskiego do Maczek (Sosnowca), do połączenia z koleją krakowską. Towarzystwo Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej powołano już w 1839 r. Niestety nie udało się polskim kapitalistom zebrać dostatecznych środków, by dokończyć planowanej budowy. Zadanie to musiała przejąć rosyjska administracja zaborcza. Po latach od Rosjan odkupił tę kolej Leopold Kronenberg, mecenas powstańczego Rządu Narodowego i jeden z dwóch polskich – obok Jana Blocha – „królów kolei” tamtych czasów.

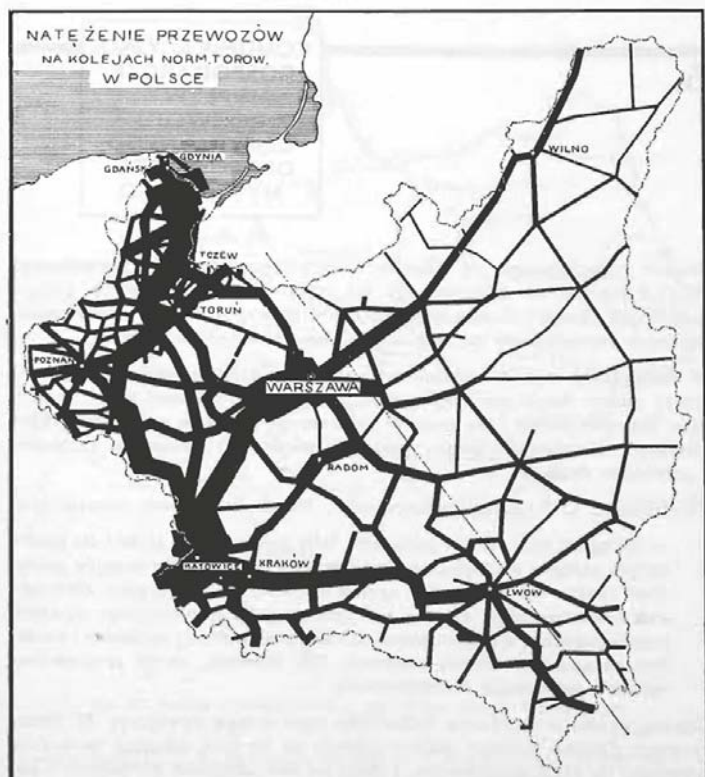
Wracając zaś na południe – poza wspomnianą już linią Mysłowice–Maczki–Kraków – kolejnym pionierem budownictwa kolejowego w zaborze austriackim stał się dom bankowy Rotschilda, który w 1836 r. utworzył Towarzystwo Akcyjne pod nazwą „Wyłącznie Uprzywilejowana Kolej Żelazna Północna Cesarza Ferdynanda” (taki tam był obyczaj, by przedsiębiorstwa komercyjne nosiły imiona członków rodziny panującej). Do 1856 r. Towarzystwo oddało do użytku

linie z Wiednia do Bochni z odnogami do Wieliczki i Niepołomic, Oświęcimia, Trzebini, Krakowa i Dębicy. Kolej Północna była w porównaniu do wspomnianych wcześniej struktur Kolei Krakowskiej – potentatem. Przejęte w 1906 roku przez Skarb Państwa przedsiębiorstwo, do tego terminu działające w formie spółki, zarządzało w 1858 roku aż 626 kilometrami linii kolejowych, z czego w Galicji do 1906 roku było ich 195 km. Firma korzystała z prawie sześciuset lokomotyw, prawie tysiąca trzystu wagonów pasażerskich i ponad 21 tysięcy wagonów towarowych.

Później powołane „Towarzystwo uprzywilejowanej galicyjskiej kolei żelaznej Karola Ludwika” przejęło od wspomnianej Kolei Północnej odcinki z Dębicy do Krakowa z odnogami i oddało do użytku odcinki linii łączące Rzeszów z Dębicą i Przeworskiem, Przemyśl z Przeworskiem i Lwowem, Lwów ze Złotowem, Krasnem i Brodami. Kolej Karola Ludwika założona przez kapitał polski (wśród akcjonariuszy znajdujemy m.in. Sapiehów, Badenich, Dzieduszyckich, Krasickich, Ponińskich, Potockich, Sanguszków) otrzymała koncesję, która miała obowiązywać do 1948 roku, jednak została znacjonalizowana już w 1892 roku. Kolej Karola miała w Galicji 849 km linii, korzystała ze 170 lokomotyw, 296 wagonów pasażerskich i prawie 3400 – towarowych.

Towarzystwo kolei Lwowsko-Czerniowieckiej w 1866 roku otworzyło linię ze Lwowa do Śniatyna i Czerniowiec. Wśród akcjonariuszy tego towarzystwa również pojawiają się polskie arystokratyczne nazwiska; firma miała na terenie Galicji 240 km linii kolejowych, ponad 60 parowozów, ponad 90 wagonów osobowych i 250 towarowych.

Kolejne prywatne przedsiębiorstwa miały już mniejsze rozmiary. Kolejno firmy te były wchłaniane przez Austriackie Koleje Państwowe, które w rezultacie w 1914 roku na



obszarze Galicji zarządzały prawie trzema tysiącami kilometrów linii kolejowych. Bo też cłk władze prowadziły zdecydowanie niekonsekwentną politykę. Oto przyznano Pierwszej Węgiersko-Galicyjskiej Kolei Żelaznej (znów Sapieha, Czartoryski, Mąciński wśród koncesjonariuszy) koncesję do maja 1959 roku (tj. na lat 90), a Austriackie Koleje Państwowe (AKP) przejęły przedsiębiorstwo już w 1892 roku.

Dniestrzańską Kolej Żelazną Mycielskiego, Kraińskiego, Dunina i innych miała koncesję do 1960 roku, AKP „połknęły” ją w 1876 roku. Kolej Arcyksięcia Albrechta (Lwów–Stryj–Stanisławów): koncesja do 1961 r., nacjonalizacja w 1891 r. Kolej Lwów–Bełżec–Tomaszów: koncesja do 1976 r., przejęcie przez AKP w 1909 r.

Mimo tej etatyzacji do końca monarchii stosowano politykę dziewięćdziesięcioletnich koncesji; Wydział Krajowy Galicji i Lodomierii uzyskał jeszcze w sierpniu 1910 roku koncesję na linię Drohobycz–Truskawiec (ok. 11 kilometrów), która wygasnąć miała dopiero w 2000 r. Ze statystyk doprowadzonych do 1913 r. wynika, że kolejka ta, obsługiwana przez dwie lokomotywy, pięć



Rozbudowa stacji węzłowych w południowej Polsce

wagonów pasażerskich i 7 towarowych, działała z zyskiem...

Wróćmy na chwilę do połączenia kolei krakowskiej z wiedeńską, tj. do granicy w Sosnowcu/Maczkach. W tym miejscu rozegrał się interesujący epizod powstania styczniowego, niekiedy mylnie określany jako pierwsze zastosowanie pociągu pancernego w polskiej historii wojskowości. Chodzi o działania zgrupowania zgromadzonego w Ojcowie przez Apolinarego Kurowskiego, który w lutym 1863 roku ruszył w stronę trójkąta trzech cesarzy.

6 lutego 1863 r. w Maczkach kolejarze uzbili pociąg złożony z dwóch lokomotyw i dziesięciu wagonów towarowych, które obudowano podkładami kolejowymi. O godzinie 21:00 oddział wyjechał z Maczek przez Żąbkowice i Dąbrowę do Sosnowca. O godzinie 2:00 w rejonie Sielca piechota i kawaleria opuściły pociąg i ruszyły pieszo do dworca i sąsiadującej z nim komory celnej. Pociąg, choć elegancko przez kolejarzy przygotowany, nie wziął jednak udziału w walce...

Pokonani w walce Rosjanie opuścili rejon dworca, przechodząc do Prus; Kurowski zdobył sporo wyposażenia i – co ważniejsze – sporą kwotę pieniędzy, którymi podzielił się z Rządem Narodowym. W konsekwencji Rosjanie też wycofali najbliższe graniczne posterunki, część Zagłębia Dąbrowskiego została na dwa tygodnie wyzwolona, pojawiły się polskie władze i polskie flagi. Apolinary Kurowski zmarnował jednak szybko efekty tego sukcesu w przegranej bitwie o Miechów...

Tyle zderzenia legendy z prawdą historyczną – wróćmy do kolei galicyjskich.

Rzut oka na mapy połączeń kolejowych powstających w trzech zaborach w drugiej połowie XIX wieku nie pozostawia wątpliwości co do faktu, iż ich lokalizacja była podporządkowana interesom zaborców. Na przykład do 1904 r. koleje zaboru rosyjskiego łączyły się z dzielnicą pruską jedynie w trzech miejscach; Szopienice – Sosnowiec, Toruń – Aleksandrów i Mława – Działdowo. Tylko trzy połączenia na długości 700 km granic. Koleje zaboru rosyjskiego połączone zaś były z kolejami zaboru austriackiego jedynie w jednym miejscu, u zbiegu granic trzech zaborów; w Sosnowcu-Maczkach. Rosjanie zadbali zaś o dobre połączenie swojego zaboru z centralą, budując już na początku lat sześćdziesiątych XIX w. Kolej Warszawsko-Petersburską; linia ta odegrała ważną, acz złowrogą rolę w czasie powstania styczniowego, ułatwiając dostawy sprzętu i wojska oraz wywóz konspiratorów na zesłanie.

Integracja sieci kolejowych w II Rzeczypospolitej wiązała się więc z olbrzymimi trudnościami ze względu na różnice organizacyjne, techniczne, systemowe i własnościowe. W zaborze pruskim w zasadzie nie było mowy o kolejach prywatnych. W ck Austrii, choć państwo starało się być na tym rynku znaczącym graczem, pozostawiano dużo miejsca inicjatywie prywatnej. W zaborze rosyjskim większość linii wyznaczana była w terenie przez sztab generalny po trasach odpowiadających rosyjskim planom wojennym. W Prusach i ck Austrii koleje miały europejski rozstaw szyn w świetle – 1435 mm.

W Rosji zaś regułą był rozstaw szeroki – 1525 mm. Jedynie początkowo prywatna i powstająca z inicjatywy polskiego kapitału kolej warszawsko-wiedeńska ułożona została od początku w rozstawie europejskim, który został też zastosowany do jej odnóg. Rzetelność wymaga jednak przypomnienia, że po zajęciu Królestwa Niemcy przekuli w zasadzie wszystkie rosyjskie linie kolejowe na układ europejski, co zdecydowanie ułatwiło sytuację polskim władzom.

Niemcy nie ułatwili jednak integracji Królestwa z ich, dość rozwiniętą, siecią kolejową. Dojazd z Warszawy do Poznania prostą drogą, nie przez Kalisz (!) stał się możliwy dopiero wówczas, gdy połączono Kutno z Wrześnią szynami z rozebranej kolei petersburskiej.

Gorzej było z zasadami ruchu kolejowego. Starczy przypomnieć, że w Rosji i Prusach obowiązywał ruch prawostronny, na kolejach c.k. Austrii zaś – lewostronny. Dostosowanie Galicji do reszty kraju wymagało nie tylko zmiany przyzwyczajzeń i dokumentów, lecz także przebudowy semaforów i innych urządzeń sterowania ruchem kolejowym, a także – w licznych przypadkach – układów torowych (zwłaszcza na stacjach). Niestety, to dostosowanie trwało bardzo długo i mówiąc szczerze – nie udało się go ukończyć do wybuchu II wojny światowej. Poważniej to zadanie było realizowane od połowy lat trzydziestych dwudziestego wieku, i np. ważna trasa Kraków–Lwów miała być przebudowana na ruch prawostronny dopiero w 1941 roku...

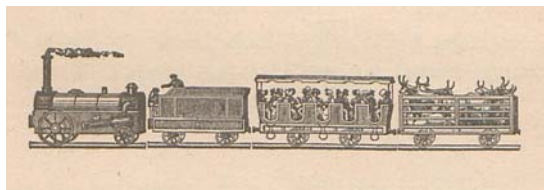
Odzyskanie niepodległości przypadło w okresie dominującej na naszym kontynencie tendencji do zwiększenia roli państwa w gospodarce. Prócz Luksemburga, Hiszpanii i Portugalii, powierzających prowadzenie przedsiębiorstw kolejowym kapitałowi prywatnemu, w Europie przeważała koncepcja komercjalizacji z zachowaniem państwowej kontroli przedsiębiorstw kolejowych. Ten też model przyjęto w stosunku do przedsiębiorstwa państwowego Polskie Koleje Państwowe. Przedsiębiorstwo miało system finansowania i organizację zbliżone do spółek handlowych, lecz z jednym ważnym zastrzeżeniem: szefem firmy pozostawał minister komunikacji, a ministerstwo pełniło też rolę aparatu zarządu przedsiębiorstwa. Wybiegając w przyszłość – ten system obo-

wiązywał w Polsce do lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku.

Komercjalizacja PKP nastąpiła na podstawie dekretu Prezydenta z 24 września 1926 roku. Jako odrębna osoba prawna PKP zostały wpisane do rejestru handlowego, kolejowy majątek ruchomy stał się własnością przedsiębiorstwa, a jego nieruchomości – przedmiotem użytkowania.

Władze Odrodzonej Polski zmierzały do skomasowania wszystkich kolei w PKP. Był to więc – w odniesieniu do Galicji – dalszy ciąg procesu prowadzonego przez władze austriackie. 14 września 1920 r. uchwalono ustawę o przejęciu kolei zbudowanych przez byłe władze okupacyjne pod zarząd ministerstwa kolei żelaznych (późniejszego resortu komunikacji). Co prawda zgodnie z ustawą z 4 października 1921 r. możliwe było udzielanie koncesji na koleje prywatne, lecz nawet sztabowy projekt oparty na tych regulacjach, tzw. linia węglowa (Herby Nowe – Gdynia), początkowo realizowany przez kapitał mieszany, polsko-francuski, musiał być dokończony przez PKP.

Dziś nie ma jednolitej PKP, państwo monopolizuje jedynie zarząd infrastrukturą kolejową (PKP PLK), a na torach pojawiają się nowi przewoźnicy, także – zagraniczni, także – prywatni. Ale analogie do XIX w. mogą być bardzo mylące...



Źródła:

Teofil Bissaga, *Geografia kolejowa Polski z uwzględnieniem stosunków gospodarczo-komunikacyjnych*; Warszawa 1938 r. (wydawnictwa Techniczne Ministerstwa Komunikacji, Nr 9)

Stanisław Szuro; *Informator statystyczny do dziejów społeczno-gospodarczych Galicji; Koleje żelazne w Galicji w latach 1847–1914*; Kraków 1997

Praca zbiorowa, *20-lecie komunikacji w Polsce odrodzonej 1918–1939*; reprint, Łódź 2012 r.

Ilustracje – zaczerpnięte z pozycji pierwszej (T. Bissaga).

Kpt. Zygmunt Broczkowski ps. „Młodzik”

(1926–2025)

29 września 2025 roku w wieku 99 lat zmarł śp. kpt. Zygmunt Broczkowski ps. „Młodzik”, „Wańka”, urodzony 9 listopada 1926 roku w Maziarni Gogołowej. Jego rodzicami byli Franciszek i Stefania z domu Kosiewicz. Szkołę powszechną ukończył w Kamionce Strumiłowej. Po ukończeniu szkoły zdał egzaminy i został przyjęty do Korpusu Kadetów we Lwowie. Po wybuchu wojny powrócił do Kamionki Strumiłowej, gdzie uczęszczał do tak zwanej 10-latki. Po dwukrotnym aresztowaniu przez Sowietów jego ojciec – leśniczy został wyrzucony z pracy w leśnictwie w Maziarni Strumiłowej. Osiedlili się we Lwowie, gdzie ponownie uczęszczał do szkoły. Nie trwało to jednak długo, bowiem ojciec w marcu 1940 roku został aresztowany po raz trzeci i zesłany w głąb ZSRR. Dzięki grypsowi podanemu przez ojca z więzienia udało mu się uciec wraz z bratem i matką. Cudem uniknęli zesłania. Mieszkanie zostało zaplombowane przez NKWD. Ukrywali się u znajomych i krewnych we Lwowie, Brodach, Rudzie Brodzkiej, Kamionce Strumiłowej i Radziechowie, podejmując się różnych dorywczych prac.



Zygmunt, pomimo ukrywania się, równocześnie był uczniem na tajnych kompletach. Kiedy powrócił do Lwowa, pełen chęci walki z niemieckim okupantem, w listopadzie 1942

roku, jako szesnastolatek, został zaprzysiężony przez dowódcę plutonu Władysława Załogowicza ps. „Felek” w plutonie Grunwald Szarych Szeregów pod ps. „Młodzik”, gdzie pełnił służbę wywiadowczą i wartowniczą. Brał też udział w małym sabotażu w oddziale „Wiatr” w akcji „Burza” do 30 czerwca 1944 r., w ramach działań 14. Pułku AK Lwów rejon „Astra” na Górnym Łyczakowie. Należał do najbar-

dziej ofiarnych żołnierzy wywiadu w walkach o Lwów. W zakresie jego obowiązków było obserwowanie liczby niemieckich żołnierzy, czołgów i innego sprzętu wojskowego oraz kierunków ich przemieszczania. W ruchu oporu brał udział do 7 września 1945 roku. Następnie opuścił Lwów i jako ekspatriant przyjechał do Krakowa. W 1953 r. zawarł związek małżeński z Emilią. Od 1993 roku należał do aktywnych i ofiarnych członków Środowiska Żołnierzy AK Obszaru Lwowskiego im. „Orląt Lwowskich” w Krakowie. Odznaczony był Krzyżem Armii Krajowej, Krzyżem II Obrony Lwowa, Medalem „Pro Patria”, Krzyżem Orderu Krzyża Niepodległości, Odznaczeniem Pamiątkowym „Wierni Akowskiej Przysiędze”, Odznaką Weterana Walk o Niepodległość, Odznaką Akcji Burza, Odznaką Żołnierz Kresowy AK.

Cześć Jego Pamięci!

Jacek Janiec

Prezes Okręgu

Żołnierzy Armii Krajowej Obszaru Lwowskiego im. „Orląt Lwowskich” w Krakowie

Paweł Stachnik

Czerechy, małmazja, dunajki i ck sernik, czyli dawny Lwów na talerzu

W końcu XIX i na początku XX w. w wielu restauracjach lwowskich podawano dania „po wiedeńsku” – sznycel po wiedeńsku, pieczeń po wiedeńsku, sernik po wiedeńsku itd. To miało pokazywać, że lokal serwuje dania takie, jak w stolicy cesarstwa, czyli na najwyższym poziomie – mówi dr Ihor Lylo, historyk, badacz dziejów kuchni galicyjskiej, współautor (razem z Marianną Dushar) książki *Kuchnia lwowska*.

Jakie są pańskie ulubione dania kuchni lwowskiej?

Jeżeli chodzi o deser, to zdecydowanie sernik lwowski. Dotarł on do nas z Wiednia, ale został tak perfekcyjnie zaadaptowany, że stał się lwowską specjalnością. Polecam go każdemu, ale tylko w wersji klasycznej, bo teraz modne stały się rozmaite eksperymenty, które nie zawsze mi się podobają. Drugie danie to żurek, z tym, że różni się on trochę od tych żureków, które jada się w Polsce. A trzecie danie – najlepsze, co jadłem w swoim życiu i najlepsze danie z dzieciństwa, jakie robiła moja mama – to pierogi ruskie. Mama nie była ze Lwowa, ale pierogi robiła wymienicie na kilka sposobów.

Taki obiad bez trudu zje pan w Krakowie i – zapewniam – też będzie znakomity.

No cóż, mówimy o dawnej Galicji, jej ślady dobrze widać także w kuchni. Dorzuciłbym do tego jeszcze jedno – pączki z różą. To też wyrób charakterystyczny dla naszego regionu. W żadnym innym miejscu Europy nie robi się ich na taką skalę jak u nas, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. W dzieciństwie przepadałem za nimi, wołałem je od pączków z makiem. Pewnego razu, żeby zaznaczyć, które są z różą, porobiłem w nich palcem dziurki. Dostało mi się za to od rodziców...

Przejdźmy do tego, czym zajmuje się pan zawodowo jako historyk, czyli do dziejów dawnej kuchni lwowskiej i galicyjskiej. W jakiej



Okładka książki „Kuchnia lwowska. Moja kulinarna podróż przez Galicję”, fot. Wydawnictwo Znak

sytuacji jest badacz tego tematu: dysponuje mnogością źródeł czy raczej musi ich mozolnie szukać?

Źródeł jest dość sporo. Mamy to szczęście, że dzisiejsza zachodnia część Ukrainy do 1939 r. nie była okupowana przez władzę sowiecką, a wojnę przetrwała bez większych zniszczeń. Lwów ma bardzo dobrze zachowane archiwa i to nie tylko miasta, ale także regionu. Głównym z nich jest Centralne Historyczne Państwowe Archiwum Ukrainy. W źródłach nie ma informacji o daniach, jakie dawniej spożywano, są natomiast dane na temat produktów spożywczych przywożonych do Lwowa i ich cenach. Pierwsze wzmianki na ten temat pochodzą z XIV w. Chciałbym podkreślić, że zajmuję się nie tylko historią kuchni, ale szerzej – kulturą, antropologią jedzenia. Informacje na ten temat są porzucane w bardzo wielu źródłach. Czasem trzeba mocno się naszukać. Muszę jednak powiedzieć, że i tak jestem w o wiele lepszej sytuacji niż wielu moich kolegów historyków



Stolsko z wędlinami na targu we Lwowie, zdjęcie z okresu międzywojennego, fot. NAC

z Ukrainy wschodniej czy centralnej, gdzie archiwa nie miały tyle szczęścia.

Jak w praktyce wygląda pańska praca badawcza?

Niedawno ukazała się moja książka napisana wspólnie z Marianną Dushar zatytułowana *Szlachetna kuchnia Galicji*. Została ona oparta m.in. na jadalospisach z XIX i początków XX w. rodziny księcia Andrzeja Lubomirskiego z Przeworska (archiwum przeworskie trafiło do Lwowa). Gdy przeglądałem te jadalospisy, to mniej interesowały mnie same dania – w większości była to kuchnia francuska popularna wówczas w całej Europie – a bardziej występujące na nich marginalia: zapiski, notatki, uwagi nanoszone przez księcia i jego gości (jadalospisy były imienne). To bardzo ciekawy materiał. Takie menu daje nam wiedzę nie tylko o tym, co było na stole, ale także kto za nim zasiadał, o czym rozmawiano i jakie wrażenia odnieśli biesiadnicy. To wspaniała badawcza przygoda. Pojawiają się też kolejne pytania:

kto dostarczał produkty, kto gotował, według jakich przepisów, jaka była zastawa, obrusy itd. Odpowiedzi na nie dostarczają nam inne dokumenty z archiwum przeworskiego. I w ten sposób powstała książka. Podczas lektury pozwala ona czytelnikowi w pewien sposób zasiąść obok księcia, uczestniczyć w biesiadzie, a nawet – w wyobraźni – delektować się jedzeniem.

Zacznijmy jednak od średniowiecza. Czym żywili się zwykli lwowscy mieszczaństwo na przykład w XIV w.?

Znamy produkty, których używali, mamy też nazwy niektórych dań, jakie spożywali. Dysponujemy choćby spisem produktów żywnościowych dla załogi przechowywanych w lwowskim Wysokim Zamku. I tak oprócz mięsa, kasz, warzyw itd. trzymano tam także żywe zwierzęta: krowy, barany, świnie, drób. Znalazłem też zapisek o beczce suszonych czereśni. Chodzi chyba o słynne czerechy kleparowskie, czyli endemit lwowski, hybrydę wiśni i czereśni. Pierwsza wzmianka o nich pochodzi z 1555 r. Kilka lat temu czerecha została odtworzona. Udało się odnaleźć ten gatunek drzew i przywrócić je we Lwowie. Inna ciekawostka: mieszkańcy Lwowa jedli kaszę gryczaną (nazywaną tatarką). Dominowała ona we wschodniej części Galicji, bo w zachodniej już nie. Jedzono też bardzo dużo ryb. Mamy sporo informacji na ten temat. Mieszkańcy Lwowa mogli konsumować nawet ryby morskie – suszone i solone. Te ostatnie to przede wszystkim śledzie z Bałtyku albo z ujścia Dunaju. Do dzisiaj te ostatnie są nazywane dunajkami. Ze źródeł wiemy też o gatunkach chleba wypiekanych w mieście na podstawie taks określanych przez władze miejskie. Wiemy, co podawano na stół, gdy do Lwowa przyjeżdżał król. O kuchni zamożnych mieszkańców mamy najwięcej wzmianek, bo dokładnie opisane są różnego rodzaju dania wraz z ich ceną. Dużo też wiemy o alkoholach. Do XVI w. prawie nie pito wódki, a pierwszeństwo miały piwo i miód pitny. Od połowy XVI w. do spożycia zaczęły wchodzić trunki mocniejsze, takie właśnie jak wódka.

A także wino.

Wino to osobna historia. Pito głównie dobre wina węgierskie, na przykład stary tokaj.

Kawiarnia „BOULEVARD“

Lwów, ulica Karola Ludwika 5

w lokalu całego pierwszego piętra
Telefon Nr. 632.
Urządzona z największym komfortem.

Do dyspozycji pokój dla Pań,
3 bilardy z fabryki Seyfardha z Wiednia. Czytelnia zaopatrzona 170 piśmami, z których 20 piśm lekarskich.

Dwa pokoje do gry.
Wszelkie napoje z pierwszorzędnych fabryk, jak i francuskich.

Właściciel
Karol Świdziński.

Były też wina rodzime, robione na miejscu, bo pod Lwowem były winnice, ale nie miały one takiego poziomu jak te węgierskie. Lwów to miasto, w którym silnie zaznaczały się wpływy Wschodu i Południa, w tym regionu śródziemnomorskiego. Pito tu malmazję. Od połowy XVI do połowy XVII w. sprowadzano do Polski miliony litrów tego trunku, głównie z Krety. Zajmowali się tym kupcy weneccy pochodzenia greckiego.

Jak się zmieniła tamtejsza kuchnia w epoce nowożytnej?

Pamiętajmy, że średniowiecze w Polsce skończyło się później niż w Europie Zachodniej i zmiany w kuchni też nastąpiły później. Francuzi podróżujący po Rzeczypospolitej w XVII w. piszą, że kuchnia polska nadal jest ostra i tłusta. A to przecież zwyczajna kuchnia sarmacka. Wyraźne zmiany w kuchni lwowskiej widać natomiast w XVIII w. Znalazłem najstarsze menu słynnego hotelu „George”, który wtedy nosił nazwę „De Russie”. Pochodzi ono z około 1812 r. Gdy spojrzymy na nie, zobaczymy że jest to głównie kuchnia francuska, ale są też rozmaite próby regionalnych smaków. Hotel chciał się w ten sposób jakoś wyróżnić od konkurencji.

Kiedy w źródłach pojawiają się pierwsi lwowscy kucharze?

Pierwsza wzmianka o lwowskim kucharzu pochodzi około 1615 r. Dotyczy kucharza Tomasza, który płacił określony wymiar podatku. Trzy nazwiska kucharzy, którzy przyjęli prawo miejskie, znamy z pierwszej połowy XVII w. Co ciekawe, jeden z nich uciekł z Moskwy, zmienił wyznanie na katolicyzm i osiadł we Lwowie. Znamy też nazwisko kucharza miejscowej kapituły rzymskokatolickiej. W XVI–XVII w. kucharz miał status pomocy domowej i dość niską pozycję społeczną. Natomiast w końcu XIX w. we Lwowie powstało Zrzeszenie Zawodowe Katolickich Kucharzy (analogiczna organizacja powstała w Krakowie), które wydawało własne czasopismo – „Przegląd Kucharski”. Jednym z najbardziej znanych kucharzy lwowskich był kucharz z Krzeszowic pod Krakowem, z majątku Andrzeja Potockiego, Antoni Teslar. Napisał on książkę kucharską pt. *Kuchnia polsko-francuska*, która zdobyła dużą popularność. Gdy Andrzej Potocki w 1903 r. został namiestnikiem Galicji, zabrał Teslara ze sobą do Lwowa. W stolicy kucharz zasłynął z przyjęć organizowanych dla gości namiestnika. Na przykład w 1905 r. przygotował biesiadę dla 1600 osób; niezwykle wyzwanie logistyczne.



Słynny lwowski hotel George na placu Mariackim, zdjęcie z okresu międzywojennego, fot. NAC

A jakie książki kucharskie wydawano we Lwowie?

Na początku XIX w. w wydawnictwie Franciszka Pillera ukazała się książka kucharska, która stała się przedmiotem wielkiego skandalu. Jej autor został bowiem oskarżony o plagiat prac Jana Szyttlera, znanego kucharza wileńskiego, z których rzeczywiście przepisano całe fragmenty. Jeżeli zaś chodzi o książki ukraińskie, to ogromne znaczenie miały publikacje Olgi Franko, synowej słynnego pisarza i poety Iwana Franki. Istniała nawet polsko-ukraińska rywalizacja na polu książek kucharskich. Ukazywały się też publikacje poświęcone kuchni żydowskiej.

Czy miejscowa kuchnia jakoś się zmieniła po tym, jak Lwów znalazł się pod władzą Austrii?

Wpływ był zauważalny. W mieście pojawili się austriaccy urzędnicy – Niemcy i Czesi, którzy przynieśli ze sobą własne zwyczaje kulinarne; część z nich przyjęła się na stałe. W końcu XIX i na początku XX w. w wielu restauracjach lwowskich podawano dania „po wiedeńsku” – sznycel po wiedeńsku, pieczeń po wiedeńsku, sernik po wiedeńsku itd. To miało pokazywać, że lokal serwuje dania jak w stolicy cesarstwa, czyli na najwyższym poziomie. Próbowano też wiedeńskie przepisy przenosić na rodzimy grunt. Dla mnie na przykład odkryciem było stwierdzenie, że dość niedaleko od Lwowa na dużą skalę uprawiano szparagi. Dziś przeżywają one drugą młodość jako popularne danie sezonowe, a we Lwowie były obecne już dawno. Inna sprawa: Lwów był jednym z największych ośrodków produkcji konserw mięsnych w Austro-Węgrzech, a potem w Polsce międzywojennej. Szczególnie dużo produkowano dla wojska. Działała tam fabryka dr. Zygmunta Ruckera, wytwarzająca konserwy mięsne, ale także zupy i konfitury w puszkach. W 1908 r. we Lwowie zorganizowano słynną wystawę gastronomiczno-spożywczą. Wtedy to pierwszy raz na dużą skalę pokazano kuchnię galicyjską. Wystawę odwiedziło prawie 50 tysięcy ludzi.

Nie zapominajmy o kuchni żydowskiej, przecież jedna trzecia mieszkańców miasta to byli Żydzi. Mieli oni swoją kuchnię koszerną, ale też taką, z której mogli korzystać wszyscy. Słynna restauracja „Bristol” działała

w okresie austro-węgierskim, w dwudziestolecu międzywojennym, a nawet po wojnie w 1945 r. (choć już pod inną nazwą). Znana była z potraw kuchni żydowskiej przygotowywanych przez żonę właściciela, panią Różę Zehngut.

Jakie potrawy były charakterystyczne dla Lwowa w okresie dwudziestolecia międzywojennego?

Do końca lat 20. XX w. mamy do czynienia faktycznie z kontynuacją tego, co było w czasach austriackich. Pewne zmiany nastąpiły potem i nie do końca były dobrze przyjmowane przez Lwówian. Krążyła taka oto anegdota: „Bardzo się cieszymy, że Polska odzyskała niepodległość, ale kawiarnie nam bardzo zwarszawiały...”. Mimo takich narzekań kawiarnie i restauracje mocno się rozwijały. Najlepsze były w hotelu „George”, Hotelu Krakowskim i Kasynie Szlacheckim, ceniono też „Cafe Monopol”, „Amerykańską”, „Centralną”, „Grand”... Jeśli chodzi o dania, to funkcjonowała w nich szeroko rozumiana kuchnia europejska na dobrym poziomie. Okres międzywojenny przyniósł też zmianę statusu kucharzy. Zaczęli być postrzegani jako artyści. Dobry kucharz był należycie opłacany i żył na wysokim poziomie, cieszył się też społecznym poważaniem. Wcześniej tego nie było.

Co stało się z kuchnią lwowską w czasach sowieckich?

Doszło do ogromnej zmiany. Zniknęli dotychczasowi mieszkańcy miasta, zniknęły też dotychczasowe produkty spożywcze. Zmieniło się też podejście do jedzenia. Jedzenie przestało dostarczać przyjemności i relaksu i przestało być sztuką. Stało się natomiast „paliwem socjalnym”. Najważniejsze było, aby robotnik otrzymał wystarczająco dużo żarcia. Przepraszam za słowo, ale nie sposób nazwać tego jedzeniem. To nie jedyna zmiana. Czy wie pan, jak zmieniła się ilość wódki sprowadzanej do Lwowa po 1945 r.? Wzrosła aż 80 razy. To też miało swoje znaczenie. Nowe władze robiły też wszystko, żeby zniszczyć kulturę kawy we Lwowie. Kawa do naszego miasta przyszła z Wiednia, ale uzyskała zupełnie inny charakter, stała się nieodłączną częścią kultury. Dziś zaproszenie na kawę oznacza we Lwowie zaproszenie na spotkanie ze znajomym, rozmowę

Jedynie w Kawiarni „Elite“ Legionów 27
 śniadania z kawy, herbaty, lub czekolady, bułki, masła, miodu, jaj
lub szynki 1.20 gr. Wieczorem zabawy taneczne z udziałem
 najlepszych tancerek. Kuchnia z wyborowymi potrawami czynna
 całą noc. Cen dziennych w nocy nie podwyższa się. 8871

pogawędkę i to niekoniecznie przy kawie. W Związku Sowieckim kawę importowano w ograniczonych ilościach, bo oszczędzano dewizy. Najczęściej więc można ją było kupić tylko z przemytu, co mogło wiązać się z konsekwencjami. Po drugie zaś picie kawy, a nie herbaty wskazywało na przynależność tego terenu do kultury europejskiej. Jeżeli chodzi o restauracje, to nie miało znaczenia, czy ktoś mieszkał na Kamczatce czy gdzieś przy granicy zachodniej ZSRR, bo w lokalach obowiązywał jeden wzorzec jedzenia. Nazywało się to GOST, czyli standard państwowy (Gosudarstwiennyj standard), a żywienie restauracyjne we Lwowie, Kijowie, Rostowie czy Irkucku było takie samo. Wyjątkiem była Moskwa, gdzie zezwalano na restauracje z kuchniami narodowymi.

Czy tradycje dawnej lwowskiej kuchni zachowały się jakoś w mieście, w którym po II wojnie dokonana się prawie całkowita wymiana ludności?

Po 1945 r. we Lwowie zostało około 10 proc. rdzennych mieszkańców. Ze społeczności żydowskiej ocalało około tysiąca osób, a większość z nich i tak wyjechała. Kuchnia żydowska całkowicie zanikła. Polacy zostali w niewielkiej liczbie. Do miasta napływali natomiast nowi mieszkańcy. Pamiętajmy, że najpierw byli to prawie wyłącznie Rosjanie. Przywożono tam całe przedsiębiorstwa z załogami, które osiedlano w opuszczonych przez dotychczasowych mieszkańców domach. Władze sowieckie pozwoliły Ukraińcom przyjeżdżać do Lwowa w większej liczbie jako siłę roboczą dopiero po 1954 r. Do tego czasu Lwów rozmawiał po rosyjsku. A zatem tradycje kulinarne przetrwały w niewielkim stopniu, w domach prywatnych i w rodzinach garstki dawnych mieszkańców. Tradycyjne dania przygotowywano na przykład na wigilię, ale robiono to potajemnie, bo obchodzenie wigilii było zabronione przez władze sowieckie.

Kiedy nastąpiło odrodzenie dawnej kuchni lwowskiej i galicyjskiej?

Stało się to około roku 2000, gdy ukraińska gospodarka zaczęła się lepiej rozwijać. Obserwowałem to na przykładzie przyjeżdżających do Lwowa grup turystycznych. W pewnym momencie przestano mnie pytać, w której restauracji dają dużo jedzenia, a za-

częto pytać, gdzie karmią smacznie. Lwów zmienił się w znaczący ośrodek turystyczny. Nastąpiła eksplozja restauracji, kawiarni i kafejek, a dziś na tym rynku jest ogromna konkurencja. W wielu z nich serwowane są dania takie jak w innych europejskich miastach – łącznie z pizzami, burgerami i kebabem – ale wiele podaje tradycyjne potrawy lwowskie, galicyjskie, żydowskie i ukraińskie. Gdy chce się spróbować prawdziwej kuchni żydowskiej, idzie się do restauracji „Jerozolima”, prawdziwe lwowskie słodczyce podaje cukiernia na ul. Starożydowskiej, popularne są restauracje „Wysoka Kuchnia” i „Baczewski”.

A co przygotowuje się we Lwowie na święta Bożego Narodzenia?

Spośród różnych dań najważniejsza, a na pewno najbardziej symboliczna jest kutia. Trwają wieczne spory, jaka powinna być: gęsta czy rzadka, mniej czy bardziej słodka itp., niemniej kutię robi się w większości lwowskich domów. Kulturowana jest tradycja, w której patriarcha rodziny uroczyście częstuje wszystkich przed kolacją wigilijną wspólną strawą – albo opłatkiem z miodem, albo kutią. Wszyscy składają sobie tradycyjne życzenia: „Abyśmy spotkali się za rok!”. Inna tradycyjna potrawa świąteczna to strucla pieczona w przeddzień Bożego Narodzenia. Na wigilijnym stole leży ona na słomie, przykryta wyszywaną serwetą i symbolizuje nowo narodzone Dziecię. Z kolei w rodzinach żydowskich na Nowy Rok (Rosz ha-Szana) pieczono chałę. Zwyczaj ten przyjął się nawet w niektórych rodzinach ukraińskich.

Dr Ihor Lylo – historyk ze Lwowa, absolwent Uniwersytetu Narodowego im. Iwana Franki we Lwowie. Badacz historii kuchni galicyjskiej i lwowskiej. W 2023 r. krakowskie wydawnictwo Znak wydało książkę pt. *Kuchnia lwowska. Moja kulinarna podróż przez Galicję z przepisami kulinarnymi Marianny Duszar i wstępem historycznym dr. Lylo*. Wspólnie napisali też wydaną w Ukrainie pracę *Szlachetna kuchnia Galicji*.

Kamil S. Woźniak

Pamiętamy!

Kontynuując tradycję opieki i renowacji grobów na Cmentarzu Łyczakowskim, wraz z Ryszardem Deffortem, doświadczonym członkiem komisji ds. renowacji grobów na ww. cmentarzu, wyruszyliśmy w maju bieżącego roku do Lwowa. Była to moja pierwsza wizyta od wybuchu wojny rosyjsko-ukraińskiej. Ponad trzy lata nie widziałem Lwowa. Będąc tam ostatnim razem, jesienią 2021 roku, nigdy bym nie pomyślał, że kolejna przerwa będzie tak długa. Majowy Lwów przywitał nas ulewnym deszczem. Łało od samej granicy, którą przekraczaliśmy na piechotę. Tak zawsze było szybciej i najwygodniej. Samochód zostawiamy na strzeżonym parkingu w Medyce i dalej już na nogach, a z Szegini marszrutką lub busem-taxi. W niecałe dwie godziny dojeżdżamy pod Dworzec Główny. Przebudowany w ostatnich latach plac przed budynkiem w niczym już nie przypomina sowieckich czasów. Lwów znów pretenduje do bycia miastem europejskim. Miejscowy Polak, sympatyczny pan Józef, zabiera nas do siebie do domu. Przez korki i wąskie, brukowane uliczki dostajemy się na Górny Łyczaków. Przez okno samochodu witam się z tym najważniejszym z miast, z miastem Lwa, miastem Zawsze Wiernym. Wydaje mi się, jakbym był tutaj wczoraj. Życie tętni na całego. Nie ma już agregatów na ulicach, nie widzę czerwono-czarnych flag, później niestety negatywnie się rozczaruję.



Po rozpakowaniu, nie tracąc czasu, jedziemy tam, gdzie każdy Polak powinien być, kiedy odwiedza Lwów: na Cmentarz Łyczakowski. Kilka słów w biurze Polskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi, pieczętka w druku delegacji i ruszamy dalej. Krakowski Oddział TMLiKP-W ma ogromne zasługi w renowacji polskich grobowców na Łyczakowie. Od połowy lat 90. ubiegłego wieku odnowiliśmy i uporządkowaliśmy już ponad 650 grobów. Wszystko dzięki ofiarności Krakowian. Każdego roku kwestujemy na krakowskich nekropoliach. W roku 2024 i 2025 są to Rakowice, Salwator, Batowice i Podgórze. Całość zebranych środków jest przeznaczana na renowację polskich nagrobków na Cmentarzu Łyczakowskim. W latach wcześniejszych odnowiliśmy między innymi grób Marii Konopnickiej, Stefana Banacha, Gabrieli Zapolskiej czy Luny Drexlerówny. Obecnie skupiamy



się na grobach, którymi nikt się nie zajmie. Nad którymi nie pochylił się duży państwowy podmiot, który posiada odpowiednie środki i ludzi do pracy nad najważniejszymi grobami i kaplicami. Znajdujemy krzyże obrośnięte krzakami, bluszczem, powalone przez czas, wichury, ludzi i drzewa. Kiedy uda nam się uporządkować jeden grób i widzimy efekt tej wspaniałej pracy pana Józefa i jego zespołu, to zaraz obok znajdujemy kolejny i kolejny. I tak idziemy dalej alejkami, polami. 650 grobów to naprawdę imponujący wynik, jest się czym chwalić.

W roku 2025 odnawiamy następujące groby: Grobowiec Biecelmayerów i Michalewskich (pole nr 5) z końca XIX w. Spoczywa w nim chemik dr Tadeusz Sas Nowosielski (1882–1935). Pracą zawodową związany z Uniwersytetem Lwowskim i Gimnazjum Realnym w Krakowie. Grobowiec skrzyniowy był w dobrej kondycji technicznej. Należało odnowić litery na tablicy inskrypcyjnej – były mało czytelne, przeczyścić piaskowiec oraz odrobinę przesunąć tympanon do tyłu – przez lata nieco się odsunął.

Obok grobowca Biecelmayerów i Michalewskich znajduje się drugi grobowiec Biecelmayerów, w którym spoczywa Amelia Nowosielska (pole nr 5). Należało wyczyścić piaskowiec oraz podmurować wejście do grobowca. Z upływem czasu powstały szpary. Grobowcami tych rodzin opiekuje się od 2014 roku dr Paweł Brzegowy. Wycięty został bluszcz pospolity, który zupełnie je zasłonił, oraz klon zwyczajny niebezpiecznie pochylony nad nagrobkami. Tyle udało się panu doktorowi uprosić u służb porządkowych. Kwatery są odchwaszczane. Dr Brzegowy regularnie świeci na nich znicze.

Grobowiec dra Pawła Kretowicza (1849–1923), wykładowcy Akademii Weterynaryjnej we Lwowie. Grobowiec z piaskowca niedaleko drugiej kaplicy Dunin Borkowskich. Dobrze zachowany z wyjątkiem nakrywającej go płyty. Trzy lata temu w wyniku burzy doszło do jej rozbicia przez spadający konar. Władze cmentarza nie podjęły żadnej interwencji. Ponadto odmalowania wymagał żelazny płot otaczający grobowiec. W przypadku tego grobu konieczny był wjazd ciężkiego sprzętu i dźwigu na teren cmentarza. Efekt przerósł nasze oczekiwania. We wrześniu odebraliśmy znakomicie wykonaną pracę. W tym miejscu chciałem podziękować

członkowi naszego Towarzystwa dr. Pawłowi Brzegowemu. Opisy i sugestie co do ww. grobowców należą do niego. To od niego wyszła prośba zajęcia się tymi grobowcami.

Zajęliśmy się również ziemnym grobem małżeństwa Kornażyńskich. Anna i Józef byli artystami Teatru Miejskiego i zmarli w trakcie II wojny światowej. Został odnowiony krzyż wraz z metalową tabliczką i postawiony nowy piętrowy postument. Po majowej wizycie we Lwowie na naszym facebooku pojawiło się kilka postów wraz z aktualnymi zdjęciami z Łyczakowa. Latem odezwał się przedstawiciel rodziny Marmoross, który zobaczył na naszych zdjęciach popękany grobowiec rodzinny, a w środku widoczne trumny. Jest to kolejny grobowiec, który uda nam się odnowić w tym roku. To dowód także na to, jak pomocne mogą być media społecznościowe i że warto z nich korzystać w naszym kresowym dziele. W tym roku też po raz pierwszy zawieźliśmy dwadzieścia grawerowanych tabliczek. Napisane jest na nich, że danym grobem opiekuje się nasz krakowski Oddział. Jest również umieszczony przedwojenny herb Lwowa, nasz adres mailowy oraz kod QR z odnośnikiem do strony www.cracovia-leopolis.pl. Tabliczki są odporne na warunki atmosferyczne. W przyszłości chcielibyśmy oznaczyć wszystkie groby, którymi się zajmowaliśmy. Oczywiście wiąże się to ze stałą opieką, do której zobowiązujemy się, wieszając oznaczenia. Raz do roku przed 1 listopada na tych grobach zapalamy znicze i dwa razy w roku porządkujemy teren naokoło.

Kolejna wizyta we Lwowie zapewne odbędzie się na wiosnę 2026 roku. Tymczasem przed nami kwesta (piszę te słowa 30 października). Oby była równie udana jak ta przed rokiem, czego sobie i Państwu życzę.



Anna Stengl

Sokół

Ipo herbacie – tak mawiał ksiądz Mieczysław Maliński, kiedy jakieś drzwi się zamknęły.

Tak zamknęły się przed nami drzwi pokoju w budynku „Sokoła” przy ulicy Józefa Piłsudskiego 27 w Krakowie. Przemilcząć nie sposób!

Wszystko, co piszę, piszę we własnym imieniu i odpowiadam za treść. Urodziłam się w pierwszej połowie XX wieku we Lwowie i niestraszne mi jakiegokolwiek konsekwencje.

Przyznaję, trudno mi uwierzyć, że po 35 latach naszego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich musieliśmy opuścić pokój, w którym mieliśmy taki nasz mały Lwów i bliskie nam Kresy. Piszę tak, bowiem raz w tygodniu, w środy w godzinach 15–18, potem 15–17, pełniliśmy dyżury dla tych osób, które chciały odechnąć jeszcze wspomnieniami z „tamtych czasów”. Zwykle przed zakończeniem dyżuru zbierali się Lwowiacy i Kresowiaci. To był wspaniały czas wspomnień, pogodnych lwowskich opowieści.

Jak wspomniałam, nasze miejsce istnienia Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich było w „Sokole”.

Jest to budynek należący do Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, którym zarządza ustanowiony prezes, ale budynek ten nie jest prywatną własnością prezesa PTG. A PTG „Sokół” nierozdzielnie wiąże się ze Lwowem. Przecież powstało 7 lutego 1867 roku we Lwowie!

Od blisko dwóch lat prezes zaczął przymykać te „symboliczne drzwi”. Coraz większe ograniczanie możliwości jakichkolwiek działań, choćby wysyłki „Cracovia Leopoldis”, cenionego kwartalnika o tematyce kresowej, wydawanego przez TMLiKP-W od 30 lat. Jednym z wielu etapów ograniczania naszych pobytów w tym miejscu było zmagazynowanie drewnianych wieszaków wzdłuż całego pomieszczenia, zabranie stołu, krzeseł, a nawet przechowywanie ogromnych bali wykładziny, co uniemożliwiało nam dotarcie do szafy, w której były potrzebne dokumenty. Nie wspomnę o wielokrotnych zapytaniach: Kiedy się wyprowadzicie? Tak teraz myślę, że w cywilizowanym świecie, jeżeli się kogoś po 35 latach wyprasza, że tak powiem delikatnie, to przynajmniej proponuje się jakieś wyjście zastępcze. Mamy iść na złamaną ulicę? Tak mówili we Lwowie...

I często przychodzi mi na myśl – może zabrzmi to górnolotnie – czas ekspatriacji. Trzeba było bez zgody wewnętrznej opuścić miejsce swych narodzin, swoje rodzinne strony, a teraz niektórzy nasi członkowie, już na starość, jeszcze raz muszą rozstać



Tak wyglądały nasze ostanie lata w sokole, fot K. Stafińska

się z tym, co takie przecież lwowskie, tzn. z „Sokołem”. I tu nasuwają się słowa piosenki: „... już mi raz zabrali Lwów”... Dodatkowo trudności finansowe sprawiły, że nie mieliśmy możliwości, aby wynająć pomieszczenia na choćby niewielką „przystań”. Podczas spotkania, na którym zastanawialiśmy się co dalej, oczywiście w gorzkich słowach mówiąc o prezesie PTG, pewna pani, usprawiedliwiając jego poczynania, uzasadniała to brakiem dotacji i koniecznością wynajęcia zajmowanego przez nas pokoju. Czy naprawdę ta „operacja” miałaby uratować budżet Towarzystwa Gimnastycznego? Czy warto było splamić honor dla takiej sprawy?

To wszystko bardzo zburzyło nasz spokój, ideę istnienia Towarzystwa, kosztowało dużo wysiłku, także fizycznego, bo spakowanie, uporządkowanie dobytku z okresu 35 lat nie jest takie łatwe, w dodatku ze świadomością, że nie mamy gdzie z tym pójść.

Ale, jak śpiewał Czesław Niemen: „...lecz ludzi dobrej woli jest więcej...”, znaleźli się tacy Ludzie, którzy, przynajmniej na pewien czas, przygarnęli nas, bo wiedzą czym dla nas jest Lwów i trwanie Krakowskiego Oddziału TMLiKP-W. Teraz nasze dokumenty, szafy, pamiątki są rozsiane w różnych miejscach, tam, gdzie mógł nas KTOŚ na trochę „przytulić”. Co dalej? Może dotrze do kogoś ważnego, że Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, w którym działają także starsze osoby, zasługuje na coś więcej niż przechowywanie szaf w stodole?

Celowo w treści mojej opowieści nie podaję nazwisk, i to nie ze względu na RODO, nie jest to bowiem opowieść o bohaterach i ich zasługach.

Na koniec posłużę się cytatem z piosenki Romana Kołakowskiego:

**„LWÓW JEST W NAS”
I tego nikt nam nie odbierze!!!**

Dziś 1 listopada, Dzień Wszystkich Świętych, jutro Dzień Zaduszny, w Krakowie palimy znicze na grobach zmarłych Lwowiaków i Kresowiaków, kwestujemy na renowację polskich grobów na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie... Pamiętamy!

W Krakowie 1 listopada 2025 roku

Kamil S. Woźniak

Zjazd Delegatów TMLiKP-W w Częstochowie

Zgodnie z zapisami w Statucie Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich raz na cztery lata odbywa się Krajowy Zjazd Sprawozdawczo-Wyborczy Delegatów. W tym roku przypadł na dni 18–19 października. Wyjątkowo, po raz pierwszy w historii Towarzystwa, Zjazd odbył się nie we Wrocławiu, a w Częstochowie. Nasz krakowski Oddział, w związku z liczbą prawie 70 członków płacących składki, mógł wystawić na Zjazd trzech delegatów z prawem głosu. Zaszczycu tego dostąpili piszący te słowa prezes Kamil Stefan Woźniak, sekretarz Krystyna Stafińska oraz członek zarządu Ryszard Defort. W sobotni ranek z Placu Wolnica wyruszyliśmy w trasę pod Jasną Górę. Delegację naszą dopełniały jeszcze dwie osoby: Lesław Popławski, były prezes krakowskiego Oddziału, jako ustępujący członek Zarządu Głównego, oraz Bartłomiej Jasiński. Ten ostatni jest członkiem naszego Oddziału od 2020 roku, ale również członkiem Oddziału Tłumaczan z Wrocławia i jako Tłumaczanin jechał z prawem głosu do Częstochowy.

Zakwaterowanie delegatów zapewnione było w Bursie Zespołu Szkół im. Bolesława Prusa. Pierwszego dnia o godzinie 11:00 rozpoczęły się główne obrady. W roku 2025 stawiło się 61 delegatów z 30 oddziałów. Prezes Adam Kiwacki przedstawił sprawozdanie merytoryczne z działalności Zarządu Głównego. Następnie wystąpił przewodniczący Komisji Rewizyjnej Mirosław Szymański z Warszawy. Pierwszym punktem



Na zdjęciu od lewej: J. Feifer, M. Gromaszek, A. Kiwacki, A. Chłopecki

wyborów było wyłonienie nowego prezesa. Jako kandydat do tego stanowiska został zgłoszony obecnie urzędujący Adam Kiwacki oraz jako jedyny kontrkandydat Kamil Stefan Woźniak. Niestety ze względów rodzinnych i zawodowych musiałem zrezygnować i odmówić kandydowania. W głosowaniu tajnym prezesem na kolejną kadencję został Adam Kiwacki – 49 głosów za i 12 przeciw.

Do 18-osobowego Zarządu Głównego wybrani zostali:

1. Piotr Afińiec – Zabrze
2. Andrzej Azyan– Prezydium Zarządu – Zabrze
3. Andrzej Chłopecki – Oświęcim
4. Jadwiga Feifer – Prezydium Zarządu – Katowice
5. Marek Gromaszek – wiceprezes – Lublin
6. Bartłomiej Jasiński – Oddział Tłumacz Wrocław
7. Jadwiga Kawecka – Namysłów
8. Bogdan Kościński – wiceprezes – Brzeg
9. Stanisław Kończukowski – Jelenia Góra
10. Ludwik Madej – Prezydium Zarządu – Częstochowa
11. Witold Miś – Tarnów
12. Maria Magoń – Prezydium Zarządu – Lubaczów
13. Elżbieta Niewolska – Oddział Tłumacz Wrocław
14. Jarosław Sperski – Szczecin
15. Stanisława Stańczyk-Wojciechowicz – Warszawa
16. Bogumiła Szponar – Wrocław
17. Kamil Stefan Woźniak – Prezydium Zarządu – Kraków
18. Małgorzata Zych – Tarnobrzeg

Zastępcami członków Zarządu Głównego zostali:

1. Krzysztof Basiński – Radom
2. Zbigniew Maliszewski – Oddział Tłumacz Wrocław
3. Witold Michalski – Stalowa Wola

Główna Komisja Rewizyjna:

1. Grażyna Brzezińska – Gliwice
2. Danuta Kacprzak – Lubaczów
3. Bożenna Radwańska – Gliwice
4. Barbara Smoleńska – Bolesławiec
5. Krzysztof Szczur – Szczecin

Główny Sąd Koleżeński:

1. Irmína Krzemińska – Lublin
2. Igor Megger – Poznań
3. Zygmunt Partyka – Gliwice
4. Robert Pieńkowski – Wrocław
5. Krystyna Stafińska – Kraków

Drugiego dnia Zjazdu po śniadaniu wraz z członkami tarnowskiego Oddziału, prezesem Witoldem Misiem i członkiem zarządu, byłem prezesem Stanisławem Siadkiem oraz z Bartłomiejem Jasińskim wybraliśmy się na integracyjną kawę przy głównej Alei Najświętszej Maryi Panny w Częstochowie. O godzinie 11:30 na Placu Orłąt Lwowskich, przed pomnikiem odsłoniętym w 2006 roku, nastąpiło złożenie kwiatów i zniczy. Znajduje się tam pomnik poświęcony bohaterskim Obrońcom Lwowa, również Częstochowiakom. Uroczysta msza święta miała miejsce nieopodal w kościele pw. św. Melchiora Grodzieckiego. Po wspólnym obiedzie o godzinie 14:00 powróciliśmy z tarczą do grodu Kraka.



Sala obrad uczestników zjazdu w zespole szkół im. B. Prusa w Częstochowie

LISTY DO REDAKCJI



Szanowny Panie Redaktorze, pragnę dopisać kilka swych uwag do artykułów w *Cracovia Leopoldis* nr 2/2025.

Wspomniany w tekście Krzysztofa Bąkały „Wystawa *Kresy i bezkresy w zbiorach Muzeum Niepodległości*” na s. 7 fotografii S. Schejbal (1891–1976) to przecież mój krewny Stanisław Sheybal, syn Franciszka (1856–1928) i Wilhelminy Skibińskiej (1863–1930) – pianistki, córki Stanisława Skibińskiego i Ormianki Teodorowicz. Natomiast dziadkiem Stanisława Sheybala był Jan, który przeniósł się ok. 1850 r. do Kołomyi z Pardubic. Do Pardubic ok. 1800 r. przeprowadził się Szkot, ojciec Jana, i zapewne wielu dzieci, Andriks Sheeybheall (prawdopodobnie z bratem), pochodzący z małej wyspki Barra w archipelagu Hebrydy Zewnętrzne. Ożenił się z Czeszką Vodičkovą. Ciekawostką jest, że Jan to postać ze znanego powiedzenia „Anglik z Kołomyi”, które zostało synonimem snoba pozującego na obcokrajowca. On jest moim prapradziadkiem, bo z jego córką Zofią ożenił się mój pradziadek Władysław Wyspiański (tu znów bardzo prawdopodobne pokrewieństwo ze Stanisławem Wyspiańskim!).

Nieco zawiłe powyżej opisaną przeze mnie historię zawarł Stanisław Sheybal w swoich *Wspomnieniach 1890–1970*, wydanych przez krakowskie Wydawnictwo Literackie w 1984 r. Stanisław miał dwu synów, starszego – Kazimierza, który jako młody chłopak przeprowadzał warszawskich powstańców przez kanały i doczekał się nazwania go „królem kanałów”. Natomiast młodszy syn, Władysław, był aktorem teatralnym, ale też debiutował w filmie *Kanał*. Kiedy w 1957 roku wyjechał do Paryża na stypendium, postanowił nie wracać do PRL-u i po roku przeniósł się do Londynu. W tamtym czasie w kinach brytyjskich wyświetlano wspomniany film. Jego koledzy, pracujący z nim „na zmywaku”, rozpoznali go. Zaczęła się kariera Władka Sheybala – grał w wielu filmach, w Polsce widzieliśmy go w serialu *Shogun* jako kapitana holenderskiej fregaty, również był w kinach wyświetlany film, w którym grał z popularną w latach

sześćdziesiątych przeraźliwie chudą modelką zwaną Twiggy. Napisał też (po angielsku) wspomnienia *The eyes and the voice*.

Po Andriksie Sheeybheallu pozostało w Czechach sporo potomstwa, a dość popularne nazwisko jest pisane na wiele sposobów – Schejbal, Šejbal itp. Znana aktorka Magda Schejbal i jej ojciec, także aktor, z całą pewnością mają przodka Andriksa. Jeśli popatrzymy na twarze Magdy i Władka, to zobaczymy uderzające podobieństwo:



Na stronie 65. w artykule Franciszka Habera *Z Batorego na Parnas. Część II. Z Batorego na Wały Hetmańskie i poblizko* w opisie katedry ormiańskiej znajdujemy malarskie dzieło Henryka Rosena *Pogrzeb św. Odilona*. Rosen przestawił na nim postacie księży, a pierwszy niosący ciało świętego to krewny rodziny Maszkowskich – ks. Leon Isakowicz, bardzo znany we Lwowie duchowny. Był on serdecznym przyjacielem mojego dziadka Jana. W czasach bardziej współczesnych zmarły niedawno ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski był z kolei moim, nadzwyczaj serdecznym, przyjacielem. Projektant malarskiej mozaiki *Chrystus z Barankami* – Karol Zyndram Maszkowski był synem mojego stryjecznego pradziadka Karola, brata Rafała, znanego w całej Europie w XIX w. dyrygenta, pochodzącego we Wrocławiu. Właśnie zbieram fundusze na renowację jego pięknego nagrobka. Karol Zyndram nie był mi osobiście znany, ponieważ zmarł rok po moich narodzinach, ale na moich chrzcinach był i pozostawił swój podpis w pamiątkowej książeczce. Mam też w domu jego dzieło – srebrny sygnet z herbem rodowym.

Serdecznie pozdrawiam Pana Redaktora i cały zespół redakcji CL.

Jan Zyndram Maszkowski

Kuchnia lwowska Jadwigi Sabadasz

ŚWIĄTECZNE PRZEPISY

Mamy już grudzień. Dopiero było lato, a tu już śnieg i mróz za oknem. A jak grudzień, to czas na przepisy świąteczne. Niech więc w naszych kuchniach zagości znów bożonarodzeniowy zapach i smak ulubionych potraw.

PIEROGI WIGILIJNE



Składniki: 3 szkl. mąki, 1 szkl. ciepłej wody, 1 łyżka oleju, sól. **Farsz:** 500g kiszonej kapusty, 1 cebula, 200g pieczarek, 50g śliwek suszonych, garść suszonych grzybów leśnych, 1 łyżka miodu płynnego, sól, pieprz, majeranek, olej. **Przygotowanie:** Suszone grzyby namoczyć, a następnie ugotować. Śliwki zalać wrzątkiem, odstawić. Pieczarki i cebulę pokroić w kosteczkę i podsmażyć. Kapustę przepłukać, zalać wodą i ugotować do miękkości. Po wystudzeniu odcisnąć i razem z grzybami i śliwką zmielić. Dodać podsmażoną cebulkę, pieczarki, sól, pieprz, miód i majeranek, wymieszać. Z podanych składników zagnieść ciasto na pierogi, rozwałkować i powykrawać kółka. Następnie nałożyć farsz i zlepić pierogi.

ŚWIĄTECZNA ZUPA RYBNA



Składniki: 1/2 kg fileta dowolnej ryby, 100g cebuli, 100g marchewki, 20g pietruszki, 40g selera, 200g papryki, 1,5 l bulionu warzywnego lub rybnego, 2–3 liście laurowe, 6 szt. ziela angielskiego, sól, pieprz, 15g masła, 20ml oleju, 200g ziemniaków, 1 łyżka koncentratu pomidorowego. **Przygotowanie:** Filet pokroić, doprawić solą i pieprzem, odstawić. Cebulę pokroić w kostkę, marchewkę i pietruszkę w plastry, selera w kostkę,

paprykę w 2 cm kostkę, ziemniaki w kostkę. Rozgrzać masło z olejem, zeszklić cebulę na złoty kolor, następnie dodać marchew, pietruszkę i seler, lekko podsmażyć. Wlać bulion, dodać liście laurowe, ziele angielskie gotować 15 minut, dodać ziemniaki, paprykę, gotować jeszcze 15 minut. Pod koniec dodać rybę, koncentrat pomidorowy, doprawić solą i pieprzem, gotować jeszcze 10 minut.

WIGILIJNE GOŁĄBKI



Składniki: 2 kg surowych, 1 kg gotowanych ziemniaków, 500g kaszy gryczanej, 2 cebule, grzyby suszone wg uznania, główka kapusty, 1/2 l śmietany, 100g masła, sól, pieprz. **Przygotowanie:** Obrane surowe ziemniaki zetrzeć na tarce (odcedzić trochę soku), ugotowane przetrzeć przez praskę. Ugotowane grzyby i cebulę drobno pokroić i podsmażyć. Wszystko razem wymieszać, doprawić solą i pieprzem. Ze sparzonych liści kapusty usunąć grube nerwy, napęlić farszem, pozawijać gołąbki. Poukładać w naczyniu o grubym dnie, zalać śmietaną i zapiec.

KARP Z CEBULĄ I PIECZARKAMI

Składniki: karp pokrojony w dzwonka lub filet karpia pokrojony na dowolne kawałki, 300g pieczarek, 3 cebule, 3 liście laurowe, 4 ziarenka pieprzu czarnego, 3 łyżki mąki, olej, sól, pieprz. **Przygotowanie:** Umytą i osuszoną rybę przyprawić solą i pieprzem, następnie obtoczyć w mące i podsmażyć na złoty kolor z obu stron. Obraną cebulę pokroić w piórka, pieczarki w mniejsze kawałki. Na rozgrzanym oleju lekko podsmażyć cebulę z dodatkiem liści laurowych i pieprzu w ziarnach, posolić. Dodać pieczarki, smażyć przez 10 minut, doprawić solą i pieprzem. Karpia podawać ułożonego na poduszce z cebuli z pieczarkami.

Na I stronie okładki

Wały Hetmańskie, w tle Teatr Wielki; zdjęcie: nac.gov.pl



Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Wydawca:

Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Prezes Zarządu:

Kamil S. Woźniak

Rada Programowa:

Stanisław Czerny – Oddział Krakowski TMLiKPW, dr Karolina Grodziska – Biblioteka PAN i PAU, ks. prof. dr hab. Józef Wołczański – Uniwersytet Papieski Jana Pawła II, Katedra Historii XIX i XX wieku, dr Tadeusz Skoczek – dyrektor Muzeum Niepodległości w Warszawie, Janusz M. Paluch – redaktor naczelny kwartalnika, Kamil S. Woźniak – prezes Zarządu Krakowskiego Oddziału TMLiKPW

Redakcja:

Piotr Boroń, Paweł Brzegowy, Karol Chlipalski, Jarosław Krasnodębski (Warszawa), Janusz M. Paluch (redaktor naczelny), Michał Piekarski (Warszawa), Aleksandra Solarewicz (Wrocław), Krystyna Stańska, Anna Stengl, Natalia Tarkowska, Antoni Wilgusiewicz (Katowice)

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl

oraz www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie
skrytka pocztowa nr 176, ul. Wielopole 2, 31-045 Kraków, e-mail: cracovialeopolis@gmail.com

Informacje o kwartalniku CL: cracovialeopolis@gmail.com, tel. 608 155 693

Konto bankowe Oddziału TMLiKPW w Krakowie:

53 1020 2892 0000 5002 0121 7918

Przygotowanie do druku: FALL, Kraków, tel. 502 022 027, fall@fall.pl

Nasi darczyńcy:

Marek Pelechacz – 2400 zł, Ryszard Defort – 1200 zł, Anna Stengl – 1200 zł, Jerzy Wolańczyk – 1100 zł, Lech Jan Czura – 250 zł, Kamil Woźniak – 250 zł, Stanisław Czerny – 200 zł, Marek Dyga – 200 zł, Tadeusz Samborski – 200 zł, Maria Zachorowska – 200 zł, Roman Władysław Arnold – 140 zł, Michał Andrzej Piekarski – 120 zł, Alicja Hryc – 100 zł, Jerzy Henryk Mazur – 100 zł, Mateusz Woźniak – 100 zł, Maria Ostaszewska – 70 zł, Joanna Galas – 50 zł, Jerzy Siuta – 50 zł, Irena Trzcieniecka-Schneider – 50 zł, Lesław Flis – 40 zł

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja nie odpowiada za opinie, stwierdzenia i reklamy, które stanowią wyraz poglądów ich autorów.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

Antoni Wilgusiewicz CHCIELIŚMY, ABY LWÓW BYŁ WIELKI	1	Poezja Mariusz Olbromski GDY DZIEN SIĘ BUDZI WSKRZESZANIE WERNISAŻ	57
Karol Chlipalski UKĄSZONY PRZEZ HERDERA	4	Aleksandra Solarewicz ŻYDOWSKA STRONA KRESOWEGO MIASTECZKA ROZMOWA Z OLGĄ MIELNIKIEWICZ	58
Mariusz Graniczka PAMIĘTAMY O LWOWSKICH ORLĘTACH!	10	Piotr Świątecki KOLEJE GALICJI	64
Ulice Lwowa Franciszek Haber ULICA LELEWELA I NIECO WIĘCEJ	11	Jacek Janiec KPT. ZYGMUNT BROCKOWSKI PS. „MŁODZIK” (1926–2025)	68
Musica Leopoldis Michał Piekarski NIEZNANY ŻOŁNIERZ	26	Paweł Stachnik CZERECHY, MAŁMAZJA, DUNAJKI I CK SERNIK, CZYLI DAWNY LWÓW NA TALERZU	69
Proza Stefan Berdak MOJE WSPOMNIENIA Z CHWIL SPĘDZONYCH Z ROMANEM CIEŚLEWICZEM	30	Kamil S. Woźniak PAMIĘTAMY!	74
Beata Bednarz ISKRA NARODOWEJ PAMIĘCI, PIEKĄCA, TRAGICZNA	38	Anna Stengl SOKÓŁ	76
Marian Małecki O ZABYTEKACH ARCHEOLOGII PRAWA GALICYJSKICH MIAST KRAKOWA I LWOWA	44	Kamil S. Woźniak ZJAZD DELEGATÓW TMLiKP-W W CZĘSTOCHOWIE	77
Piotr Boron JEGO MAGNIFICENCJA PROF. AUGUST WIKTOR WITKOWSKI Z BRODÓW	51	LISTY DO REDAKCJI Jadwiga Sabadasz KUCHNIA LWOWSKA	80